WŁAŚCICIELE.

POWIEŚĆ

przez

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.

WARSZAWA
Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego
1887.

Дозволено Цензурою
Варшава 17 Іюля 1887 года.

Druk Przeglądu Tygodniowego, Czysta Nr. 4.

I.

Noskowice jest to wieś o jednem nazwisku; ale w hipotece i czynnościach administracyjnych dzieli się ją na trzy części, oznaczając literami: *a*, *b*, *c* Każda z liter ma swego oddzielnego właściciela, który mieszka w osobnym dworze na oddzielnym pagórku. Oprócz tego, jest tu jeszcze czwarty zbiorowy właściciel—chłopi, nie mający własnej litery i mieszkający na dole w licznych rozsypanych chałupach.

Te Noskowicie używają dużo sławy na świecie, a światem dla nich jest przestrzeń, mająca ze dwie mile w promieniu. Dwa tu są punkta dobrze znane: na północ Skalbmierz, na południe Koszyce; do tych ognisk cywilicyi idzie trakt prosto przez Noskowice i w Noskowicach robi tak dziwne zakrętasy, że kto się rozmacha, jadąc ostro, może zajechać do jednego z trzech dworów i ztamtąd wyjechać, gdzie w szczere pole, to jest—zabłądzić. O wschodniej i zachodniej granicy Noskowic niema co mówić. Ztamtąd wieją sobie swobodnie wiatry, no i słońce niestrudzone idzie a powraca. Ale pomiędzy Skalbmierzem

a Koszycami Noskowice są ciągle na ustach; tam bowiem można pod jesień lub na wiosnę w błocie ugrzęznąć, w nocy znowu, jeśli nawet jest sucho, wjechać na jaki dziurawy mostek i wywalić; tam można konie napoić, zabłądzić, jak w labiryncie.

Żyd, mieszczanin, chłop czy szlachcic, każdy w tych stronach oryentuje się w podróży podług Noskowic, jak żeglarz podług latarni morskiej. Jedziesz, dajmy na to, z Warszawy i, przejechaw-Skalbmierz, znajdujesz się o półtory mili od Koszyc; zapytujesz na drodze pierwszego lepszego:

— Którędy tu droga do Koszyc?

— Którędyżby? Na Noskowice!—odpowiadają ci ludzie mniej lub więcej chętnie.

Jeżeli znowu zapytasz:

— A gdzież są Noskowice?

Wtedy ludzie uważają cię za natrętnego gadułę, albo za kpiarza i nie otrzymujesz od nich żadnej odpowiedzi.

Takie same zdarzenia mogą mieć miejsce, gdy się jedzie od Koszyc do Skalbmierza i gdy się stawia pytanie:

— Daleko też jeszcze do Skalbmierza?

— Za Noskowicami będzie setna mila z ogonem, — mówią ludzie, dla których Noskowice stanowią ilość wiadomą. Gdy im zaś dasz do zrozumienia, że nie wiesz, jak daleko jesteś od sławnych Noskowic, to będą kiwali głowami,

wzruszali ramionami, uważając cię za figlarza, albo za barbarzyńcę, przybłędę, z którym się nie opłaci rozmawiać.

Właścicielem Noskowic litery *a* jest pan Dyzma Zatwardziałowicz; że jednakże właściciel litery *b* nazywa się Zawracalski, przeto chłopi z Noskowic nazywają Zatrwardziałowicza — Zatwardzialskim. Jest to człowiek żonaty, ojciec dwóch córek i używający reputacyi dobrej głowy. Wprawdzie bywa na obiadach odpustowych we własnej parafii i w ościennych, jednak za oczy podkpiwa sobie z księży i w takich razach zwykł mawiać:

— Aryanie—to byli ludzie!

Do tych aryanów ma Zatwardziałowicz szczególne nabożeństwo; nawet kupno Noskowic litery *a* nastąpiło z tego powodu, iż w okolicy dosyć rozpowszechnionem jest przekonanie, jakoby niegdyś Aryanie mieli tutaj swoją siedzibę pod literą *a* i dotąd leżą po nich gdzieś w ziemi zakopane skarby. Pan Dyzma od kilkunastu już lat dzierży swoją posiadłość i co parę lat opada go bzik rozkopywania ziemi w celu poszukiwania owych po-aryańskich skarbów.

Jednego lata zdawało mu się, że jest już bardzo blizkim szczęśliwego rezultatu, dokopał się bowiem jakichś fundamentów; robota szła żywo, gdyż większa część najmu zajmowała się kopaczką. W tym roku zgnoił Zatwardziałowicz siano na łąkach a skarbów nie znalazł. To go

zniechęciło na jakiś czas do poszukiwań. Ale w duszy tego obywatela dniem i nocą żyła jednak idea aryanów i skarbów. Więc też, gdy coś w rok przeszło później, po wielkich słotach, znalazł około stajni wypłukane z ziemi przez deszcze pięknie wypalone cegły, pomyślał sobie:

— Tu niezawodnie są lochy aryańskie a w lochach skarby.

Myśl ta nie pozwalała spoczywać panu Dyzmie; zabrał się do dzieła i niebawem nabrał przekonania, że w miejscu, gdzie stoi obecnie stajnia, wznosił się jakiś wielki gmach a wyobraźnia mu podpowiadała, iż pod gmachem musiały być podziemia. Chcąc atoli prowadzić poszukiwania, należało usunąć stajnię, na co też ostatecznie zdecydował się Zatwardziałowicz po niejakiem wahaniu. I znowu wydał dosyć grosza na najem, Spóźnił się z kopaniem kartofli, które mu w polu przemarzły a skarbów żadnych nie znalazł.

Minęło parę lat i zdawało się, że dziedzic Noskowic litery *a* zapomniał o aryanach i o skarbach. Gdzie tam!... Nieszczęście poniosło go raz do ogrodu, zkąd z wielkim mozołem w samo południe skwarnego lata usiłował wypędzić jakiegoś szkodnego wieprzka; zwierzę było uparte i pan Dyzma rady mu dać nie mógł; wypędził je z malin, ono poszło w agrest, z agrestu popędziło w szkółkę drzewek, ztamtąd między drzewa owocowe. Zatwardziałowicz zawziął się na wieprzka i chciał mu koniecznie sprawić wały,

więc puścił się ze zwierzęciem na wyścigi. Naraz, kiedy biegł w rozpędzie, usłyszał, że mu pod stopami ziemia dziwnie dudni, jak gdyby się uginała. Stanął więc, niby wryty, zapomniał o szkodnem zwierzęciu; w myśli jego pojawili się znowu aryanie, lochy, skarby. Tupnął kilkakrotnie nogą—dudniło, stukał laską — także dudniło... Natychmiast wybiegł z ogrodu i kazał przyzwać do siebie polowego, którego spytał:

— Wiele mamy dziś ludzi u roboty?

Polowy począł liczyć na palcach, wymieniając!

— Troje w zapolach, pięcioro u powróseł, czworo u fur, dziesięcioro u wiązania... dwadzieścia u żniwa...

— Zdaje mi się, że ta pszenica jeszcze zielona, którą dzisiaj żniemy.

— Wielmożny panie, ona z kłosków sama leci.

— Co mi gadasz! Mówię ci, że zielona!... Zresztą, jeżeli się sypie, to ją lepiej będzie żąć jutro zrana po rosie... Przyślij mi od żniwa dziesięcioro ludzi do ogrodu, mam pilną robotę!... Ale, ale, niech wezmą wszystkie rydle i łopaty, jakie mamy na folwarku...

I od południa zaczęło się znowu kopanie, chociaż pszenica z kłosków leciała i prosiła się sierpa. Żniwiarze przemienili się na kopaczy, sam Zatwardziałowicz, spocony jak mysz, kopał

zapalczywie. Wnet rydlami odwalono kupy ziemi i około godziny ósmej wieczorem pierwszy pan dziedzic poczuł pod swoim rydlem twardą cegłę. Teraz pomyślał sobie, że gdyby przypadkiem znaleziono skarby wobec tylu ludzi, to on nie odniósłby ztąd całkowitej korzyści; więc krzyknął na robotników:

— Dosyć, moi ludzie!... Kopać jest trudniej, niż żąć, przeto zwalniam was wcześniej od roboty; idźcie do domu!

Zatwardziałowicz panował przy tych ludziach nad sobą, udawał w głosie obojętność; ale serce biło mu tak gwałtownie, że cały drżał ze wzruszenia.

Dopiero, kiedy noc nadeszła, wykradł się z domu, wziąwszy rydel oraz niezapaloną latarkę na wszelki wypadek, jeżeliby przyszło robić przegląd ciemnych po-aryańskich lochów. O północy wszyscy w Noskowicach zasypiali, jeden tylko pan Dyzma robił poszukiwania w ogrodzie podczas pogodnej nocy letniej. Nie widział on ani gwiaździstego nieba, ani mgły i rosy, odbijającej niebieskie blaski; nie słyszał furkania nocnych motyli i chrabąszczów. Schylony, kopał i kopał, zapocił się, zasapał; zdjął z siebie surdut, kopał w koszuli i bez czapki. Nagle ziemia się pod nim obsunęła i z rydlem zapadł się gdzieś głęboko. Ale był on tak rozentuzyazmowany, że pierwszą jego myślą nie było niebezpieczeństwo, jakiemu mógł teraz podlegać. Spadł-

szy w jakąś norę, pomyślał sobie przedewszystkiem:

— A co?... Zgadłem! Tu są piwnice ze skarbami.

Jednakże niebawem poczuł zimno podziemnego lochu i począł obmacywać rękami dokoła siebie. Surdut, czapka i latarka zostały na powierzchni ziemi; na szczęście miał w kieszeni pantalionów pudełko z zapałkami; więc je dobył i rozwiecił ciemnicę. Zapałka prędko zgasła, gdyż wiały tutaj jakieś przeciągi; znowu zaświecił, lecz w oczach dziwnie mu się ćmiło i nie mógł nic zobaczyć. Popsuwszy ten sposób wszystkie zapałki, które miał przy sobie, przekonał się tylko, że pozostaje w jakiejś jaskini a dokoła jest pełno kości. Ponieważ przedtem był bardzo rozgrzany, więc tem bardziej uczuwał ziębienie i pomyślał:

— Co tu począć?

O wydobyciu się z lochu własnemi siłami mowy być nie mogło; przesiedział więc Zatwardziałowicz przez całą noc w podziemiu. Dopiero rano ogrodniczek, znalazłszy latarkę, surdut i czapkę pana dziedzica, narobił alarmu w całym dworze. Przyszli parobcy i wydobyli z ciemnicy pana Dyzmę przy pomocy windy, używanej zwykle do wciągania siana na stogi.

Teraz poszła po Noskowicach gadka. Mniejsi i więksi właściciele a także ludzie, obchodzący się bez własności, komentowali na różne sposoby ów nocleg Zatwardziałowicza w podziemiach.

Ciemniejsi uważali sprawę za dzieło szatana, więcej oświeceni utrzymywali, iż dziedzic Noskowic litery *a* zwaryował. Jedni i drudzy wszakże rzucali domysł:

— Kto wie, czy już skarbów jakich nie odkrył i nie przechował? ¡Dlaczegóżby po nocy kopał?.. Oj, musi on mieć pieniądze!

Tymczasem biedny pan Dyzma zachorował z przeziębienia, wpadł w ogromną gorączkę, majaczył o aryanach, lochach i skarbach — zupełnie jak na jawie. Żona sprowadziła lekarza ze Skalbmierza, drugiego z Koszyc; słowem dużo zmartwień, kłopotów i pieniędzy kosztowali rodzinę ci aryanie. Lekarze zrobili swoje, powrócili ciężko choremu zdrowie; ale zalecili poważnie żonie i dwom córkom, ażeby strzedz pana Dyzmę przed wypadkami tego rodzaju, zwłaszcza też w czasie rekonwalescencyi.

II.

Noskowice znowu litera *b* należą do pana Piotra w Okowach Zawracalskiego, który podobnie jak Zatwardziałowicz ma także żonę i dwie córki; ale do żadnej teoryi nie ma najmniejszego pociągu. Nie wierzy on w nic, czego zmysłami nie spostrzega; o aryanach powiada, że są czystym wymysłem Zatwardziałowicza. Pan Piotr szkoły żadnej nie kończył ani nie zaczynał, ponieważ ojciec wolał mu zostawić pieniądze niż je wydać na edukacyę. Organista zatem z sąsiedniej wsi przychodził codziennie po południu i nauczał młodego Zawracalskiego ministrantury, katechizmu, czytania, pisania oraz czterech działań arytmetycznych. Pan Dyzma nie lubił pana Piotra, a pan Piotr — pana Dyzmy; sprzeczali się zawsze między sobą i to nietylko o aryanów, ale także o obrót ziemi około słońca, o jej kulistość i t. d. W końcu przestali się sprzeczać, ponieważ jeden drugiego znienawidził. Zawracalski zwykł był mawiać o Zatwardziałowiczu:

— Zje on dyabła, ten filozof, jeśli mię przekona... On przemędrkuje literę *a;* moje *b* zostanie i basta.

Zatwardziałowicz znowu mawiał:

— Tego osła Zawracalskiego znieść nie mogę! Nic nie umie i niczego się nie chce nauczyć.

Trzeci właściciel Noskowic litery *c* był to kawaler, liczący przeszło czterdzieści lat wieku, zdrowy, silny, barczysty, gospodarny. Ciągnęli go do swego domu Zatwardziałowicze, mający dwie córki na wydaniu, ciągnęli także Zawracalscy z tego samego powodu; ale jemu się ciągle zdawało, że jest jeszcze młodzieńcem i że wszystkie kobiety na niego polują. Postanowił sobie, że go żadna nie usidli, a przeto unikał kobiecego towarzystwa. Dziedzic Noskowic litery *c* był w tej miejscowości jedynym człowiekiem, posiadającym świadectwo wiedzy, to jest patent z ukończonych w Pińczowie czterech klas, wydany na imię Prospera Tatarczanego. Jedyną ambicyą, jakiej sobie z tego powodu ów dziedzic pozwalał, było wywieszenie onego patentu w mieszkaniu za szkłem i w czarnych ramkach. Bo zresztą Tatarczany nie miał żadnych pretensyj naukowych, opowiadał nawet o sobie, że przez cały czas pobytu w szkole nigdy nie uważał w klasie i nie wiedział o czem mówił nauczyciel. Patent umiarkowanej dojrzałości miał on otrzymać dzięki temu, że jego nieboszczyk ojciec żył w bliskich stosunkach z nauczycielem języka francuzkiego, który znowu żył

w przyjaźni z nauczycielem matematyki, jednocześnie nauczyciel matematyki miał wpływy na nauczyciela geografii, który codziennie z księdzem prefektem chadzał na przechadzkę, w lecie do kąpieli i na kwaśne mleko. W taki to sposób Prosper Tatarczany ukończył cztery klasy, a następnie został obywatelem ziemskim.

W roku, do którego się odnosi nasze opowiadanie, Tatarczany zachodził w zimowe wieczory do Zawracalskich i tu czytywał na głos „Kalendarz powszechny". O tym Kalendarzu dużo mówiono we dworze pod literą *b*, krytykowano go ostro i oddawano mu też pochwały. Z owej epoki pochodzi list, wystosowany przez Zawracalskiego i Tatarczanego do „Wielmożnego Imci Pana Teodora Paprockiego i Spółki, pisarza Kalendarza powszechnego w Warszawie".

Treść listu podajemy w dosłownym odpisie:

„Co się odnosi do świąt ruchomych, suchych dni i czterech pór roku, przepowiednie pańskie u nas, tu w Noskowicach, były z dobrym skutkiem. Ale przepowiedzianego zaćmienia słońca w Ameryce zupełnieśmy nie widzieli; zechciej nas Pan Dobrodziej łaskawie pouczyć, co się takiego stało. Czy aby nie było jakiej przeszkody tam w górze?

W rozdziale Kalendarza pod tytułem: „epoki główne" niezrozumiałem jest dla obywatelstwa naszego pisanie o jakiejś tam erze tureckiej i żydowskiej; takoż i wynalazek druku nie może nas

tu obchodzić tyle, ile obchodzi drukarzy, jako też rozmaitych papierników oraz atramenciarzy miastowych. Pożytecznie jest wyłuszczać w Kalendarzu „Ewangelie na wszystkie święta i niedziele", coś pan musiał zapewne opisywać do współki z którym proboszczem i przeto akurat w Środopostną niedzielę sprawdziłem, że istotnie mowa jest o nakarmieniu pięciu tysięcy głodomorków. Cud, jakich teraz bez pieniędzy mało.

„Święta wyznania Mojżeszowego" chyba przez pomyłkę wkradły się do Katolickiego Kalendarza; na przyszły rok proszę wymazać tę żydowszczyznę z Kalendarza, który pójdzie do Noskowic — wszystko jedno którą pocztą: przez Skalbmierz lub przez Koszyce, bo raz na tydzień do każdego z tych miast żyd od nas jeździ.

Przepowiedziany przez Pana Dobrodzieja wschód i zachód słońca odbywa się dotąd z regularnością; jeśli jest jaki błąd, nie Pańska to wina, ale zegarka mojego i pana Tatarczanego również z Noskowic. Zresztą nie mogę mieć do nikogo pretensyi, gdyż ten zegarek wygrałem na fantowej loteryi w Działoszycach za rubla, a pan Tatarczany znów kupił swój od szwarcownika, dawszy dwadzieścia pięć złotych.

Owszem, i rysunki u góry nad miesiącami wcale dobrze odmalowały nam orkę, młockę w stodole, traczkę na podwórzu; żeby tylko usunąć z Kalendarza zbierkę w lesie, co przy takich okolicznościach może na nic zepsuć chłopa.

Ale, ale! Wielką sromotę wywołaliście tu w całem Skalbmierskiem przez to, żeś Imci Pan Dobrodziej wiedział, kiedy przypada jarmark w takim Opatowcu i Wiślicy, a o Skalbmierzu i Koszycach ani dudu, jak gdyby Kalendarz nie dla nas był drukowany.

No i ten gnojolęgnik na kurczęta jest w dzisiejszych czasach prostem niepodobieństwem, bo nasza zdemoralizowana służba nie potrafi się obchodzić z delikatnem naczyniem.

Powolni słudzy W-go Pana Dobrodzieja

Piotr w Okowach Zawracalski

i

Prosper Tatarczany,

Obywatele z Noskowic, liter *b*, *c*.

P. S. O literze *a* lepiej nie pisać.

* * *

Tak stały sprawy w Noskowicach, gdy po świecie rozeszła się wieść o poszukiwaniach Zatwardziałowicza, o lochach, skarbach i kościotrupach. Mówiono o tem nietylko w okolicy, ale nawet w Krakowie. Nie wiemy już, w jaki sposób wieść owa doszła tu do uszu bardzo uczonego młodego badacza krajowych starożytności, pana Stanisława Skałeckiego, który też niebawem postanowił urządzić wyprawę do Noskowic, ażeby go przypadkiem nie uprzedzili inni poszukiwacze i zbieracze.

Skałecki wsiadł na pierwszy pociąg kolei Karola Ludwika i przybył do Bochni; tutaj najął na rynku chłopa z furą i przeprawił się na drugą stronę przez przykomórek Sierosławice.

Późno już w nocy przybył nasz badacz do Noskowic, gdzie właśnie straż nocną odprawiał jeden z małych właścicieli noskowickich, Szymek Dziura, znany tu z tego, że on jeden między chłopami całej wsi posiadał kożuch. Dziura nienawidził Zawracalskiego, a Zawracalski nienawidził Dziury; antagonizm wynikł z powodu, że Szymek rok rocznie worywał się w łąkę pana Piotra. Był to chłop dumny, chciwy na ziemię; mawiano w Noskowicach: „herny, nikiej Dziura“, kiedy chodziło o przedstawienie człowieka ambitnego i zarozumiałca.

Dziura, spostrzegłszy w nocy, iż przez środek wsi jedzie podwoda z jakimś ciarachem, schował się za węgieł chałupy, ażeby nie mieć potrzeby wdawania się w prawdopodobną rozmowę z przejezdnym. Jednakże, ponieważ ani pan Skałecki, ani jego furman nie znali miejscowości i nie mogli się pomiarkować wśród rozbieżnych dróg Noskowic, przeto zatrzymali się przed tą samą chałupą, za którą się był ukrył Szymek Dziura.

Przybyły furman zlazł z fury, ażeby zbudzić kogo w chacie; ale że chata stała tyłem do drogi, więc furman musiał ją obejść i przeto spotkał się oko w oko z Dziurą.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł furman, stając przed Szymkiem z biczem w ręku.

— Niech będzie!... — Odpowiedział mrukliwie Dziura.

— Nie powiedzielibyście wy nam ojciec, kaj tu droga do dwora?

— Kajżeby?... Na końcu języka.

— Moiściewy, jakeście dobrzy, ukażcież drogę do dwora!... W tych Noskowicach, psiakość, drożyska poplątane na wszystkie strony...

— Ta dworów tutak, jak psów... Kaj ruszyć — to dwór, — odparł Dziura.

— Wiadome rzeczy, wiadome! W Noskowicach ćma dworów, ino ten ślachcic na furze tłucze się ponoś od Krakowa do jakowegoś tu dziedzica, co w ziemi kopaczkę prowadzi... Zabaczyłem sobie, tak się jakoś cudacznie nazywa...

— Tatarczany będzie pewnikiem...

— E, nie!... Za... Za... Za... A bodajże cię, na śmierć zapomniałem!...

— Nie Zawracalski?

— Może i tak!...

— Ta cóż w tem cudacznego?... Kosa ciarach, psia noga i koniec!... Jedźta k'sobie, potem od siebie, znowu k'sobie i prosto...

W taki to sposób Skałecki, jadąc do Zatwardziałowicza, zajechał do Zawracalskiego.

III.

Pan Piotr już zamierzał udać się na spoczynek, kiedy turkot fury i psy szczekające na podwórzu zwróciły jego uwagę, więc rzekł do dziewki, która mu zwykle ściągała z nóg długie buty:

— Haliszka, wyjrzyjno na dwór, kogo tam znowu dyabli w nocy tu przynieśli!

Dziewucha wybiegła i, gdy niebawem powróciła, takie wygłosiła sprawozdanie:

— Widzi mi się jakiś nacelnik musi z miasta na chłopskiej podwodzie...

— Skaranie boskie, bania się widzę rozbiła z jakiemś szelmostwem!... A w myśli sobie dodał: Inspektor ogniowy albo komornik, bestye i w nocy człowiekowi spać nie dadzą.

I nadział pan Piotr na siebie znowu kacabajkę, poczem wyszedł do sieni, aby powitać przybyłego.

— Kogóż mam szczęście oglądać? — rzekł Zawracalski, widząc Skałeckiego, zrzucającego z siebie długi płaszcz płócienny.

— Stanisław Skałecki, do usług pana dobrodzieja, członek korespondent Akademii krakowskiej...

— Pi, pi, pi!—zawołał Zawracalski. — To nas tu pan dobrodziej myśli widać opisywać w gazetach... Proszę, proszę, bardzo proszę w moje ubogie progi.

— Gdzież tam! Wcale nie mam stosunków z gazetami; zamierzam tylko w czasie mojego pobytu w tych stronach przyjrzeć się ludziom, pomierzyć czaszki, wzrost, zebrać rozmaite podania, opisać zwyczaje,—słowem zbadać charakter okolicy. Dawno już wybierałem się w Skalbmierskie, a obecnie, posłyszawszy, iż pan dobrodziej odkrywa rozmaite wykopaliska, postanowiłem dłużej nie zwlekać i przybyłem, ażeby skorzystać ze wskazówek...

Zawracalski słuchał tej przemowy, przyglądał się Skałeckiemu podejrzliwie i w końcu zrozumiał, że uczony miał zapewne na myśli Zatwardziałowicza, którego rozgłos i tak leżał kamieniem na sercu panu Piotrowi, przeto odrzekł:

— Właściwie mówiąc, ja także.. kopię... No, ale staram się kopać rozsądnie, żeby ludzie nie mówili po świecie, żem zwaryował...

— To, to, to!—zawołał Skałecki. — Rozsądne kopanie — grunt, systematyczność wszędzie jest potrzebna, a brak jej wydziera nauce skarby, o czem, niestety, zapominają zbyt często badacze krajowych starożytności.

— Otwarcie panu powiem, że skarbów nie poszukuję, ale gdybym je znalazł przypadkiem, to i owszem... Jednakże wyrżnąłem tu w Noskowicach taką studnię, żeby ją można było posłać na wystawę do Paryża.. Prócz tego, ciągle się kopie różne pomniejsze rzeczy, których wykonanie nie przyniesie mi ujmy...

— O tak, tak!—rzekł Skałecki.—Przy kopaniu studni, przy wybieraniu głębokich rowów, zaorywaniu karczowisk, niwelowaniu parowów, znaleziono niejeden cenny zabytek przeszłości. Jednakże przyznać należy, iż traf taki małą ma wartość w porównaniu z usystematyzowanem poszukiwaniem...

Zawracalski słuchał, wpadł w zadumę; rozmyślał o tem, jaką on to sztukę wypłata Zatwardziałowiczowi, gdy na gruntach swoich rozpocznie poszukiwania, z których dotychczas słynęły tylko Noskowice litera *a*. Więc rzucił jeszcze parę pytań Skałeckiemu i dowiedział się z odpowiedzi, że młody badacz jest po trochu entnologiem, antropologiem, archeologiem, geologiem. O zajęciach takich fachów nie miał pan Piotr najmniejszego wyobrażenia, przeto postanowił sobie zawrzeć przymierze z dziedzicem Noskowic litery *c*.

O świtaniu nazajutrz jeszcze wszyscy spali, kiedy Zawracalski wstał w wybornym humorze, zajrzał do kalendarza, wziął w rękę pałkę, gwizdnął na psa i poszedł w pole. Tutaj zaraz na

wstępie zwymyślał od ostatnich polowego, któremu się od rana ubrdało, że będzie przed południem słota, a przeto nie zastosował się do wieczornej dyspozycyi Zawracalskiego, wydanej wczoraj, i zamiast wszystkiemi siłami grabić siano, zapędził cały najem do plewienia marchwi.

— Bodajeś ty zjadł kroćset dyabłów! — krzyczał Zawracalski. — Powiadam ci, że do jutra deszczu nie będzie, to nie będzie!

Polowy trzymał czapkę w ręku nad samym wierzchołkiem głowy i słuchał ostrych wyrzutów dziedzica, zerkając z ukosa na słońce, jak gdyby je błagał, ażeby się przepowiednia pryncypała nie spełniła.

— Zabierz mi zaraz, gawronie, tę hołotę na łąki; marsz grabić siano! — zawołał pan Piotr. Naraz spostrzegł, iż w oddaleniu biegnie przez zagony po polach sąsiad jego, Tatarczany; więc począł wołać: hop! hop! Dzień dobry, sąsiaduniu! Dzień dobry! Ale pan Prosper zdawał się nie słyszeć i pędził dalej jak kula. Zawracalski puścił się ku niemu przez łąki i, stanąwszy nad rzeczułką, huknął na całe gardło: „Stój! Stój!“ Zatrzymał się teraz Tatarczany, zmiarkował o co chodzi i wnet stanął na przeciwnym brzegu rzeki; poczem obaj dziedzice rozmawiali ze sobą przez rzekę:

— Cóż tam sąsiad dziś robi? — pytał dziedzic litery *c*.

— A no grabię!... Będzie pogoda? — mówił pan Piotr.

— Dyabła starego będzie!... Wczoraj wieczorem miesiąc był w lisiej czapce.

— Eee, doprawdy?... A to ja przeoczyłem, bo mię w domu zajechali goście.

— Kogóż tam sąsiad przyjmuje?

— Licho wie, co za jeden!... Filozof jakiś, czy coś takiego.

— A po cóż on tu znowu do Noskowic?

— O ilem mógł skalkulować, chce on trochę u nas w ziemi pokopać.

— No, to go trzeba sprządz z Zatwardziałowiczem!...

— Właśnie że nie!... Przyjechał do mnie, to niech u mnie kopie.

— Co on tu może znaleźć w takich sapach!...

— Znajdzie nie znajdzie, mniejsza o to; ale nigdy nie pozwolę, żeby mój gość pomagał Zatwardziałowiczowi w kopaniu!.. Przejdźże tu sąsiad na drugą stronę rzeki, to pogadamy.

— Kiedy nie wiem, czy nie będzie głęboko za kolana; nie chce mi się skąpać.

— Co ma być!... Przejeżdżałem tu kiedyś na siwej i ogon jej się nawet nie zamoczył.

Pan Prosper, podpierając się laską, począł teraz w bród rzekę przechodzić. Już był blizko, już Zawracalski wyciągał ku niemu rękę pomocy od brzegu, kiedy się potknął tak silnie, aż wody chlipnął; nareszcie zmoczony wyszedł na brzeg.

Obaj dziedzice, gwarząc, szli przez łąkę i dotarli do jej skraju, graniczącego z gruntami Szymka Dziury, który się corocznie o parę cali worywał w łąkę pana Piotra.

— No, nie łajdak to cham!... — krzyknął Zawracalski.—Ja już z furę siana tracę teraz na tej sztuce.

— Dziwię się cierpliwości sąsiada!—rzekł Tatarczany zgorszony. Nigdybym tego nie zniósł!...

— Na miłość Boga, cóż ja zrobię? Chłop zuchwały, o mało mi się do gardła nie rzuca.

— A schodziłeś sąsiad z mapą na grunt, pokazywałeś mu, gdzie granica?...

— A jakże! Na co się to zdało?... Co znaczy mapa dla takiego ciemnego narodu?...

— Widzi sąsiad dobrodziej, nie tak się robi!... Trzeba wziąć mapę z pieczęcią, jak się patrzy, wezwać sołtysa, ludzi z łopatami, rozłożyć mapę na gruncie i przy świadkach sprostować granicę, rów przekopać...

— Prawda, prawda! Jest racya, dotąd nie robiłem tego urzędowo...

Naraz myśl jakaś uderzyła Zawracalskiego i rzekł:

— Będziemy i my dzisiaj kopali pod literą *b*; mój filozof będzie miał zajęcie!... Pójdź sąsiad ze mną, napijemy się wódki.

Kiedy Zawracalski szedł z Tatarczanym w kierunku dworu litera *b*, spotkał po drodze polowego, który znowu zmierzał ku łąkom na czele

gromady chłopaków i dziewcząt, uzbrojonych w grabie, a to stosownie do polecenia dziedzica.

— Dokąd wy gałgany spacerujecie?... — zawołał pan Piotr.

— Idziewa przewracać siano i grabić, — odrzekł polowy, uchylając czapki. Jak pan kazował, tak się robi.

— Słuchajno, Jantek, wybierz z tej hołoty dziesięć co najtęższych bab, niech mi lecą zaraz po rydle i przybywają co prędzej na miejsce, gdzie to grunt Dziury...

Polowy roztwarł gębę, wytrzeszczył oczy, nie wiedząc, co znaczy takie rozporządzenie.

— Zrozumiałeś?...—krzyknął Zawracalski.

— Nie miałem zrozumieć!...—odparł polowy. Dyć pewnikiem o kopanie chodzi.

— Stulić gębę i robić, co ci każą, kiedy chleb za to dają...—ofuknął się pan Piotr i poszedł z sąsiadem dalej.

— Rany Jezusowe! Dyć ten ciarach, psia mać, matonogu dzisiak od rana pokosztował, czy co!— mruczał Jantek polowy. Źle mu jak marchew plewią, nie udaje mu się grabienie i do kopacki ludzi gania... Będzie dycht jak z onym Zatwardzialskim, co mu już tera ino dochtora trzeba...

Potem Jantek krzyknął na gromadę, którą dowodził:

— Hej, baby, stojać w rząd, równo do frontu!

A baby śmiać się poczęły na cały głos, pytając:

— Cóże wy, Jantku, z babami na wojnę iść myślita?

— Ja was ta, ciasnochy, nie potrzebuję!...— mówił gniewnie polowy. Moja mi starczy; ino dziedzic z wami jakoweś wyprawiny zamyśla... Pono omętra zajechał do dwora i tyla...

Baby stanęły teraz do frontu, a Jantek wybierał jednę po drugiej:

— Kabotka, Zajmina, Zapartówna, Królka, Strzalanka, Kamieńka, Słupiczka, Chmurzyna, Wilkówna, Ciechońka — dymajta do chałupy po rydle, a wracać mi duchem i stanąć tam około Dziurowego gruntu!... Przyjdzie dziedzic, to uczyni z wami postanowienie.

IV.

Tymczasem dwaj dziedzice dotarli do dworu litera *b* i, głośno tupiąc nogami w sieni, pozbywali się tym sposobem błota z długich butów; poczem weszli do izby, gdzie Zawracalska i dwie córki siedziały przy stole, a naprzeciwko panien przybyły wczoraj gość spijał ze szklanki kawę, przyozdobioną grubym śmietankowym kożuchem.

— Pan Prosper Tatarczany, mój miły sąsiad!— zaintonował Zawracalski, przedstawiając gości jednego drugiemu; nachyliwszy się zaś do ucha Skałeckiego, — szepnął:

— Także w młodości grzebał się po trochu w książkach...

Krakowski uczony zerwał się na równe nogi i z nadzwyczajną uprzejmością począł nawiązywać rozmowę; musiał powiedzieć Tatarczanemu jakiś kompliment, bo ten zarumienił się i mówił:

— Kiedyś tam pracowało się nad książką piąte przez dziesiąte, ale wszystko wietrzeje człowiekowi z głowy... Czy pan dobrodziej uwie-

rzysz, że ja formalnie tracę teraz pamięć?... Żeby mię kto zabił, nie umiałbym dziś powtórzyć różnych rzeczy, których się kiedyś uczyłem.

Z kolei opowiadał znów Skałecki o swoich zajęciach, o metodach kopania, o planie zbadania okolicy na lewym brzegu Wisły.

Do rozmowy wtrącił się Zawracalski, któremu żadną miarą w głowie pomieścić się nie mogło, ażeby w badaniach jakiegobądź rodzaju nie chodziło o obywateli ziemskich. Więc uczony z całą pobłażliwością i dobrodusznością wykładał, że mu nie idzie o zbadanie ekonomicznego stanu chat i dworów, czem się kto inny może zajmować; ale iż pragnie ująć typ polaka w różnych okolicach kraju, a to stosownie do cech, wytwarzanych przez wpływy miejscowej przyrody.

— Cóż za pożytek dla ludzi z takiego zatrudnienia?—pytał pan Piotr.

— Naukowy pożytek jest bardzo znaczny—odrzekł Skałecki.—W innych krajach robi się to już oddawna; u nas należy zrobić przynajmniej początek.

Kiedy znowu Skałecki mówił, co on to słyszał o Noskowicach i jak mu się ta miejscowość już na rzut oka wydaje obiecującą, wtedy Zawracalski wyobrażał sobie, że mowa jest o sławie Zatwardziałowicza, przejmowało go uczucie zazdrości i w duszy postanowił, bądź co bądź, rozpocząć kopanie pod literą *b*.

Skałecki, który dopiero co wypił kawę i twierdził, iż picie wódki jest dla niego jeszcze zawczesne, zajął się rozmową z pannami; Zawracalski tymczasem mrugnął na Tatarczanego i obaj wynieśli się na wódkę do bocznej izdebki.

— Ze wszystkiego, co on mówi, wnoszę, iż przyjechał do Zatwardziałowicza pod literę *a*— rzekł pan Prosper.

— Na miłość Boga, trzymajże sąsiad ze mną! —zawołał Zawracalski, połknąwszy spory kieliszek wódki.—To i cóż?... Mógł słyszeć o literze *a*, a pod literą *b* są też niezawodnie rozmaite piwnice, lochy. Niech sobie u nas pokopie! Skończy u mnie, przeniesie się do sąsiada. Czy się tu komu krzywda jaka stanie?

Po wypiciu wódki pan Piotr zabrał mapę, zwiniętą w trąbkę i razem z gośćmi swymi szedł na łąkę.

— Będziemy mieli porządne kopanie!—mówił Zawracalski.—Na intencyę pana dobrodzieja każę wywalić ziemi o łokieć więcej, niż mi potrzeba.. Żeby tylko udało się co znaleść!..

Badacz wdzięcznem spojrzeniem podziękował panu Piotrowi.

— Co za cudowny charakter okolicy!—powiedział Skałecki.—Ten kawałek ziemi koniecznie musi mieć prastarą kulturę.

Na skraju łąki a na jej pograniczu z gruntami Dziury, obsianemi prosem, stało dziesięć bab z rydlami, a także sołtys i Szymek Dziura. Ten

ostatni, jakkolwiek było ciepło, ubrał się w swój kożuch, w kieszeniach którego trzymał obie ręce; ciężką magierę założył sobie na tył głowy i stał na brzegu prosa, jakby strach do odpędzania wróbli.

Naturalnie, że Skałecki nic a nic nie wiedział o sporze granicznym między Zawracalskim a Dziurą.

— Sołtysie!—rzekł Zawracalski.—Biorę was tu na świadka, jako urzędnika z gminy, że włościanin Szymon Dziura worał mi się oto w łąkę i na moim własnym gruncie zasiewa proso. Raz trzeba z tem koniec zrobić; więc, żeby było według prawa, przyniosłem tu na grunt mapę; zregulujemy granicę, wykopiemy rów, oddzielający moją łąkę od Dziurowej roli.

— Ja się ta na takiej małpie nie poznam—odparł sołtys.—Zna się może na tem wójt, a najpewniej—pisarz gminny. Co ja, to nie mam nijakiego zrozumienia i świarcyć za panem dziedzicem nie mogę...

— Dla takiego głupstwa będę za wójtem jeździł i z drugiej wsi go sprowadzał? Cóż to trudnego do zrozumienia na mapie?... Patrzcie, ta czewona linijka, to moja granica! No widzicie?—wołał Zawracalski, wodząc palcem po mapie.

— Żebyś mi tu pan dziedzic uklęknął i z palcem do góry wyciągniętym na sakrament przysięgał—to nic nie poświarcę, bo się bojam ludzkiej krzywdy?...—powiedział sołtys.

— Ludzie, bójcież się wszechmogącego Boga, czym ja także nie człowiek, czy nie widzicie wyraźnie, że mi Dziura krzywdę zrobił? Nawet mapy na to nie potrzeba, aby poznać, że mi się worał w łąkę!...

— Pan dziedzic co innego, a chłop co innego! Ja ciągnę kuli sprawiedliwości — prawił sołtys. Mosz pon należyty śtuk grontu; jest się na ozem oprzeć, jest się kaj ozpierać; Dziura za się mają a to taką kapkę ino, coby ją bydlę bez noc zjadło i gęby nie otarło... Ja mam dopiero świarczyć...

— Mój Szymonie, mój Dziuro! — zwrócił się Zawracalski z mową do swego antagonisty.—Powiedzcież wy sami po sprawiedliwości — woraliście mi się w łąkę, czy nie?... — Odpowiedzcie! odwołuję się do waszego sumienia.

— Dyć ja dziedzicowi nie pedam, com się nie worał! Kóżden jacy widzi, bele poźrał, com się tęgo worał... Ino do panowej małpy takoż nie mam przekonania, a we łbie mi stoja całuśka ta bela prostucyjna, jak syćko być powinno.. No, i kiejem to ta ja się już worał w oną łąkę... Bez dwa roki nic mi pan dziedzic nie mówił, dopie ruśko rychtycki na trzeci poczeno się wele worywania takie tarmosienie — odrzekł spokojnie Dziura.

— Jeżeli się już sam, gospodarzu, przyznajesz do winy, to zaraz dziś przekopiemy rów w tem

miejscu, gdzie jest moja granica, i będzie zgoda na wieki!—powiedział Zawracalski.

— Co nie, to nie!—zawołał Dziura.—Dyć moja baba oberwałaby mi kłaki na łbie, kiejbym takową zgodę z panem dziedzicem uczynił... Ziemi tknąć nie dam! Piekna mi zgoda!.. Niechże pierwej dziedzio powie, czemu o to woranie bez dwa roki nie bywało piekła?

— A to straszne rzeczy! — rzucał się Zawracalski.—Kawałka swojej własnej ziemi nie można odebrać!

— Ja dziedzicowi pedam, co to nie było bez kozery, iżem się bez dwa roki spokojniuśko w łąkę worywał... Wielgie to ta rzeczy, a i tegobym nie uczynił bez żadnej racyi! Toć wiadomo, co mi zdechła hańta krasa krowa i co mi złodzieje wyprowadzili onę burą źrebicę; no, tom dyć nie pasał ani jednej śtuki gadziny na dziedzicowym pasterniku ni też w dziedzicowej ścierni—i szkody tako żadnej nie mogłem bez to nikaj czynić,—tom się i worał w łąkę maluśką ociupinę, co po sprawiedliwości torby sieczki nie warta..

— Dyabli mi do waszego bydła! Cóż mię obchodzi wasz pomorek?... Ja za to będę płacił?—krzyczał pan Piotr.

— Dyć wiem, co Noskowickim dziedzicom nie wadzi, kiej u Dziury krowa zdechła, a złodzieje śkapę ukradli.. Co ma dziedzica głowa o to boleć? Przyjacielstwa nie ma żadnego! Ta i mnie nie było markotno, kiej panu dziedzicowi sterała

się kupa owiec na motylice, abo jak z lamusu ukradli beczkę kwaszonej kapusty... Tylo ten kęsek ziemi, com się worał, to nie je żadne złodziejstwo; w bieluśki dzionek dyć śpiewający orałem, a nikt do mnie słowa nie rzekał. Tera już je przedawnienie i com chycił, to posiadam...

— Więc cóż wy sobie myślicie, Noskowiczanie, że ja wam to daruję? Że nie pojadę na skargę do komisarza? Że mi nie zapłacicie za krzywdy, za utrapienie? Zginę, a swojego nie dam ruszyć...—wrzeszczał pan Piotr w uniesieniu.

— A wolna droga; można jechać, kaj się podoba! Tyla ja powiem, co jeśli pan dziedzic chce zaraić na ono moje worywanie, to niech wykopie tera rów za mojem woraniem, abym się dalej jeszcze nie worywał... Ja sam z tego będę kontentny, bo kiej przed człekiem wszytko stoi otworem, to się strzymać nie można nijak.

Nastała chwila milczenia, Zawracalski, sapiąc, rozpatrywał mapę, Skałeckiego zdawała się cała sprawa nadzwyczajnie zajmować, a baby z rydlami ironicznie się uśmiechały. Pierwszy sołtys przerwał znowu milczenie, mówiąc:

— Jak pan dziedzic zechce, to będę świarczył na to, co Dziura mówią... Wykopiewa zarazicki rów za onem woraniem się do dziedzicowej łąki; sam a to chycę motykę i pomogę...

— I cóż sąsiad powie na to wszystko?—spytał Zawracalski Tatarczanego.

— Cóż mam mówić? Krew kipi we mnie i o mało mię dyabli nie biorą,—odpowiedział pan Prosper.—Ci ludzie nie mają w sobie za grosz sprawiedliwości. A sołtys prawił znowu dalej:

— Kiejby pan dziedzic zaorał ten kawałek Dziurowego prosa, toby dyć kuńca zwadzie nie było... Całuśka gromada z Noskowic, jak jeden chłop, będzie dworowi przeciwna i będą ciągiem robili na despet. Któż temu zarai? Dyć my już teraz we wsi tacy, co kiej kto krzywdę jednemu chłopu zrobi, już na takiego wszyscy, bij zabij, idziewa kupą... I cóż będzie jak panu łąkę z roku na rok spasą, a zboże wytarmoszą? Będzie to dobrze, he?... A bo to potem dostanie pan dziedzic ludzi na najem w Noskowicach? Kóżdy będzie pomstował ino za Dziurową krzywdę. Cóż komu po takiej zgodzie?...

Argumenta sołtysa, obecność Skałeckiego i gromady najemnic, jako też świeżo rozbudzony pociąg do kopania zdecydowały już ostatecznie Zawracalskiego do zrobienia ustępstwa na korzyść Dziury, kiedy ten ostatni wystąpił teraz i, uchyliwszy lekko czapkę, czego dotąd nigdy wobec pana Piotra nie czynił, rzekł:

— Cobyś wielemozny dziedzic nie rozgadywał po świecie, jako Szymek Dziura bez psotę ino wlazł w onę krzynę grontu, to się hano zaprzysięgam przy świadkach, tak mię Panie Boże skarz, a póki mi życia starczy w Noskowicach, odrobię dziedzicowi trzy dni z kosą do siana i trzy dni do

potrawu rok rocznie.,. Jak nie, to pójdę w najcięższe żniwa do roboty, jaka popadnie!.. Ino mi już tej odrobiny grontu nie zabierajcie, jeśli Bóg u was w sercu.

I z temi słowy pochylił się dumny zwykle Dziura czapką do ziemi.

Ta przemowa chłopa tak hardego, korzącego się teraz w interesie utrzymania skiby ziemi, wywarła wrażenie. Skałeckiemu jakby łza w oku błysnęła. Zawracalski wydał polecenie, ażeby rozpoczęto kopanie rowu. Dziura stanął przy ostatniej wiesze prosa, jaka na brzegu rosła i rzekł:

— Od tego miejsca możecie rów przewalić, a szkody nikomu nie będzie.

Wnet dziesięć kobiet energicznie zabrało się do kopania rowu i w miejscu, gdzie porastała zielona trawa, ujrzano czarne łono ziemi.

Dziura, odszedłszy na bok, tak rozmawiał z sołtysem:

— Kumie, jakże myślicie, dobrzem ja zrobił, com mu ustąpił?

— Ustąpiliście mu ta biesa!.. Jacy ciarach sam się zmiarkował, co was nijak nie zażyje.

— Hano, dyć kiej się chłop uprze, to zawdy przeprze ślachcica, beleby miał wytrzymałość.

V.

Po przekopaniu rowu, odgraniczającego Dziurowe proso od łąki Zawracalskiego, powracali wszyscy do dworu litera *b*. Skałecki był bardzo zadowolniony ze spostrzeżeń powyżej opisanych i twierdził, iż zdarzenia tego rodzaju, jakich właśnie był świadkiem, stanowią ważną naukę dla badacza i oświecają go o tem, czem jest lud. Zrazu Zawracalski również był w wyśmienitym humorze; być może — przyczynę stanowiło tutaj załatwienie sporu z chłopem. Zresztą, wszyscy doznawali uczuć głodu i z upragnieniem oczekiwali obiadu. Niebawem też Tatarczany pożegnał się z sąsiadem oraz ze Skałeckim, oświadczając, iż spóźniona już dosyć pora południowa wzywa go zarówno na obiad, jak i do wydawania obroków dla koni. Pan Piotr, gwarząc raźno ze swoim gościem, dochodził do domu, kiedy począł rosić ciepły lecz gęsty deszczyk. Właśnie też i Jantek polowy powracał z gromadką podrostków od grabienia i przewracania siana.

— Jakże tam robota na łące? Dużo jeszcze do grabienia? — Pytał dziedzic polowego.

— A zmarnowaliśmy do południa ze trzydzieści ludzi najmu!... Deszcz się oto na dobre zanosi, a pan dziedzic zabrał najlepsze baby do kopaczki i resztę kazał spędzić od plewienia marchwi do grabienia i przewracania siana. Na co się zda tak paprać robotę w polu? Dyć pojutrze znowuś, da Pan Jezus pogodę, przyjdzie rozrzucać i grabić to samo siano.

— Przyjdzie, to przyjdzie!...—rzekł stanowczo Zawracalski zły,— że polowy krytykuje jego dyspozycyę.

Już pod samym dworem Jantek zastąpił znowu dziedzicowi drogę i z pewnem lekceważeniem mówił:

— Cóż będziewa robić na odwieczerz? Możeby lepiej rozpędzić to psiarstwo, niech umyka do chałupy, niźli tak bałamucić caluśki dzień!

Zawracalski spojrzał na polowego i, widząc jego niezadowolnioną fizyognomię, oburzył się:

— Do kogo ty mówisz?—krzyknął.—Czy ja tu jestem dziedzicem, czy ty, kondlu jakiś?... Kto płaci za najem, kto ci jeść daje?

Polowy zmilczał i, nie czekając końca wybuchu dziedzica, zwrócił się ku stodołom, a po drodze na cały głos wygadywał:

— Wolę nie służyć, wolę w zęby nie brać takiego chleba, kiej ma być sama ino mitręga! U Zatwiardzialskiego dyć całe dopołudnie syćko

było u plewienia... Ja rozumiem, co kiej grabić — to grabić, a kopać — to kopać...

Pan Piotr byłby nie zwracał uwagi na ów głośny monolog Jantka, bo już poniekąd przywykł do opozycyi swego polowego; ale uraziło go porównanie z dziedzicem Noskowic litery *a*, więc poskoczył czemprędzej w wielkiej złości, wykrzykując:

— Milczeć, albo precz ze służby!... Będziesz mi ty tu drugich za przykład dawał!... Ja sługi potrzebuję, nie pana nad sobą, nie kontrolera!... Rozumiesz, błaźnie! Ruszaj do Zatwardziałowicza, kiedy ci tam smakuje! Widzisz go! A przecie służył już u tego pięknego Zatwardziałowicza!... Dobrali się dwa ananasy!...

— A pójdę, pójdę — Mruczał zuchwale Jantek. — Nie po takichem ja służbach chodził; dopieruś tutak zrobili ze mnie popychadło!... Czy mi to kto świat zawiązał pod literą *b*?... Poszukaj ta se innego polowego!

To zajście popsuło Zawracalskiemu humor, jednakże zjadł obiad z apetytem; poczem polecił Wickowi Zajmie karbowemu zająć miejsce zbuntowanego Jantka, dopóki się nie zdarzy kandydat na tę posadę.

Jeszcze tego samego dnia Jantek porzucił służbę we dworze pod literą *b* i jakoś przed zachodem słońca udał się do dworu pod literą *a*. Tenże polowy Jantek, chłop trzeźwy a do roboty nadzwyczajnie zręczny służył już był przed rokiem

u Zatwardziałowicza, a wydalono go ze służby z tego mianowicie powodu, iż krytykował zwykle rozporządzenia dziedzica, zamiast je ściśle wypełniać. Zresztą, na całem terytoryum Noskowic pełno było takich służących, którzy, porzuciwszy służbę pod literą *a*, przenosili się pod literę *b* lub *c* i odwrotnie. Każdy zaś taki służący był malkontentem odnośnie do poprzedniego swego pryncypała.

Zatwardziałowicz po ostatniej swej chorobie bardzo powoli przychodził do zdrowia, a żona jako też dwie jego córki — Fruzia i Frania, pomne na dane sobie zalecenia lekarzy, utrzymywały pana Dyzmę w jak najściślejszej opiece. Ponieważ bowiem lekarze jednogłośnie się zgadzali, iż Zatwardziałowicz ma niebezpieczną manię na punkcie poszukiwania skarbów, przeto kobiety starały się wszelkimi sposobami wybić mu tego ćwieka z głowy. A jakże to inaczej zrobić mogły, jeśli nie przez ciągły dozór chorej głowy rodziny. Otóż, teraz już przy panu Dyzmie zawsze się znajdowała żona lub którakolwiek z dwóch córek, a całe zadanie polegało na tem, ażeby drogą rozmowy potok myśli rekonwalescenta odwracać zarówno od gospodarskich kłopotów, jak i od umiłowanego kopania. Kobiety też owe zastępowały Zatwardziałowicza w czynnościach uprawy ziemi i hodowli ziemiopłodów; chodziły w pole, do gumna, stajen, obory. Jedwabne, jak to mówią, życie prowadził pan Dyzma; pijał wy-

borną kawę, jadał owoce, jakie przynosiła pora roku, palił fajkę, słuchał kobiecych plotek. Czasem atoli budził się w nim gospodarz, a czasem poszukiwacz po aryańskich skarbów; wtedy jakiś niepokój go opadał i stawiał pytania, których jego otoczenie wysłuchiwało z niepokojem, uważając to za chorobliwe objawy maniactwa. Córki pieściły w takich razach pana Dyzmę, a żona gotowa była tańczyć, ażeby męża rozbawić i odwrócić od niebezpiecznego, jak mawiała „rozmyślania". Już to pani Salomea Zatwardziałowiczowa niewzruszenie w to wierzyła, że każdy, kto dużo myśli, musi wcześniej lub później zwaryować. Dziedzic Noskowic litery *a* nie był zbyt wielkim myślicielem, jednakże zadumywał się czasami.

Fruzia i Frania były to przystojne panienki; młodzież z okolicy mawiała, że są „niczego". Czerstwe brunetki każdemu mogą się podobać. Młodsza Frania liczyła lat dziewiętnaście i była bardziej kochaną przez ojca, — starsza Fruzia miała lat dwadzieścia jeden i nieco więcej kochała ją matka znowu. Predylekcya ojca do Frani, a matki do Fruzi pochodziła stąd, iż każde z rodziców upatrywało w jednej córce podobieństwo do siebie, tak pod względem rysów, jak i charakteru. O podobieństwo owo państwo Zatwardziałowiczowie spierali się ze sobą podobno od chwili przyjścia na świat tych córek.

Obie panny Zatwardziałowiczówne, podobnie jak dwie Zawracalskie, niewiele się uczyły; je-

dnakże zarówno pierwsze jak i drugie przebywały po parę lat w Pińczowie na tak zwanej pensyi żeńskiej. Fruzia skłaniała się więcej do celów praktycznych, Frania wolała nic nie robić.

Matka tych panien wyglądała wybornie — nizka, okrągła, ruchliwa, zawsze czynna, zakochana w mężu i niezłomnie wierząca w jego mądrość, która jednak — zdaniem pani Zatwardziałowiczowej — „mogła mieć zły koniec, gdyby taki człowiek miał inną żonę.“

Właśnie na ławeczce w ganku siedział Zatwardziałowicz wybladły, ubrany w grubo watowany szlafrok i palił tytoń z fajki na bardzo długim cybuchu. kiedy przez dziedziniec zdążał ku dworowi polowy Jantek, który tego samego dnia od południa porzucił służbę u Zawracalskiego; szedł on od wjazdowej bramy, powoli się zbliżając, tak iż Zatwardziałowicz zdaleka już poznał dawnego swego sługę. Jantek, wszedłszy na ganek, obnażył głowę, schylił się ku nogom pana Dyzmy i pozdrowił bożem słowem.

— Jantek, Jantek! Jakże się masz? Cóż cię tu do nas sprowadza? — pytał Zatwardziałowicz.

— Ha, przyłażę tu do wielemożnego pana, możebym się kajniebądź zawiesił przy dworze!.. — odrzekł Jantek. — Tać wiadomo. co robotę spychać umiem i na łyżkę żuru zawdy zarobię.

— A to co znowu takiego? Służby nie masz? Przecież byłeś polowym we dworze pod literą *b*.

— I cóż z tego, wielemożny panie, kiej tam człowiek nijak wybyć nie może!... Pan okrutnie zły, ciągiem klnie ino, aż się piekło trzęsie; toby ta jeszcze nic nie znaczyło, ino ładu niema w tamtych Noskowicach; taka mitręga i bałaganiarstwo, co starowny człowiek bez mała tam u nich nie oszaleje.

— No, ale za cóż cię znowu wydalili w środku roku? Musiałeś chyba co zbroić?

— Onby mię ta ze służby i nie wygnał, tyla sam odszedłem, bo przenieść nie mogłem, kiej na psa idzie gospodarstwo: pan Zawracalski na swoją stronę, ja na swoją.. A taki z niego zacięty człowiek, co mędrszemu ani rusz nie chce ustąpić.

— Mówże mi, co się stało?—mówił pan Dyzma ożywiony.

— Co się stało, to się już nie odstanie! Żeby on mi dzisiaj złote góry dawał, tobym do niego nie wrócił!

— Hm, musieliście się przemówić?

— Przemówienia ta nie było, wielemożny panie, ino ja mu pedam, co pod litrą a najem był przez cały dzień u plewienia marchwi, a on jak się na mnie dopiero obrusy, jak mi pocznie przy ludziach przycinać, pomstować: „ty taki, siaki, owaki!“ takem się z nim aż pohandryczył.

— A ha, zgniewał się, żeś mu moje gospodarstwo za przykład postawił!

— Zgniewał się i sklął mię w złości!... Ma on to jakie uważanie na kogo? Tać wrzeszczał,

aż się zaślinił: Będziesz ty mi się tu Zatwardziałowiczem zastawiał?... Z Bogiem, z Bogiem, ruszaj do Zatwardziałowicza; on tu po to jest w Noskowicach, żeby u siebie zbieraninę różną utrzymywał! Taki, jak ty, w sam raz dla Zatwardziałowicza! Więc też wziąłem nogi za pas i przyszedłem.

Panu Dyzmie krew oblała policzki i mruknął z przyciskiem:

— Osieł jeden!..

— A syćko poszło o to, co mi z pola najlepsze baby zabrali od roboty do kopaczki; niechby ta było i grabienie siana, bele mi ludzi nie odciągali...

— Jak to, Zawracalski kopie? — zapytał Zatwardziałowicz z gorzkim uśmiechem na ustach. On poszukiwania robi w ziemi?

— Juści kopie kopie! I jak jeszcze kopie.. Przyjechał do niego jakiś omętra, czy ta kto; dworskie dziewki rozpowiadają, co tera we dworze ciągle ino o kopaniu rozmawiają... Takoż i Tatarczany z nimi tera trzyma; pewnikiem obaj hańci dziedzice umyślnie do Noskowic tego omętrę sprowadzili...

— A gdzież oni już kopali?

— Wele Dziurowego prosa zrychtowali rów pono taki, coby się dobry chłop weń schował.

— E to pewno chodziło o sprostowanie granicy, bo Dziura oddawna worywa się Zawracalskiemu w łąkę..

— Juści, musiało im o to chodzić, bo tam i sołtys paradował... Ino ten ślachcic jakiś, co ludzie pedają, że od Galicyi do Noskowic przyjechał, gwałtem ponoś Zawracalskiego do kopania ciągnie; pono w on rów przy Dziurowym prosie ciągiem właził, brał w rękę po garstce ziemi i rozpatrywał a wąchał... Baby się temu strasznie dziwowały i mówiły, że chce coś przewąchać

— Więc i Tatarczany był z nimi?

— A juści, we trzech sobie dogadują jeden drugiemu.

Zatwardziałowiczowa, która była na chwilę odeszła do gospodarskich zajęć i męża samego pozostawiła w ganku, przybyła właśnie podczas opowiadania Jantka; przeraziła się ona ogromnie, widząc, iż małżonek jest jakiś wzruszony i niespokojny.

— Co to jest? Co się tu stało? — zapytała, groźnym wzrokiem mierząc Jantka od stóp do głów.—Czego Antoni chce od pana?...

Chłop nie zrozumiał tego zachowania się pani Salomei, więc tylko oddał niziuchny pokłon, do samej ziemi zniżając rękę i dobrodusznie odrzekł:

— Za służbą łażę, wielmożna dziedziczko!

— Niechno Antoni idzie zaraz do kuchni, to się tam rozmówi ze starszą panienką. Pan teraz jest chory i nie można mu się naprzykrzać.

— Dyć ja tu wielmożnego pana, niczem nie strapiłem, tyla rozpowiadam o własnej biedzie.—

Powiedział Jantek i spokojnie wyniósł się do kuchni.

Pan Dyzma, pozostawszy w ganku sam na sam z żoną, bynajmniej nie odzyskał spokoju; naprzód począł zrzędzić na swą połowicę, że wypędziła, Jantka, z którym on miał chęć rozmawiać; później rozgoryczał się coraz bardziej i wpadł w gniew. Wyobraźnia nastręczała mu nieustannie Zawracalskiego, który sobie drwi z dworu litery *a*, bierze się do kopania i bardzo być może, iż w tym celu sprowadził nawet inżeniera.

— No, moi państwo, ten głupiec śmie powiedzieć przy ludziach, że u mnie źle idzie gospodarstwo!... Hebes osieł dardanelski, on się bierze do kopania! Albo on może wiedzieć gdzie się powinno kopać! — wykrzykiwał w ganku pan Dyzma; na bladą twarz wystąpiły mu wypieki zaogniły się przygasłe oczy; fajka spadła mu z cybucha i w zapale nie wiedział wcale o tem, machinalnie jednak wkładał do ust cybuch i ciągnął z niego powietrze.

Zatwardziałowiczowa wzięła się czem prędzej do ukojenia mężowskiego gniewu, w duszy zaś postanowiła sobie, dobrze Jantkowi natrzeć uszu za opowiadanie jakichś drażliwych bajek, wyniesionych ze dworu pod literą *b* a mogących narazić jej męża na chorobę. Jednakże tą razą pan Dyzma nietylko się nie uspakajał pod wpływem małżonki, lecz dochodził do coraz większego wzburzenia.

Niebawem pojawiła się tu i Fruzia, która zręcznie poczęła namawiać ojca, aby zjadł odgrzewaną potrawkę z kurczęcia, za czem Zatwardziałowicz przepadał zwykle; ale dziś nie chciał on o niczem słyszeć, wymyślał tylko na Zawracalskiego, wybuchał, trząsł się z gniewu.

— O miłosierdzie Pańskie, zlitujże się też nad nami!—wołała Zatwardziałowiczowa.—Jak dwa a dwa—cztery, niezawodnie przyjdzie recydywa... Przybiegła i Frania, ona, ten „wykapany ojciec", dzisiaj także nie miała żadnego wpływu. Pan Dyzma począł łajać żonę i obie córki, że mu wszystko psują w gospodarstwie, że się wtrącają w nieswoje rzeczy, którym kobiety nigdy rady nie dadzą i t. d.

— Dwór litera *a*, co był zawsze wzorem, stanie się teraz pośmiewiskiem okolicy i to z waszej łaski—wołał Zatwardziałowicz.

— Ależ, Dyziuńku, uspokój się; przysięgam ci, że będziesz mógł robić, co chcesz; trzeba tylko, żebyś do sił powrócił! Miejże wzgląd na te dzieci, już nie na mnie; patrzaj, one się zapłaczą.

Rzeczywiście, czy to z powodu ojcowskiego łajania, czy z obawy o stan zdrowia pana Dyzmy, zapłakana Fruzia fartuszkiem ocierała sobie oczy, a Frania też gotowa była lada chwila wybuchnąć płaczem.

— Żebyście mi Jantka z domu nie usuwały! Dosyć mam tych babskich rządów!— wykrzykiwał Zatwardziałowicz.—Muszę tego chłopa zaw-

sze mieć pod ręką, żebym w każdej chwili wiedział, jak stoi robota w polu, czy koło domu.

Minęły nareszcie wybuchy gniewu, wyczerpała się energia chorego i pan Dyzma zwolna przychodził do siebie, choć ciągle jeszcze pomrukiwał.

— Błazen, zje on dyabła!... A niech sobie kopie!... Zobaczymy, czego się taki dokopie...

W nocy Zatwardziałowicz sen miał niepokojący a pani Salomea nie mogła oka zmrużyć, ponieważ małżonek nieustannie przez sen rozmawiał i najwyraźniej z kimś się zacięcie kłócił; majaczył o aryanach, o lochach, wykrzykiwał groźne słowa. Stroskana niewiasta porzuciła łóżko, udała się do córek i poleciła Fruzi zapalić w drugim pokoju dwie świece przed obrazem Matki Boskiej, ażeby w ten sposób uprzedzić niejako oczekiwaną recydywę.

Nazajutrz Zatwardziałowicz wstał bardziej jeszcze blady i jakiś zmizerowany; z niezwykłą obojętnością przyjął od córek ucałowanie ręki na dzień dobry; wypił kawę, nic nie jedząc, zapalił fajkę i dosyć szorstkim głosem polecił Frani, aby mu przyzwała Jantka. Kobiety chodziły teraz na palcach, z ukosa tylko spoglądając na pochmurne oblicze głowy domu.

Niebawem Jantek polowy stanął przed nowym swym panem i wyprostowany jak drut, słuchał wyższych rozporządzeń.

— Dopóki nie odzyskam siły w nogach — mówił Zatwardziałowicz — będziesz mnie zastępował przy gospodarstwie...

Jantek pochylił się ku ziemi, dziękując za dowody zaufania.

— Obejdziesz mi dzisiaj zaraz stodoły, stajnie, obory, zobaczysz, czy gdzie niepotrzeba jakiej reparacyi; pójdziesz potem do ogrodu, w pole, na łąki,— obejrzysz tam płoty, rowy, przykopy! Pamiętaj sobie, żebym ja o wszystkiem wiedział! Jesteś u mnie teraz rządcą!

Chłopu twarz się rozjaśniła i oddał dziedzicowi jak najniższy pokłon.

— Z nikim nie będziesz mówił o gospodarstwie, tylko ze mną jednym a najem podasz zawsze do zapisu młodszej panience... Zrozumiałeś?

— A jakże, zrozumiałem, wielmożny panie! — odpowiedział nowy rządca.

— No, to idź i zrób wszystko, jak się należy!... Ale, ale, przybliżno się tu do mnie?...

Jantek poszedł do dziedzica i pochylił przed nim głowę a Zatwardziałowicz szepnął mu do ucha:

— Pamiętaj mi dobrze spenetrować, co robią we dworze pod literą *b*... Uważaj, czy i gdzie dzisiaj kopią, ile ludzi przy tem pracuje, kto ich dogląda?

Zaledwie Jantek opuścił progi dworu a już wyszła za nim Zatwardziałowiczowa, przyzwała go do siebie z tajemniczą miną, odprowadziła na

tyły domu i poczęła wybadywać, jakie to rozporządzenia wydał mąż na ucho. Chłop widocznie chciał uszanować tajemnicę swego pana; ale z drugiej strony nie umiał się oprzeć życzeniom dziedziczki, więc zdradził poufny rozkaz pana Dyzmy.

— Słuchajcieno, Antoni, zanim się zobaczycie znowu z panem, musicie zemną pomówić—rzekła Zatwardziałowiczowa. — Ja wam powiem, co trzeba dziedzicowi mówić.

— Juści prawdę szczerą będę świadczył—odparł Jantek.—Nijakiego obszukaństwa nie będzie.

VI.

Skałecki w towarzystwie Zawracalskiego i Tatarczanego obchodził tymczasem niezbyt obszerne terytoryum Noskowic, o ile ono należało do dworów pod literami *b* i *c*. Podczas tej przechadzki spostrzegł on, iż na gruntach pana Piotra, tuż pod laskiem znajduje się jakaś pagórkowata wyniosłość i postanowił ją rozkopać. Tego samego więc dnia, kiedy Zatwardziałowicz mianował swoim rządcą ekspolowego Jantka, z dworu pod literą *b* wyruszyło w kierunku lasku dziesięć bab, uzbrojonych w rydle, celem rozkopania owego wzgórza. Tym razem robotą kierował sam badacz. Długo kopano i kopano bez żadnego widocznego rezultatu; Skałecki troskliwie przetrząsał ziemię, rozgrzebywał jej grudki, znajdował czasem jakieś krzemienie, które rozpatrywał, oczyszczał, odkładał na bok. Zawracalski i Tatarczany spoglądali na te krzemyki z najzupełniejszą obojętnością; oczywiście nie przywiązywali do nich najmniejszego znaczenia, a czasem

nawet spoglądali na siebie, jak gdyby się porozumiewali, szydząc z młodego uczonego. Dopiero wydobyty z ziemi jakiś mały pieniążek zwrócił na siebie ich uwagę w wyższym stopniu. Skałecki począł się tutaj nieco rozwodzić, opowiadał obu dziedzicom, że znaleziony pieniądz pochodzi jeszcze z rzymskich czasów i że stanowi on świadectwo ważne ruchu handlowego, jaki onego czasu miał miejsce pomiędzy południową Europą a morzem Baltyckiem, na tak zwanym bursztynowym trakcie, którego jedną ze stacyj był także Kraków. Opowiadanie to i komentarze mocno zajęły Noskowickich obywateli; teraz już i oni także poczęli poważniej patrzeć na sprawę kopania, gmerali w wydobytej na wierzch ziemi laskami i rękami.

Już było bardzo blizko południa, gdy naraz okrzyk zdziwienia rozległ się między kopiącą rzeszą, bo oto jedna z pracujących tu kobiet natrafiła ostrzem rydla na jakiś garnek, który się niebawem rozpadł w kawałki, a z jego wnętrza wysypała się znaczna ilość sztuk srebrnej monety. Ów widok szlachetnego kruszcu wywarł na wszystkich wpływ magiczny. Zawracalskiemu i Tatarczanemu zaświeciły się oczy jakimś fosforycznym blaskiem; zdumione baby z otwartemi usty i wytrzeszczonemi oczyma wpatrywały się w rozsypane poczerniałe pieniądze—słowem była to nadzwyczajna niespodzianka, wobec której jeden Skałecki zachowywał się zupełnie zimno;

brał on do ręki kolejno różne sztuki, wycierał je chustką od nosa, nareszcie wycedził przez zęby:

— Nie znaleźliśmy nic szczególnego! Sądziłem, iż tu jest cmentarzysko; ale nic to nie znaczy, trzeba kopać głębiej jeszcze... Te monety wszystkie są już bardzo dobrze znane a przeto odkrycie ich dla nauki nie ma żadnego znaczenia.

— Ależ to czyste srebro! — zawołał Zawracalski.

— Tak jest, srebro... — Odparł obojętnie archeolog.

Właśnie w tej chwili, kiedy się zdarzyło powyższe odkrycie, ukryty poza drzewem w lasku, Jantek rozpatrywał sprawę kopania; widział on zdala jakiś zamęt wśród kopiących, rozważył, że się stać musiało coś nadzwyczającego a pragnął dociec przyczyny. Nie chcąc być spostrzeżonym przez Zawracalskiego, Jantek wgramolił się między gałęzie drzewa, rosnącego na brzegu lasu i w ten sposób z góry mógł już lepiej prowadzić obserwacyę, której widocznie potrzebował do sprawozdania przed swoim nowym panem.

Wieść o znalezionych pieniądzach gruchnęła piorunem po Noskowicach i rozeszła się w okolicy. Na najbliższym jarmarku w Skalbmierzu ludzie załatwiający interesa kupna i sprzedaży, z nadzwyczajną skwapliwością rozmawiali o Noskowickich skarbach; niejeden nic nie sprzedał,

nic nie kupił, ale się za to nagadał i zebrał mnóstwo materyału do opowiadania w domu. A do jakich też to rozmiarów wszystko urosło!... Już owe baby, będące przy kopaniu, zrobiły z igły—widły, cóż dopiero inni, którzy się na słuchu jedynie opierali!

Zawracalskiego w mgnieniu oka wykierowano na Krezusa, przypuszczano bowiem, iż podczas nocy wydobył własnemi rękoma jeszcze daleko większe skarby od tych, które najemne kobiety w dzień odkopały; fakt ten miał sprawdzić trzechmorgowy właściciel z Noskowic, Kazimierz Zajma a obwieściła to po świecie jego żona. Wszyscy opowiadali, że Zajma na własne oczy widział wyraźny odcisk skrzyni, na glinie; jeżeli zaś była skrzynia, to musiały w niej być skarby, a jeżeli były skarby to je musiał zagarnąć Zawracalski.

Atoli wieści tego rodzaju nie były wcale szkodliwe dla pana Piotra; owszem, sława jego wzrastała a o Zatwardziałowiczu świat zdawał się coraz bardziej zapominać. Ten i ów sąsiad z okolicy, przejeżdżając przez Noskowice, zatrzymywał się teraz we wsi i ciekawie wypytywał chłopów o różne szczegóły, dotyczące dworu litery *b*. Różni znowu ludzie, którzy kiedykolwiekbądź w życiu mieli szczęście widzieć Zawracalskiego, zajeżdżali prosto do jego dworu; wymyślali sobie rozmaite interesa, aby upozorować odwiedziny; dużo zaś było i takich, którzy składali wizytę,

wprost się oświadczając z przyjaźnią i życzliwością.

Matki też i ojcowie z sąsiednich dworów namawiali teraz swoich dorosłych synów do zawiązywania stosunków z domem państwa Zawracalskich, gdzie były „panny na wydaniu".

Obie Zawracalszczanki — Joasia i Polcia nie były przystojne w takim stopniu, jak panny Zatwardziałowiczówne, miały bowiem długie nosy, piegowate twarze i zawsze czerwone ręce; powiadano o tych rękach, że w dotknięciu były zimne i sprawiały pewne uczucie oślizgłości. Mimo to, panny Zawracalskie zwracały teraz na siebie uwagę. Kiedy w niedzielę matka, pani Magdalena, szła z córkami przez środek kościoła ku wielkiemu ołtarzowi, stojący po bokach ludzie usuwali się nader skwapliwie z drogi i z uszanowaniem spoglądali na małżonkę oraz na potomstwo mniemanego posiadacza skarbów.

Tatarczany żył też obecnie w bardzo zażyłych stosunkach z dworem pod literą *b*; i on w głębi duszy nieraz myślał sobie, że świat może słusznie przypisuje panu Piotrowi posiadanie znalezionych skarbów. „Ten Zawracalski, karmiony szpakami, chytry lis, mógł przecież przewąchać skarby i wydobył je z pod ziemi".

Zresztą dwór litera *b* sam poniekąd upoważniał do podobnych mniemań; bo przedewszystkiem pan Piotr rozpoczął budować murowany spichlerz a w ciężkie czasy tacy tylko budują, którzy

mają gotówkę; pannom znowu sprowadzono z Krakowa jakieś osobliwe kapelusze; w domu pojawił się na stole nowy samowar i t d., i t. d. Wprawdzie rodzina Zawracalskich corocznie sobie robiła jakieś sprawunki, ale poprzednich lat nikt na to nie zwracał uwagi.

Wobec takiego położenia rzeczy, zawahał się i pan Prosper, czyby nie należało już raz porzucić kawalerskiego stanu; jednakże bardzo trudno mu było rozstrzygnąć, która z dwóch sióstr—Joasia czy Polcia, posiadała lepsze kwalifikacye na małżonkę. Częstokroć w długich milczących monologach Tatarczany tracił dużo czasu, usiłując rozwiązać owo zawiłe pytanie i nigdy nie zdołał ze sobą samym dojść do jakiegoś ładu. Nieraz już sobie był postanowił gruntownie, że całą siłą afekta swe skieruje ku Joasi, godnej ze wszechmiar zostać towarzyszką życia dziedzica Noskowic litery c; ale kiedy przybył do domu państwa Zawracalskich, wnet zmieniał postanowienie, gdyż znowu Polcia wydawała mu się i poważniejszą i odpowiedniejszą. Takie ostatnie zdecydowanie gustu nie było jednakże długotrwałe, gdyż nazajutrz znowu pan Prosper powracał do poprzedniego ideału, wykrywszy w Joasi jakiś wdzięk albo cnotę. Zapobiegliwie rozpatrywała to wszystko pani Magdalena, sięgając myślą swoją w przyszłość, kiedy będzie należało przygotowywać wyprawę dla córki.

Ludziom bynajmniej nie chodziło o to, czy Tatarczanemu podoba się Joasia lub Polcia; oni mieli tylko potrzebę głosić, że pan Prosper najniezawodniej zostanie zięciem Zawracalskiego i to głosili. Nawet niektórzy śmieli sąsiedzi wręcz zaczepiali Tatarczanego w te słowa:

— Kiedyż tam powitamy kosmato łaskawego sąsiada?...

Pytaniu towarzyszył zwykle dobroduszny uśmiech a pan Prosper się kłaniał, ściskał rękę pytającemu i rad był w duszy, że ludzkość także i o nim nie zapomina.

— Trzeba się chyba ożenić — myślał — kiedy ludzie o tem tak mówią.

— Ale z którą się tu ożenić?

Wpadł mu w rękę jakiś kwiatek, więc odrywał listek po listku i za każdym razem machinalnie powtarzał: „Joasia, Polcia,—Joasia Polcia"; wypadła mu na końcu Polcia.

— Właśnie że Joasia! — powiedział sobie w duszy.

Może byłby się i ożenił, gdyby go również nie ogarnęła mania kopania.

Skałecki tymczasem kopał i kopał a gdziekolwiek się ruszył, wszędzie szedł z nim Zawracalski, który formalnie tracił teraz głowę, tak się zamiłował w kopaniu; rozpoczął on budować śpichlerz, lecz sam tego nie dopilnował, podobnie jak zaniedbywał inne czynności gospodarskie. Krakowski uczony stał się złym duchem Nosko-

wic. Bywały zdarzenia, że kopanie odbywało się teraz już dwóch miejscach jednocześnie; przy jednem ślęczał Zawracalski a przy drugiem—Skałecki. Pana Piotra mniej poczęło obchodzić, gdzie należy orać, włóczyć, siać, aniżeli — gdzie nazajutrz ma być kopanie.

Na dziedzińcu w pogodne dni obmywano stosy kości i krzemieni. Jednego z psów, który raz ważył się porozwłóczyć te kości po rozmaitych dziurach, Zawracalski w przystępie gniewu własną ręką zastrzelił. Służba z podejrzeniem przyglądała się owym praktykom dziedzica, i dziewki zawyrokowały, iż pan Piotr do czarów chyba potrzebuje takiej masy kości oraz krzemieni, będących pewno piorunowemi strzałkami. Taki też Skałecki, „omętra, nizinier czy coś takiego“, bardzo łatwo mógł mieć stosunek z nadprzyrodzonemi a nieczystemi siłami; przyjechał on aż z Krakowa, ażeby w Noskowicach wyrabiać „ceć niejakie psoty“.

Ale jakąkolwiek człowiek ma sławę u swoich bliźnich, zawsze mają oni dla niego pewien respekt, choćby go nawet nienawidzili. I to jest więcej warte, niż stanowcza obojętność, lekceważenie. Wśród Noskowickich właścicieli hegemonia litery *b* była obecnie aż nazbyt widoczną.

A pan Dyzma nietylko nie przychodził do zdrowia, lecz ciągle podupadał na siłach i przytem dziwaczał, robił się nieznośnym mantyką,

złośnikiem. Wprawdzie Jantek znał się wybornie na gospodarstwie rolnem i z łatwością mógłby był niewielką posiadłość pod literą *a* utrzymać w dobrym stanie; ale cóż kiedy chłop ten musiał się przeważnie oddawać śledzeniu czynności Zawracalskiego. Sprawozdania Jantka dolewały tylko goryczy do duszy Zatwardziałowicza.

Wieściom o skarbach, znalezionych na gruntach pod literą *b*, zrazu nie dawał wiary pan Dyzma; później uwierzył on w to co prawda, jednakże gryzł się tylko wewnętrznie a nie dawał po sobie poznać, że wierzy. Frania, Fruzia i pani Salomea już się teraz dostatecznie oswoiły z gderaniem nieustannem, z częstemi wybuchami gniewu pana Dyzmy.

— Biedaczysko — mówiła żona — najniezawodniej wątroba mu rośnie. Nie trzeba mu się sprzeciwiać, niech się wygniewa.

Ponieważ obecnie Zatwardziałowicza mniej strzegły kobiety, więc też do uszu jego ze wszystkich stron dochodziły przerozmaite plotki.

Szczególny był duchowy stan tego człowieka. Czasem wysłuchiwał on z lubością opowiadania pierwszej lepszej baby, byleby to opowiadanie odnosiło się do dziedzica litery *b*; ale kiedy w domu żona lub córka która wymówiła nazwisko Zawracalskiego, albo nawet imię jego żony, którejś z córek a wreszcie i Tatarczanego, wtedy

dy wpadał w rozdrażnienie i wybuchał gniewem.

Złe były w tym roku urodzaje pod literą *a* i bieda zagrażała. Zatwardziałowicz kazał sobie sprowadzić z Działoszyc żydów, kupców zbożowych. Ci się z nim rozgadali, sławiąc pszenicę Zawracalskiego.

— I skarby znalazł i rodzi mu się zboże.— Mówili żydzi.

Ta pochwała rozjątrzyła pana Dyzmę, tak że żydom strasznie nawymyślał i jednego ziarnka zboża nie chciał im sprzedać, choć była wielka potrzeba pieniędzy. Ale kupcy wcale się nie zrazili tem, iż Zatwardziałowicz nazwał ich szachrajami, oszustami, złodziejami a przytem naklął piorunami siarczystemi i t. d. Cierpliwie wysłuchali całej mowy i z wielką stałością znieśli niepowściągliwe wybuchy gniewu, jakkolwiek pan Dyzma zamierzył się nawet długim cybuchem z takim rozmachem, że z niego spadła fajka i niby kamień, wyrzucony z procy, ugodziła w głowę pana Herszka Knota. On podniósł fajkę z ziemi i pełen spokoju podał ją Zatwardziałowiczowi, który z kolei rzeczy począł się teraz uspakajać i łagodnieć. Tego właśnie żydom było potrzeba; wiedzieli bowiem, że człowiek, który się w gniewie wyszalał, jest potem już dobroduszniejszy i bardziej podatny do interesu.

Herszek Knot wybył z zanadrza mnóstwo żółtych i zielonych biletów na jakieś zagraniczne loterye; począł przedstawiać panu Dyzmie, że można odrazu wygrać krocie; opowiadał, ilu to już ludzi stało się w taki sposób bogatymi Zatwardziałowicz dnia tego sprzedał żydom dwadzieścia par zboża i zakupił aż trzy losy na loteryę.

— Gdybym wygrał kilkadziesiąt tysięcy rubli—mruczał sam do siebie - nauczyłbym ja jego kopać....

Stopniowo zapalał się także do kopania Tatarczany a kiedy Skałecki na jego gruntach rozpoczął poszukiwania, wtedy pan Prosper okazał się być najlepszym archeologiem w Noskowicach. Kto się tu bo nie nauczył archeologii przy tem kopaniu!... I chłopi i baby poznawali się na różnych krzemykach.

Pod literą *c* najgłębiej sięgano wewnątrz ziemi; znaleziono tutaj kilkanaście bardzo pięknych urn, co było nie na rękę Zawracalskiemu; w ogóle krzywił on się na owo przeniesienie poszukiwań pod literę *c*, wówczas gdy—zdaniem jego—pod literą *b* dosyć jeszcze było do roboty. Pani Magdalena atoli reflektowała męża, ponieważ wszystko jej mówiło, że Tatarczany lada dzień oświadczy się o rękę Joasi.

Trzeba zaś wiedzieć, że obie panny Zawracalskie i ich matka codziennie przy obiedzie i przy herbacie wysłuchiwały kompletnych wykładów

Skałeckiego o cywilizacyi przedhistorycznej. Młody badacz był tak zapalony do swoich studyów, iż nie bacząc, że całe jego audytoryum przedewszystkiem nie umie wcale historyi, nauczał każdego, kto zechciał, owej przed-historyi. Dwa dwory pod literami *b* i *c* marzyły nieustannie o epokach—kamienia, bronzu i żelaza; w każdym wykopanym krzemieniu widziano jakieś narzędzie prastarych czasów: nóż, strzałę, topór, oszczep, buławę, rękojeść toporu lub noża i t. d. Joasia i Polcia chodziły częstokroć do kopania na grunta Tatarczanego pod literę *c*, o czem gdy się znowu dowiedziały panny Zatwardziałowiczówne, wyjawiały niezmierne oburzenie iż Zawracalskie uczęszczają na terytoryum bezżennego człowieka i zupełnie sobie lekceważą opinię. Rzecz prosta, że poglądy córek pana Dyzmy dochodziły do uszu córek pana Piotra i w ten sposób potężniał antagonizm obu dworów, dzięki wpływom nauki.

Można sobie wyobrazić przerażenie całej rodziny Zawracalskich, kiedy Skałecki jednego dnia z zimną krwią oświadczył podczas obiadu, że pragnie odwiedzić Zatwardziałowicza i prosić go o pozwolenie kopania na gruntach pod literą *a*.

— Jest to już ostatnie dzieło, jakie mi pozostaje przeprowadzić w Noskowckich—mówił archeolog—a bodajbym się nie omylił, że będzie ono najpłodniejsze dla nauki. Na gruntach pana Zatwardziałowicza mam nadzieję poczynić ważne odkrycia.

Naprzód pozorną obojętnością powitano przy stole to oświadczenie; następnie pan Piotr usiłował przekonywać Skałeckiego, że ciężka praca wcale się nie opłaci pod literą *a*. Uczony jednakże uparcie żywił wprost przeciwne przekonanie i zdradzał jak najwyraźniejszy zamiar nieodstąpienia od swych postanowień; formalnie się zapalał do zrobienia tego kroku. Wtedy Zawracalski skierował rozmowę na charakter pana Dyzmy, na jego dziwactwa, drażliwość, wybuchy gniewu i trudny w ogóle stosunek z człowiekiem tego rodzaju.

Nic nie pomogło, Skałecki się uparł, a na upór nie ma lekarstwa.

Pan Piotr, wiedząc, że to nie przelewki, zamknął się w osobnym pokoju z żoną oraz córkami i złożył walną naradę, żeby Skałeckiego w żaden sposób nie puszczać do Zatwardziałowicza.

— Róbcie, co chcecie! — zawołał.—Ale mu iść nie dajcie pod literę *a*, bo tego na sobie nie przeniosę... Zresztą i ja będę działał a sądzę, że Tatarczany również stanie po mojej stronie.

Zdawszy rodzinie opiekę nad Skałeckim, pobiegł Zawracalski do pana Prospera, który właśnie wygrzebał był z ziemi jakiś ogromny gnat, oskrobał go starannie, oczyścił, wysuszył i siedząc przed domem, rozpatrywał; albowiem wszystko mu się zdawało, że odkrył na kości wyryty rysunek jakiegoś przedpotowego zwierzęcia, którego wizerunek pokazywał mu Skałecki

w książce. Zawracalski już i tak był niekontent, że Tatarczany za nadto samodzielnie bierze wykopaliska do serca, że bobruje po swoich gruntach, wtedy gdy kopanie było dotychczas przywilejem na gruntach litery *b*. To też, spostrzegłszy pana Prospera, zadumanego teraz nad wielką kością, oświadczył z lekceważeniem złośliwem, że to jest poprostu piszczel ze zdechłego konia i jako taki, nie zasługuje na żadną poważniejszą uwagę.

Tatarczany, który żywił w sobie tajemne przekonanie o własnej naukowej wyższości nad Zawracalskim, żwawo począł dowodzić, że kość, znaleziona na terytoryum gruntów litery *c*, jest pozostałością jakiegoś jaskiniowego potwora i że prawdopodobnie przedhistoryczni noskowiczanie, takich kości mogli w walce używać daleko skuteczniej, aniżeli krzemiennego oręża. Obaj właściciele wszczęli zacięty spór a w sporze tym naraz pękły pomiędzy nimi nietylko węzły przyjaźni, ale i formy przyzwoitości. Pan Prosper bowiem powiedział Zawracalskiemu jakieś drażliwe słówko, Zawracalski oddał mu jeszcze drażliwsze; poczem dwaj sąsiedzi rozeszli się, jak dwa rozjurzone koguty.

Co się tyczy Skałeckiego, ten już był obecnie w formalnem oblężeniu pod literą *b*. Jeżeli pan Piotr miał jakie zajęcie, to córki jego wychodziły z archeologiem w pole a Joasia próbowała nawet wydobyć od niego słowo honoru, że nie

będzie odwiedzał Zadwardziałowiczów i nie rozpocznie kopania na gruntach pod literą *a*

— Żeby się go dało tylko przetrzymać tu u nas przez jesień—mówił Zawracalski—to przecież w zimie nie będzie już mógł kopać i odjedzie sobie do Krakowa.

Ale, wielki Boże, miałże się z pyszna pan Piotr, kiedy się matka i córki dowiedziały o zerwaniu stosunków z dziedzicem Noskowic litery *c*!

— Ty nie masz żadnego towarzyskiego taktu, odstręczasz ludzi od domu! — mówiła z przyciskiem pani Magdalena.

A córki też nie omieszkały dociąć ojcu.

I bywały obiady oraz herbaty pod literą *b*, tak kwaśne, czy cierpkie, że całe towarzystwo prowadziło rozmowę tylko półgębkiem i półsłówkami.

Jedynym węzłem solidarności członków rodziny Zawracalskich, była teraz dążność powstrzymania Skałeckiego od złożenia wizyty Zatwardziałowiczowi a następnie przeszkodzenie temu uczonemu w dziele kopania na gruntach pod literą *a*.

VII.

Jantek polowy sumiennie badał postęp i rezultaty kopania, zarówno pod literą *b* jak *c* i z tego wszystkiego zdawał regularnie sprawę swojemu dziedzicowi. Pan Dyzma zaś żadnych sprawozdań nie wysłuchiwał chętniej, jak owych opowiadań o kopaniu.

Stan gospodarstwa rolnego u trzech dziedziców Noskowickich znacznie się obniżył w tym roku. Zawracalski zgnoił siano po największej części a potrawu zebrał bardzo mało. Tatarczany nie doprawił należycie roli pod oziminy, których zasiewy zbytecznie opóźnił. Zatwardziałowicza najem kosztował blizko dwa razy tyle, co lat poprzednich; Jantek bowiem więcej się zajmował śledzeniem czynności sąsiadów, niż dozorem roboty. I on stopniowo zapalał się do kopania, i on pod wpływem swego pryncypała poczynał być maniakiem.

— Ten jeden człowiek tylko mnie rozumie!— powtarzał Zatwardziałowicz żonie i córkom.

Było to na początku jesieni. W noskowickiej karczmie licznie się zgromadzili mali właściciele

rolni a między nimi byli też i ludzie bez własności. Jedni i drudzy, pomieszani ze sobą, podzieleni na mniejsze lub większe grupy, wiedli żywy jakiś rozhowor. Z rękoma w tył założonemi, ubrany w odświętną sukmanę, wypiwszy swój półkwaterek, poważnie przechadzał się po karczmie Jantek polowy. Zastąpił mu właśnie drogę Józef Kabat, zagadując w te słowa:

— Słuchajcie no, Jantku, wy ta żyjecie wele dworów, to musi wiecie, bez co ta ślachta ciągiem ino tera ryje w Noskowicach?

Jantek przystanął i rzekł:

— Moi kochani kumie, widzicie — czasy takie są na świecie, że trza koniecznie ze ziemi dobyć wszystko, co się w niej mieści.

— Dobrze utrafili! — zawołał Szymon Dziura, podchodząc z boku. — Co je w ziemi, trza na wierzch wyciągnąć, po co ma leżeć za okiem ludzkiem... Dawniej ponoś bywały na świecie tęgie pieniądze, to je ludzie zakopywali i tera dobrzeby je było wyciągnąć na te ciężkie czasy.

Do rozmawiających przyłączył się także Kazimierz Zajma i tak począł mówić:

— Choćby w ziemi pieniędzy nie było, to mogą w niej być inne paradne rzeczy!... Tać kajindziej ze ziemi dobywają żelazo. Żleby nam było mieć tu na miejscu zrobić z czego podkowę, albo i wóz okuć?

— A coby ta źle być miało!—odezwał się Matus Kamień.—Ale ja zawdy pedam, coby lepiej jeszcze było, kiejby w Noskowicach sól naleźli.

— Juści mogliby naleźć tako żelazo, jako i sól, ino na takowe rzeczy trzeba już boskiej cudowności — twierdził Dziura. — A co się tknie pieniędzy, to je ktoniebądź położył w ziemi i leżą, trza ino wykopać i zabrać, jak ano nie przymierzając nasz Zawracalski pod lasem uczynił... Zgarnął pono setnie...

— Pedają we wsi, coście wy Kazimierzu, spostrzegli tę jamę w ziemi, kaj leżała bańta skrzynia ze skarbami—rzekł Kabat, zwracając mowę do Zajmy. — Mówcież, siła tam być mogło?

Zajma podrapał się w głowę i opowiadał:

— Dyć wiadomo że moja była z łopatą u tej kopaczki i ona pierwsza rozbiła garnek ze srebrnemi talarkami, ino jej żadnego nie dali uchycić. Kiej mi doma na wieczór opowiedziała wszytko, to mię zruszyła żałość, co na babę padło szczęście bez nijakiego pożytku dla chałupy. Jakoż poszedłem w nocy do onego dołu, bo ciarachy mogli syćkiego jeszcze nie wykopać; ale wierzcie mi ludzie, takie ci mię strachy zdjęły, żem tyla zaźrał do jamy i w te pędy co tchu pognał do chałupy.

— A czy wy wieta, gospodarze, co temu Zawracalskiemu można napędzić bobu?—powiedział Jantek.

— Zrobi mu się ta już co tera, jak ma pieniądze i na nich siedzi!—zawołał Kabat.

— Siedzieć — siedzi, ino nie syćko do niego przynależy – odparł Jantek. — Mój Zadwardziałowicz dokumentuje, co Zawracalski nie miał nijakiego prawa dobywać co niebądź z kawałka gruntu pod lasem. . Tać na tem ciąży gromadzka służebność!

Święta prawda,—ciąży! — wołał Zajma. —Co nie ma ciążyć, kiej tam od wieku zawdy pasaliśwa gadzinę.

— Kiejeśma pasali, to juści on bez prawa kopał; dobrze mówią Jantek— rzekł Dziura.

— Tyla uważajcie moiściewy, co on kopał za swoje pieniądze—wtrącił Zajma.

— To co z tego, że za swoje!—wołali wszyscy na wyścigi.

— Zawdy, co bądź w ziemi nalazł, to nie je na czysto jego, ino nam też część przynależy! — powiedział stanowczo Dziura.

— Może, może?... Co wy pedacie, Szymonie?...—mówił Kabat, poprawiając sobie na głowie kapelusz.

— Ej, kumie, baczy mi się, chcecie przemędrować! — zawołał Zajma, zwracając się do Dziury.—Nie wiecie wy to, że taką sprawę zarazicki sądy chytną w rękę?... No i co będzie jak przegrawa?

— Sądy sądami a ja wam zaś pedam, że Zawracalski żadnej racyi nie miał kopać pod lasem

i jakbyśma chcieli, to go jak nic spatrzewa — odparł Dziura.

— Co tu gadać, po co darmo psuć gębę? Myślita, co taki Zawracalski nie wyłgałby się! — powiedział Kabat.

— No, a ja wam pedam, iże on tyla dużo wrzeszczy po próżnu a miętki para nikiej wosk, jak go przyprzeć — mówił Dziura. — Choćby na przykład i z onem mojem woraniem w jego łąkę, dyć aże skakał ze złości... Ja se myślał, co on się zawziął, no i ja się też zawzionem: twardyś ty, sobako,—twardy i ja; a mój Zawracalski wnetki zmiękł, jako masło na ogniu, — ustąpił i sydko ostało, com zechciał...

Żeby go tak pociągnąć o te skarby, to kto wie jeszcze, coby powiedział — rzekł Jantek. — On ta gorączka, tyla Szymon prawdę mówią, co ostro wsiąść na niego, to zarazicki zrzednieje.

— Jakże wy myślicie taki przypadek z nim napocząć?—pytał Zajma — możeby z tego i było co dla gromady.

— Toć nałatwiej wziąć ino z piąciu chłopów, jak się patrzy, coby się nie strachali przed ciarachem; niech idą do dwora i ostro się wezną a obaczewa, co będzie rzekał — wykładał Dziura.

— Hano do takich spraw toście wy, Szymonie, najjakuratniej wykłapani! — mówił Jantek polowy.—Tam trza takiego, coby go Zawralski nie przegadał i sianem się nie wykręcił.

— Drugi byłby sołtys, on rychtyk pasuje z Dziurą, nikto mu na gębę nie poradzi, jak się rozkłapie — zauważył Kabat.

— Pamiętajta, co wam sołtys z językiem do dwora nie pójdzie swarzyć się o ladajakie rzeczy, on jacy urzędnik; ale dyć i bez niego w Noskowicach chłopów nie zbraknie—piąciu zawdy najdziewa — odrzekł Dziura.

Postanowiono więc w karczmie, że nazajutrz w deputacyi do Zawracalskiego, należy wyprawić przedewszystkiem Dziurę, następnie—Kabata, Zajmę, Kamienia i Wilka; niektórzy zaś głosowali zatem, aby dla większej parady dobrać jeszcze—Macieja Słupika i Wicka Chmurę.

— No, a cobyście wy na to pedzieli, gospodarze, żeby tak tego omętrę z Krakowa ściągnąć na chłopskie grunta; niechby krzynę pokopał a możeby co i nalazł...—mówił Jantek.

— Takie rzeczy trzaby jeszcze dobrze wymiarkować— powiedział Dziura. — A czy jemu się zaowo kopanie płaci?

— Takiby chłopu darmo co zrobił! — zawołał Kabat — choćby nic nie nalazł, zapłacić se każe a jak co najdzie, to pewnickiem do połowy weźnie.

— Ciekawe rzeczy, skąd też drugi człowiek może wiedzieć, kaj należy kopać? — zapytał Zajma.

— Musi u niego już je czucie — odpowiedział Kabat.

— Czucie albo li też mądrość — mówił Jantek. — Spoźry z wierzchu po trawie i zara se zmiarkuje, co je we spodzie.

— Nie przymierzający i ten owczarz ze Sokoliny, stanie tyla na ziemi i wnetki poczuje, kaj trza brać ziemię, żeby się do studni dobrać... Tak go już Pan Jezus czujnym stworzył! — Dowodził Kabat. — Możeby ta z tym omętrą nie wadziło połazić po polach; jakby co dobrego nalazł, toby należał do połowy znaleźnego.

— Jakże wy myślicie, Szymonie, wyłżecie co od Zawracalskiego? — dopytywał się Zajma, odszedłszy nieco na bok z Dziurą.

— Dyć muszę to sobie na jutro jak niebądź we łbie ułożyć... Dziś mi się jakoś mąci, bo może ten ślachcic i nie nalazł nijakich skarbów, to za cóż on ma dawać?—odrzekł Dziura.

— Po sprawiedliwości mówiąc, może ta i nie nalazł więcej jak te srebrne talarki, ino zrył psiakość spory ́stuk ziemi ze służebnością, niechżeby za to choć nagrodził—mówił Zajma.

Całej tej narady nie omieszkano też oblać należycie.

VIII.

Tymczasem we dworze pod literą *b* strzeżono Skałeckiego bardzo pilnie i zabawiano na wszelkie sposoby, ażeby mu tylko przeszkodzić w odwiedzinach domu Zadwardziałowiczów, do czego jednak Krakowski uczony miał chęć nieprzepartą. Spostrzegł on nareszcie, iż cele jego są ofiarą jakiegoś antagonizmu dwóch dworów, postanowił zatem znieść się piśmiennie z panem Dyzmą. Jakoż pewnego wieczora przed udaniem się na spoczynek zasiadł do stolika i napisał list następującej treści:

„Wielmożny panie;

Przybyłem do Noskowic w celach naukowych i całe moje zadanie polega na tem, ażeby tutaj zebrać jak najobfitszy materyał. Ponieważ uważam w tej chwili za ukończone czynności swoje na gruntach panów – Zawracalskiego i Tatarczanego, przeto ośmielam się prosić Wielmożnego pana o łaskawe pozwolenie zbadania jeszcze tego terytoryum, które stanowi pańską własność.

Tymczasem zachodzą przyczyny, dla których nie mogę osobiście przybyć do jego domu i złożyć uszanowania; postaram się jednakże dopełnić tej powinności w niedługim czasie.

Pozostaję z głębokiem uszanowaniem.

Stanisław Skałecki.

Członek—korespondent Akademii krakowskiej".

Były we dworze pod literą *b* dwie Franki—Franka Czaplanka i Franka Walkówna; pierwsza z nich była dorosłą i dorodną dziewczyną, poufnicą panien; znajdowała się na stanowisku rzeczywistej służącej pokojówki; druga—czternastoletnia córka miejscowego skotaka, nie miała matki i wałęsała się przy dworze tak sobie; nie pobierala ona żadnej pensyi a robiła wszystko, co jej robić kazano. Franka Czaplanka oddawała France Walkównie w ręce wszystkie grubsze roboty, jak czyszczenie zabłoconych butów, trzewiczków, wytrzepywanie kurzu z kapot Zawracalskiego, zamiatanie sieni a niekiedy i pokojów. Tę małą Frankę nazywano także gęsiarką, ponieważ przez znaczną część dnia pilnowała ona stada gęsi, a jeżeli ptaki owe zrobiły gdzieś jakąś szkodę, gęsiarka dostawała za to po łbie od dziedzica, dziedziczki lub od polowego.

Otóż tę Frankę, brudną, niepozorną śpiewającą przy gęsiach dziwnie niemelodyjne piosnki, upatrzył sobie Skałecki i postanowił ją pchnąć

ze swoim listem w progi Zatwardziałowicza, jako osobę, na którą wcale nie zwracał nikt uwagi pod literą *b*. Nie miał on żadnej trudności w zwabieniu dziewczyniny sekretnie do swego pokoiku. Gęsiarka lubiła Skałeckiego i ile razy na dzień przechodziła około okna jego mieszkania, zawsze tam zatapiała swój wzrok dziki i jakiś wystraszony. Bo też dziwne doprawdy ta dziewczynka miała wyobrażenie o ludziach; jej się zdawało, że każdy starszy człowiek po to żyje na świecie, ażeby bił i dręczył młodych; we dworze pod literą *b* nie robił tego jeden tylko Skałecki, więc zwracał on na siebie jej uwagę, jako osobnik nadzwyczajnie oryginalny w rodzaju ludzkim. Co więcej archeolog dawał nawet France czasami po kilka groszy, które ona najprzód chwytała z jakimś gorączkowym pośpiechem, chowała tajemniczo w zanadrzu a potem skrupulatnie oddawała ojcu.

To też, kiedy nasz uczony upatrzył sobie już odpowiednią chwilę, schronił się po obiedzie do swego pokoiku i, wyglądając ztąd na dziedziniec, przyzwał przez okno Frankę. Przybiegła i natychmiast objęła archeologa za nogi poniżej kolan; on zaś łagodnym, lecz uroczystym głosem tak do niej przemówił:

— Moja Franusiu! — dziewczynę, jakby kto po sercu pogłaskał. — Bardzo mi o to chodzi, ażebyś się dobrze spisała; masz tu list, z którym pójdziesz do tego tam dworu na górze i od-

dasz go panu Zatwardziałowiczowi a jeżeli ci dadzą jaką odpowiedź, pamiętaj ją oddać do rąk mnie samemu.

Nie wiedzieć dlaczego, Franka ostatecznie jednak przeraziła się; może z powodu tajemniczego charakteru owej misyi — a może ją przestraszał przyjacielski stosunek z takim człowiekiem, któktóry z samym panem, z panią i z panienkami był za pan brat. Drżącą ręką dziewczyna odebrała list, ukryła go, stosownie do rady Skałeckiego i poszła. Kiedy opuszczała dziedziniec, gęsi zdawały się temu dziwić a jednocześnie były uradowane; bo najprzód powyciągały długie szyje, oglądając się za Franką, potem poczęły jakby gwarzyć i naradzać się bardzo wesoło: „ra ra ra! Tra ra raa!“

Jakież nadzwyczajne było zdziwienie wśród służebnych dworu litery *a*, kiedy tutaj w kuchni ujrzano gęsiarkę od Zawracalskich. Przyszła, stanęła pod drzwiami i stała w milczeniu, trzymając jednę rękę pod zapaską a drugą u podbródka.

Dziewki obrzuciły ją pytaniami ze wszystkich stron, ale mała nic a nic nie odpowiała.

— Na prześpiegi bestyjnica przyleciała! — wołała czerwona jak ćwik kucharka.—Coby nas potem oszczekali w tamtym dworze... Gadajże, dziamdziu, niemrawo, po cóżeś przylazła?.. Na pewno ją tamta kucharka wysłała..

Lecz Franka i teraz nie odpowiedziała ani słowa; ona tylko się rozpatrywała po kuchni, która była przecież zupełnie inną, niż kuchnia we dworze pod literą *b*. Daremnie baby usiłowały wydobyć od dziewczyny jakieś słówko; milczała niby pień głuchy. Nareszcie któraś z dziewek spostrzegła przez dziurami pokrytą zapaskę, że Franka ukrywa jakiś papier, który miętosi w ręku. List więc Skałeckiego odebrały dziewki gęsiarce i zaniosły go do swej pani.

Zatwardziałowiczowa, dobra gospodyni, zakasawszy rękawy od sukni, zabierała się właśnie do płukania masła, kiedy jej wręczono kopertę, zaadresowaną do męża. Oddawna to już schorzałemu panu Dyzmie rodzina nie przedstawiała żadnych listów, w obawie, aby nie wyczytał czegoś dającego powód do zmartwienia. Tem bardziej nie oddawano mu listu, który już odpieczętowała i przeczytała żona, bo to znowu spowodowałoby u Zatwardziałowicza wybuch gniewu— ponieważ nie on pierwszy odczytał list pod swoim adresem.

Pani Salomea odczytała list pajprzód sama, potem—na głos wobec córek.

— Ach! ten uczony z Krakowa chce nas odwiedzić!—zawołała pierwsza Frania. — Widziałam go raz w kościele, dosyć mi się podobał— przystojny, blondyn, w złotych okularach.

— Ja go dwa razy widziałam i mogę powiedzieć, że— ani nie blondyn, ani nie przystojny! —

rzekła Fruzia z jakiemś niezadowoleniem.—Tak sobie, podobny trochę do Tatarczanego, tylko że nie taki tęgi i na twarzy jakiś wymokły...

— A ja ci mówię, że blondyn i że przystojny; mnie on się podobał!—mówiła żywo Frania.

— Są gusta i guściki!... — odrzekła Fruzia. — Ale co mi tam do tego; ja bo się przyznam, że mię ten list zastanawia. Szczególna propozycya!... Mieszka tyle czasu u Zawracalskich i dopiero teraz zachciało mu się składać nam wizytę.

— Ależ to widoczne, że jemu nie o wizytę chodzi!—zawołała Frania.—Toż pisze wyraźnie, że przybył do Noskowic w celach naukowych.

— Dobra jesteś także! Te cele naukowe, to prosty wykręt; wie, że w domu są panny i chce bywać a przecież w liście do ojca musiał się upozorować dla samej przyzwoitości—mówiła Fruzia.

— Moje kochane, nie kłóćcie się! — przerwała matka.—Ten pan Skałecki napisał do ojca list—mojem zdaniem — bardzo przyzwoity, widać, że to jest człowiek, który ma dobrze w głowie; on wyraźnie prosi o pozwolenie rozejrzenia się w Noskowicach pod literą *a*. Chodzi o to, co tu zrobić? Nasz stary, jak się dowie, będzie szalał; przecież mu nie możemy pokazywać tego listu, bo będzie chciał znowu kopać..

— Jabym ten list ojcu oddała — rzekła Frania. —Teraz on już o kopaniu nie myśli, ciągle mówi o głównej wygranej na lipskiej loteryi

i nieustannie mię zapytuje, kiedy przypada ciągnienie.

— Moja Franiu, na twojej radzie nie bardzo można polegać, bo jesteś trzpiot dziewczyna! — powiedziała Fruzia.—Dla spokoju ojca będzie lepiej list zniszczyć i nawet wcale na niego nie odpowiadać.

— Feee! Tego robić nie można; byłoby bardzo niegrzecznie. Odpisać należy panu Skałeckiemu—zawyrokowała matka.

— Mamusiu to ja mu odpiszę... dobrze?—pytała Frania.

— Ty masz dobre pióro — rzekła matka — ale zawsze my się we trzy powinnyśmy naradzić.

— Nad czem się tu naradzać, moja mamo?— mówiła Frania.—Napisać list zupełnie szczerze: ponieważ ojciec jest chory, więc go nie możemy obarczać żadnemi interesami a pana Skałeckiego... owszem, bardzo uprzejmie zapraszamy do siebie i koniec. Jak on tutaj do nas już przyjdzie, wtedy zobaczymy, co wypadnie zrobić.

— Widzisz, Franiu, jakaś ty nietaktowna, nieroztropna, jak na nic nie masz uwagi!—zawołała Fruzia.—Przecież on z temi Zawracalszczankami żyje w najlepszej komitywie, włóczą się razem po polach, chichotają; — pokaże im twój list i z tego będzie zaraz pełno obmowy, że my do domu ściągamy mężczyzny.

— Ho, ho, ho! Dlaczego robić zaraz takie przypuszczenia? Po co on im ma nasz list poka-

zywać? Zresztą, niech pokaże! Przecież ja mu odpiszę tylko na jego list...—rzekła Frania.

Wtem przez nawpół uchylone drzwi dał się słyszeć z ganku zgryźliwy głos pana Dyzmy:

— Franiu! Franiu!... A gdzieżeście się wszystkie po dziurach pochowały!

— Jestem ojcze! — zawołała Frania, stając uśmiechnięta przed swoim rodzicem.

— Czego ty się śmiejesz? — zapytał Zatwardziałowicz cierpko.

— Proszę ojca, ja się nie śmieję, ja się tylko uśmiecham.

— Nad czem wy tam z matką tak radzicie? Ciągle tylko słyszę przez drzwi jakieś przekomarzania...

Frania nic nie odpowiedziała, lecz pocałowała ojca w rękę.

— Siadaj!—rzekł ostro Zatwardziałowicz.

— Może tatko pozwoli, żeby tu posiedziała Fruzia, bo ja nie mam teraz czasu...

— Co to znowu takiego?... Ty nie masz czasu?...

— Obiecałam mamie, że z nią będę przepłukiwała masło, bo mię już wszyscy w domu obmawiają, żem próżniaczka i do niczego...

— No, to niech Fruzia przepłukuje a ty siadaj—rozumiesz!

Frania usiadła.

— Słuchajno, nie wiesz ty, jak się nazywa ten tam jakiś z Krakowa, co to kopie pod literą *b*.

— Zdaje mi się... że Ska... Ska... Ska... — odrzekła Frania zarumieniona. — Może Fruzia wie, to ją tutaj przywołam...

— Nie chcę!...—zawołał Zatwardziałowicz.— Niech się nazywa i Ska, wszystko mi jedno!... Pamiętasz, jak dawno on tu już kopie w Noskowicach?

— Zdaje mi się, że od tego czasu, jak tatko przyjął do służby Jantka polowego.

— Od dwudziestego piątego czerwca do dwudziestego piątego lipca—jeden miesiąc, do sierpnia - dwa, do września—trzy...—obliczał sobie pan Dyzma, mrucząc pod nosem.—Czwarty miesiąc więc już idzie!... Miał przecież czas przekonać się, z kim ma do czynienia a kiedy się jeszcze nie przekonał, to musi być bardzo głupi...

— Proszę ojca, on podobno jest uczony... Może się i przekonał.

— Jakto się przekonał?...—krzyknął Zatwardziałowicz oburzony. — Mówię, że nie, to nie!.. Głupiec jest, bo ma z oszustem do czynienia a tego nie wie; przyjechał do mnie a już czwarty miesiąc wysiaduje pod literą *b*.

— Co ojciec mówi? On do nas przyjechał?

— Wyraźnie mówię: przyjechał z Krakowa do nas i tylko przez pomyłkę do nich zajechał.

— A to osobliwe! Zkąd tatko wie o tem? Czyżby istotnie tak było?

— No, widzicie ją, ona mi będzie nie dowierzała! Masz, czytaj!—i z temi słowy Zatwardziałowicz podał córce kawałek zapisanego papieru.

Frania odczytała na głos:

„Trzeba wiedzieć, że pan Skałecki, uczony z Krakowa, przyjechał do dworu w Noskowicach pod literę *a*, w skutek zaś omyłki zajechał do Zawracalskich, którzy każdemu wszystkiego zazdroszczą, więc tego gościa po prostu w domu swoim uwięzili i pilnie strzegą, aby się nie znosił z dworem pod literą *a*".

Na tym liście nie było ani podpisu, ani daty.

— Bardzom ciekawa, kto to pisał? Widocznie, ktoś nam życzliwy. Powiedziała Frania.

— Ja myślę, że autorem listu jest Tatarczany, który się z nimi poróżnił i zerwał stosunki. Pismo oddał ktoś Jantkowi w karczmie, aby mi je doręczył.

— Okropne rzeczy! Jacyż to intryganci ci Zawracalscy!—zawoła Frania.

— Nie intrygantami się nazywa takich ludzi!—wybuchnął pan Dyzma. — To jest szelmostwo ostatniego stopnia!—Przytem oczy wytrzeszczyły mu się jakoś strasznie, trząsł się

i rzucał na wszystkie strony. — Zawołaj mi tu matki!—rzekł do Frani.

Dziewczyna pobiegła, dając znać matce, że ojciec wpadł w rozdrażnienie i należałoby go uspokoić. Jakoż porwała się pani Salomea i pospieszyła do męża, aby przy pomocy obu córek, uśmierzyć wybuchy ostatniej pasyi pana Dyzmy.

IX.

Franka gęsiarka, oddawszy list, więziony pod zapaską, pozostała w kuchni dworu Zatwardziałowiczów, gdzie naraziła się tylko na drwiny i pośmiewisko; dziewki nie dawały jej dobrego słowa:

— Cóż to ty tera z listami chodzisz po świecie? Toć latoś pono gęsi pasałaś? — mówiła jedna z dziewek.

— Gadajcie jej ta! — potrafi to taki kocmołuch z gęsiami zładzić? Dyć ją rychtyk sprządz ino do pracy z naszym Sobkiem! Niechby takie roztroperze chodziły po świecie na pokaz ludziom; śmiechu byłoby z nich dowoli, nikiej z cyganów—odezwała się inna dziewka, uchodząca za bardzo dowcipną.

Te lotne słowa wywołały niezmierny śmiech w kuchni.

Franka nie zrozumiała wprawdziwie dowcipu, pojęła jednak, że ludzie z niej się natrząsają. gdyby się to śmiali ludzie w kuchni dworu pod literą *b*, nie bolałoby ją wcale; ale śmiali się

z niej ludzie obcy a taki śmiech każdemu dopali. Wyszła więc z kuchni dziewczyna, żal jej się czegoś zrobiło w duszy i poczęła serdecznie płakać; pobekując i gorzkie łzy wylewając, przeszła przez podwórze ze trzydzieści kroków i znalazła się pod ścianą jakiegoś gospodarskiego budynku; usiadła tutaj i rozbeczała się na dobre. Wtem po przez ścianę, posłyszała bek cieląt, które jej wtorowały—jedno za drugiem. Zaciekawiło to dziewczynę, poczęła nasłuchiwać i jakoś zapomniała o swojej boleści, wobec beczenia cielątek w chlewie

Po niejakiej chwili coś znowu zatętniało na podwórzu; Franka spojrzała i zoczyła chłopaka, zajadle uganiającego się za cielęciem; cielak był jakiś rozpustny, czy uparty, dosyć na tem, że się niedawał wpędzić do chlewika, lecz gnał z chłopakiem na wyścigi. Już znikli gdzieś za stodołami, zdawało się, że przepadli, już ich znowu dziewczyna zobaczyła na podwórzu a ciągle w harcach.

Chłopak nie miał na głowie żadnego nakrycia i podobny był do straszydła; szorstkie włosy jeżyły mu się na wszystkie strony a twarz była czarna, jak ziemia święta. Ubranie jego składało się z brunatnej wypłowiałej sukmany, która widocznie w czasach swej świetności, służyła za ubiór dorosłego chłopa; teraz była porozrywana w łachmany, wiszące lub powiewające na wszystkie strony; masę tych strzępów utrzymy-

wał w jakim takim jeszcze rygorze węzłowaty postronek, którym się chłopak przepasał.

— A hyc, a chyc, psianogo! A hyc, zatracony wartogłowie! — wołał chłopak na cielaka.— Nie pójdziesz mi ty psiamać do grudy.

Gdzie tam! Cielę zadarło ogona i w cwał się puściło, uchodząc.

— A bodajże cię choroba wytłukła! — krzyczał chłopak.

Nareszcie dopadł cielęcia, pochwycił je za szyję i przemocą wprowadził do chlewa, trzymając młode zwierzę jedną ręką za ucho, drugą za ogon.

Kiedy zamknął drzwi cielętnika na kołek, spostrzegł teraz obcą osobę, siedząca tuż pod ścianą, obszedł ją, patrząc jakoś podejrzliwie, potem przystąpił zblizka i rzekł:

— Zkądżeś ty dziewucha?

Franka spojrzała nań bojaźliwie, ale nic nie odpowiedziała.

— Siedzi, nikiej niemowa! — mruknął chłopak.— Czemuż co nie powiesz? Słyszysz, czyjażeś ty?

Franka znowu spojrzała na chłopaka, już teraz nieco śmielej. On był do niej podobny, miał takie same nogi czarne, błotem przerosłe a w ubiorze—dziur pełno. Ośmieliła się i powiedziała:

— A ty czyjżeś?

— Ja niczyj, ino Pana Jezusa! Ty służbą chodzisz, czy co?

— Przyszłam z listem z hańtego dwora, kaj gęsi pasam.

— Jakże ludzie na ciebie wołają?

— Franka gęsiarka! A jakże tobie na przezwisko?

— Na mnie wołają Sobek roztroperz! Cóżem cię dotela nie widział nigdy na błoni z gęsiami?

— Na błonie nie chodzam, ino na podwórzu pasam, bom zawdy przy dworze potrzebna.

— Będziesz tu długo siedziała?

— Dyć nie wiem; kiej się przymierzchnie, polecę do domu.

— Bez wieś polecisz?

— Nie, po za stodołami.

— No, to poczkaj, jak cielętom ze stodoły wywiozę obrok i słomę, odprowadzę cię do domu.

— Ta dobrze!

Roztroperz całym pędem pobiegł do stodoły, aż mu się z pod pięt zakurzyło. Niedługo wracał, niosąc na sobie dwie ogromne wiązki słomy, wśród których ugrzęzła cała jego głowa; chłopak giął się ku ziemi, tak że mu zaledwie końce nóg widać było. Wpadł pomiędzy cielęta i dało się słyszeć, jak je rozbijał, bo pobekiwały. Wyszedł od cieląt a przechodząc koło Franki, zapytał:

— Głodnaś ty?

— I jak jeszcze!

— Ja takżem głodny!

I znowu pobiegł do stodoły a wkrótce potem wracał, niosąc na plecach ogromny kosz z plewami; znowu wszedł pomiędzy cielęta, klął na nie, bił je; nareszcie wyszedł a spojrzawszy z boku na Frankę, pośpieszył w kierunku dworskiej kuchni. W kuchni także niedługo bawił, wyniósł ztamtąd dużą partykę chleba, przyozdobioną z wierzchu rzadkim twarogiem, który białością swoją dziwnie odbijał od czarnej twarzy Sobka

— Franka, lubisz ty końpus?

— Mam lubieć, kiedym go nigdy nie jadła.

— A cóż u was czeladzi dają na podwieczorek?

— Nie dają nijakiego podwieczorka...

— Musi zły wasz dwór; przyjdź do nas służyć!

— Kiej nie mogę, bo tam je mój tatuś.

— Aha, ty masz tatusia! Może masz i matusię?

— Matusię zabrał Pan Jezus...

Teraz roztroperz wziął w obie ręce krajankę chleba, rozłamał ją na dwie połowy, przyczem rzadki twaróg rozlał mu się po brudnych rękach; jedną połowę podał France, starannie zlizał sobie palce i zapytał dziewczyny:

— Cóż, dobre?

— Niczego.

Spożywszy razem podwieczorek, para tych brudnych ludzi powędrowała poza stodołami w kierunku dworu litery *b*.

Skałecki napróżno wyglądał Franki; słyszał tylko, że jej na wszystkie strony wołano, ponieważ gęsi wpadły gdzieś do stodół i narobiły szkody.

Wieczorem Zawracalski dostrzegł gęsiarkę, przechodzącą przez dziedziniec i krzyknął:

— Ej, ty tam flondro jakaś! Puść mi tak raz jeszcze gęsi samopas a zobaczysz jak ci skórę spiszę albo kłaki na łbie poobrywam!

Właśnie też przechodził i Walek skotak, ojciec Franki; ten słysząc gromkie słowa zagniewanego pana Piotra, zawołał na córkę:

— Musi przeskrobałaś cosik, zatracona! Lećże w te pędy i obłap pana dziedzica za nogi!

Gęsiarka pospieszyła wykonać polecenie ojca; ale kiedy podeszła do Zawracalskiego, pochyliła się i już już miała go ręką uchwycić poniżej kolan, on się pogardliwie odwrócił i dużym krokiem szedł do dworu, mówiąc:

— Poszła precz, klapo jakaś! Nie potrzebuję twoich przeprosin, tylko roboty.

Nazajutrz po wypadkach, właśnie co opisanych, Frania Zatwardziałowiczówna przyzwała do siebie Sobka, oddała mu jakiś list i rzekła:

— Pójdziesz mi, chłopcze, do dworu pod literę *b*, ale pamiętaj sobie dobrze, że musisz być bar-

dzo mądry! Trzeba tak zrobić, aby nikt nie wiedział, że przychodzisz z listem ode mnie. Zajdziesz więc do dworu tyłami i z nikim się nie zobaczysz tylko z Franką gęsiarką, która tu wczoraj do nas przychodziła; oddasz jej ten list i powiesz, żeby go ona znowu doręczyła temu samemu panu, od którego nam wczoraj list przyniosła. Czyś zrozumiał?

— O, i jak jeszcze, panienko!

— No, kiedyś zrozumiał, to mi powiedz, co masz zrobić?

— Polecę a to do hańtego dwora, oddam to pismo France gęsiarce, coby je tu znowu na powrót odniosła, jako wczora przyniosła list od pana.

— Widzisz, Sobku, żeś głupi! Nie na próżno cię przezwali roztroperzem!

— Dyć wiem, proszę panienki!

I znowu Frania powtórzyła Sobkowi wszystkie szczegóły swego zlecenia, zwracając uwagę chłopca, jak ma postąpić i kładąc nacisk na to, ażeby go we dworze pod literą *b* nie spostrzeżono.

Roztroperz schował list w zanadrze i, wyśpiewując głośno a wesoło, pędził poza stodołami do dworu pod literę *b*. Skoro się atoli już znalazł w pobliżu rezydencyi Zawracalskich, nie poszedł tam prostą drogą przez bramę, lecz przelazł przez płot i dostał się do ogrodu; tutaj znowu ostrożnie i chyłkiem sunął się między krzewami a drzewinami, aż dostał do płotu, odgraniczające

go sad od dziedzińca. Wlazł w krzaki agrestu, porzeczek, malin i począł przez szpary płotu upatrywać na dziedzińcu Franki.

Gęsiarka pilnowała stada podskubanych na jesieni gęsi i wyśpiewywała sobie:

Oj pasałem ja se gąski,
Da pasałam ci je zrana,
Oj dana ino dana!

Roztroperzowi wydało się, że Franka prześlicznie śpiewa, więc czas jakiś słuchał a potem przykucnął i, włożywszy usta w szparę płotu, począł cichym głosem wabić gęsiarkę:

— Franka!... Franka! Słyszysz ty! Pójdzi no tu!

Gęsiarka nic nie słyszała, bo w duszy miała swoją piosnkę i wewnętrzne jakieś wesele; ona się przysłuchiwała samej sobie. Odwrócona tyłem do sadu, w czerwonej wypłowiałej chustce na głowie, siedziała także w kucki, trzymając na podołku obie ręce i kawałek patyka, niby berło swej władzy nad gęsiami.

Ucho daleko wrażliwsze na szepty i szmery świata zewnętrznego posiadał pies Bielas, którego Zawracalski nazwał kilka razy Dyzmą przez pogardę dla Zatwardziałowicza; ale jakoś ta nazwa się nie przyjęła i pies został Bielasem. Zwierzę to leżało pomiędzy gęsiami, zasypiając przy odgłosie gęgania oraz śpiewu Franczynego; zdawało się, że istnieje jakiś sympatyczny węzeł, je-

dnoczący psa, gęsiarkę i gęsi. Czasami jednak pies był jakby znudzony monotonnem gęganiem i kiedy któraś z gęsi zbyt blizko jego ucha się krzątała, rzucił na nią swym pyskiem, szczękając złośliwie zębami; ptak podskakiwał do góry w takich razach, wydając okrzyk przerażenia: „anch, anch!"

Sobek położył się teraz za płotem na brzuchu i dołem po ziemi posłał do dziewczyny wabika:

— Fraaanka!.. Fraaanka! Słyszysz ty, pójdzi no tu!

Bielas przez sen głos ów posłyszał a jednocześnie zaleciał go jakiś zapach zupełnie mu dotąd nieznany we dworze pod literą *b*. To go podrażniło, zaniepokoiło, więc otwarł oczy i, trzymając głowę wyciągniętą przed siebie na obu przednich łapach począł być uważniejszym, wietrząc i nasłuchując.

Roztroperz nie spostrzegał psa, ponieważ ten barwą swą wcale się od gęsi nie odróżniał a Franka też, w której chłopak wzrok swój utopił najzupełniej, osobą swoją zasłaniała zwierzę.

Zniecierpliwiony Sobek postanowił nareszcie położyć koniec swoim czatom za płotem, więc podwyższył jeszcze skalę donośności głosu i znowu zabrzmiało wołanie:

— Fraaanka! Fraaanka!... A bodajże cię wciurności, głucha psiakość!

Pies uważnie spojrzał na Frankę, czy przypadkiem głos ów nie od niej pochodzi; ale Franka darła się dalej po swojemu na całe gardło, powtarzając:

Oj pasałam se ja gąski,
Da pasałam ci je z rana
Oj dana moja dana!

Następnie Bielas przyglądał się gęsiom; ale ptaki już pozasiadały spokojnie na ziemi, już, stojąc, dziobem robiły poszukiwania w nędznej pierzastej odzieży,—już znowu przechadzały się spokojnie, opuściwszy na dół wyskubane skrzydła, szczypiąc trawkę i rozmawiając coś między sobą półgębkiem.

Człowiek, będący w położeniu podobnem, w jakiem się Bielas znajdował, pomyślałby sobie:

— Coś jednak nadprzyrodzonego wkoło mnie się dzieje; nikogo nie widać a głos się słyszeć daje.

Co atoli pies ten myślał, nie wiemy; to pewna, iż, gdy na okolicznem terytoryum wyczerpał wzrokową i uszną obserwacyę i gdy cichy głos Sobka znowu zabrzmiał od płota, Bielas miał szczerą ochotę szczeknąć; ale się powstrzymał, tylko mu w brzuchu zabębniło, jak u brzuchomówcy; potem wstał, porzucił towarzystwo gęsi i z głową naprzód wyciągniętą, z ogonem w dół spuszczonym szedł ku płotowi noga za nogą, zupełnie tak samo jak się wyżeł zbliża do zwierzyny. Obecnie miał już Bielas w umyśle swoim

ideę, że za płotem jest coś takiego, co się potrzebuje ukrywać przed okiem psów i ludzi; więc o jakie dziesięć kroków od płotu przywarował a oczy swoje pełne ognia utopił w jednym punkcie, nastawiwszy przytem, o ile się dało, wiszące uszy.

Roztroperz widział wyraźnie, jak ze środka stada gęsi podniósł się czworonóg i zdążał prosto ku niemu z fizyognomią bardzo uważnego a jak gdyby o coś zagniewanego zwierzęcia. Chłopak tem ściślej się zaszył się w krzak agrestu, tem szczczelniej przycupnął na ziemi, przycisnął twarz do trawnika i już teraz zaledwie oddychał, widząc, że go spostrzeżono. Po niejakiem czasie, Bielas sunąc po ziemi prawie, na brzuchu, zbliżył się jeszcze o parę kroków do Sobka. Roztroperz zachowywał głęboki spokój i byłby może nawet nie drgnął, ale nieszczęście chciało, iż legł na drodze, którędy wypadał trakt pracowitych mrówek, mających w pobliżu swoje siedlisko. Owady te, napotkawszy nieoczekiwaną przeszkodę, powyłaziły na Sobka, obsiadły mu grzbiet i w ogóle zdawały się badać stan rzeczy. Niektóre z nich zapuściły się hordami pod sukmanę chłopaka i poczęły go dotkliwie szczypać. Ciało chłopskie przywykłe jest do wszelkiego rodzaju ukąszeń, odbieranych od przerozmaitych stworzeń; atoli nawet chłopska wystrzymałość ma swoje granice. Dopóki mrówki szczękami skwa-

pliwie cięły nogi, ręce i twarz chłopaka, dopóty on też drwił sobie z ich usiłowań, ponieważ gruboskórność jego nie dopuszczała prawie dolegliwej wrażliwości w owych okolicach; jednakże ostatecznie republikańskie stworzenia dotarły i do takich miejscowości, gdzie już nawet zwierzę w najwyższym stopniu gruboskórne niezawodnie ból odczuwa. Roztroperz przygotował był sobie list, trzymał go na pogotowiu w ręce, ażeby France doręczyć i niebawem ujrzał, jak po białym papierze maszerowały szeregi czarnych owadów, — widział jak one chciały list ten skąsać szczękami; ale na gładkim papierze kąsanie im się nie udawało i przeto Sobek żałował, że ciało jego nie jest gładkim papierem. Ruchy chłopaka spowodowały szczekanie Bielasa. Ale któż tam na wsi zwraca uwagę na takie rzeczy; psu zawsze wolno szczekać. „Szczeka sobie zapewne na jakiego kota, albo bez rozpustę". Myślała Franka Czaplanka, która właśnie podówczas pootwierała była okna we dworze i zamiatała pokoje. Gęsi, podobnie jak ich opiekunka, nie przywiązywały też do szczekania najmniejszego znaczenia. Szedł koło płotu sam Zawracalski i on także uważał zachowywanie się Bielasa, jako zupełnie bezcelowe; zamierzył się na psa, mówiąc:

— Poszedł precz, ośle jakiś!

Pies z powodu tej uwagi samego pana dziedzica, przestał na chwilę szczekać; już się był bar-

dzo zmęczył, wywiesił język, bokami robił; ale po niejakim czasie znowu podbiegł do płotu, począł na niego wyskakiwać i ujadać.

Gdy się to działo, z dworu wyszedł Skałecki, mając zamiar wybadać Frankę, co się tyczy rezultatu wczorajszego jej poselstwa do dworu pod literę *a*. Niebawem wybiegły za nim obie Zawracalszczanki—Joasia i Polcia a gęsiarka uważała sobie za obowiązek każdą z tych trzech osób po szczególe najprzód objąć za nogi, następnie—pocałować w rękę.

— Powiedziałam ci raz na zawsze, żebyś mię nigdy nie całowała w rękę! — rzekła stanowczo i surowo Joasia a zwróciwszy się do archeologa, dodała — nie mogę ścierpieć, żeby mię taki brudas całował.

Skałecki uśmiechnął się z przymusem i począł obserwować szczekającego Bielasa.

— Ciekawym, z jakiego powodu ten pies tak ujada — mówił, jakby sam do siebie, człowiek uczony, myślący przyczynowo i wszyscy troje zbliżyli się do Bielasa; ten zaś rad był, iż nareszcie zainteresował sobą ludzi: „Są jednak na świecie tacy, co się na mnie poznali, zrozumieli moje szczekanie!...“

Pies oglądał się uprzejmie na swoich widzów i słuchaczów a co spojrzał na nich, to skoczył do płotu i szczeknął, widocznie chciał pobu-

dzić towarzystwo ludzkie do żywszego udziału w sprawie, która go tak szczerze obchodziła.

— Pies młody jeszcze i głupi—zauważyła Polcia—na lada co gotów szczękać

Ale Skałecki zbyć tem się nie dał; mózg jego operował w tej chwili krytycznie i nieustannie stawiał mu pytanie:—„dlaczego?“ Więc wszedł na grubą belkę, schnącą pod płotem, spojrzał za płot i zobaczył Sobka, leżącego w krzaku agrestu niby wiązka łachmanów.

— Tam ktoś leży za płotem!—rzekł archeolog głosem, wyrażającym uczucia Archimedesa, który odkrył ważne prawo przyrody.

— To pewno jakiś złodziej przyszedł do ogrodu kraść owoce! — zawołała Joasia. — Trzeba przywołać tatki.

Ale pan Piotr gdzieś się zapodział, tylko Franka Czaplanka znalazła się pod ręką. Joasia więc, Polcia, Czaplanka i Bielas weszli teraz przez furtkę do ogrodu a Skałecki, rad, że może kilka słów wymienić z gęsiarką, udał, iż go cała ta sprawa wcale nic nie obchodzi i oddalił się nieznacznie od towarzystwa.

Bielas natychmiast wpadł w krzak agrestu i począł szarpać łachmany Sobkowej odzieży; nie było to trudne zadanie dla psa, bo szaty na chłopaku prawie zbutwiały.

Porwał się Sobek na równe nogi i począł z całych sił zmykać a za nim pędził przez ogród Bielas, za Bielasem zaś gnała Czaplanka, za Czaplanką znowu śpieszyły obie panny, ciekawe, co się stanie. Roztroperz unosił na swem ciele mnóstwo mrówek, które, szczypiąc chłopaka, stanowiły niejako ostrogę, pobudzającą do biegu; gnał więc jak szalony a od czasu do czasu dopędzał go Bielas, lecz Sobek zbyt energicznie wyrzucał pięty do góry i przeto pies nie miał przystępu; dopadał tylko i znowu się cofał. Dobiegli nareszcie do płotu; tutaj chłopak dał szusa, ale tak się rozmachał biegiem, że padł na ziemię jak długi; w upadku owym pękł mu powróz, przywiązujący do ciała w pasie kupę gałganów. Roztroperz powstał natychmiast i znowu zmykał; ale na ziemi zostało po nim parę gałganów sukmany i list, który przyniósł dla doręczenia France. Bielas i Franka Czaplanka zaniechali dalszej pogoni; pies obwąchał łachmany oraz list, który dziewczyna pochwyciła czemprędzej i doręczyła panienkom.

— To ta psia wiara z pismem przyleciał od Zatwardzialskich — mówiła Czaplanka.—Dyć to świniarczyk z hańtego dwora!

Jakże się zdziwiły panny Zawracalskie, gdy na kopercie listu odczytały napis: „Wielmożny pan Stanisław Skałecki.

— Acha, widzicie państwo, to oni sekretnie z nim korespondują! — zawołała Joa-

sia. — Bardzom ciekawa, kto też ten list mógł pisać...

— To pisała ręka kobiety! — rzekła Polcia.— Niezawodnie Fruźka Zatwardziałowiczówna, albo też i ta głupia Frania. One mają ze Skałeckim jakieś stosunki i dlatego to on się tak do nich wyrywa. Piękne rzeczy!...

— I cóż zrobić z tym listem? — zapytała Joasia.

— Musimy go koniecznie przeczytać; przecież to gruba impertynencya dla domu, w którym są panny!... Wielki Boże, ktoby się spodziewał! Prawdopodobnie są to potajemne miłostki...—mówiła Polcia.

— Powiedzże, Poluniu, France Czaplance, żeby się o tym liście nie wygadała przed Skałeckim.

Panny zaleciły więc dziewce zachowanie głębokiej tajemnicy; same zaś, odszedłszy na bok, rozpieczętowały list i odczytały, co następuje:

„Szanowny panie;

Wyręczając w korespondencyi chorego ojca, mam zaszczyt donieść, iż na propozycye pańskie bardzo chętnie się zgadzamy. Rodzice polecili mi też wyrazić w tym liście nadzieję, że szanowny pan przez cały czas robienia naukowych po-

szukiwań zechce zamieszkać we dworze pod literą *a*, gdzie go wszyscy powitają, jako bardzo miłego gościa.

Przytem załączam słowo uprzejmego pozdrowienia.

Franciszka Zatwardziałowiczówna".

X.

Najmniej pokaźnym z pomiędzy dworów Noskowickich był dwór pod literą *c*, zamieszkiwany przez pana Prospera Tatarczanego. Siedziba ta z wierzchu niewiele się różniła od prostej chłopskiej chałupy: — tylko znaczniejszą obszernością i większemi nieco oknami; pokrywała ją słomiana nawpół zresztą przegniła strzecha z dwoma białemi kominami i z długą drabiną, sięgającą aż do szczytu domu.

Wewnątrz wodziła tu rej dziewka Ulina, wysoka blondynka, gładka na licu i niebieskooka. Wstąpiła ona w dworską służbę, jako zwyczajna dziewka, mająca obowiązek obsługiwania krów i na tem też stanowisku przez czas jakiś pozostawała. Przy doju zwykle bywał obecny sam Tatarczany i musiał odkryć w Ulinie jakieś zalety, bo już w drugim miesiącu służby, odkomenderował dziewkę do kuchni a na miejsce jej przeniósł znowu z kuchni Agatę. Nie obeszło się tu bez pewnych szemrań ze strony tej ostatniej dziewki, gdyż służba przy kuchni nietylko sta-

nowi wyższą rangę, lecz jest jeszcze łatwiejsza. Agata była pomocniczką Agnieszki, dziewki przełożonej w domu Tatarczanego i widocznie zaszczyconej względami dziedzica. Powszechnie sądzono, iż Agnieszki nikt nie zdoła wyrugować z raz zajętego przez nią stanowiska. I ona także była bardzo urodziwą niewiastą, tylko w innym stylu niż Ulina: brunetka, ze śniadą cerą twarzy, wysmukła, jak topola i czarnooka. A miała wielką powagę wśród służby, ponieważ „nikiej jaka ślachcianka", utrzymywała wszystkich w moresie. Pierwsza Ulina dopiero ważyła się stawiać jej opozycyę w rozmaitych rozporządzeniach, więc też widocznem było, iż w między-kuchennych stosunkach, przygotowują się pioruny wojny.

Tatarczany jakoś często przyzywał Ulinę do swego pokoju, gdzie snadź dawał jej przydłuższe informacye, co do rozmaitych obowiązków; dzięki temu, dziewka wchodziła w coraz poważniejszy zatarg ze swą zwierzchniczką, która rada byłaby mieć sama jedna przywilej poufnego rozmawiania z dziedzicem w cztery oczy. Ulina miała temperament ognisty i dzielnie odcinała się Agnieszce; zresztą obie zdawały się szukać zaczepki i dobrej okazyi do stoczenia walnej bitwy. Jakoż niebawem przyszło do tego.

Jednego dnia ocieliła się krowa i przy takich narodzinach potrzebną była asystencya nietyle

osoby kompetentnej, ile energicznej a uzbrojonej we władzę wydawania dziewce od krów i skotakowi szeregu całkiem właściwych rozkazów; do tego nikt nie mógł być odpowiejszym, jak Agnieszka. Przy samym początku ceremonii ocielenia się krowy był obecny w oborze Tatarczany; ale, widząc, iż wszystko dobrze idzie, zabrał się i odszedł do domu. Przechodząc przez sień, uchylił drzwł od kuchni, ujrzał tu Ulinę, zajętą sprawami gotowania obiadu i, nie wiadomo po co, przyzwał ją do swego pokoju. Dziewka szanowała— naturalnie — rozkazy chlebodawcy nade wszystko, więc opuściła posterunek w kuchni i poszła do pana. Atoli stan spraw kuchennych był pod owę chwilę taki, iż nie mógł znosić przydłuższej nieobecności Uliny. Przy ognisku bowiem stały liczne szeregi garnków:. po jednej stronie warzył się obiad dla czeladzi, po drugiej — tak zwany obiad pański a silny płomień, buchając w czeluście komina, rozgraniczał te dwa gatunki obiadu. Więc najprzód w potężnie odrutowanym a mocno okopconym garze glinianym warzyły się kartofle, następnie szedł wielki żeleźniak, napełniony po brzegi jęczmienną kaszą, która się dotajała; z boku znowu na umyślnie wygarniętej kupce węgli rozżarzonych, w trójnożnej ryneczce, skwarzyła się na omastę słonina ze sadłem. Z drugiej strony płomienia dawała się widzieć noga kury, ku górze stercząca z garnuszka; następnie w innym znowu gar-

nuszku gotowały się kartofle dla pana dziedzica, (nawiasem mówiąc, Tatarczany nadzwyczajnie lubił rosół na kurze z kartoflami). Oprócz tego, gotowała się tu jeszcze w oddzielnym garnku czysta woda. Ulina, odchodząc z kuchni, opuściła nietylko kuchenne ognisko, lecz także na stolnicy kluski, krajane w kwadrat, czyli tak zwane łazanki. Usłyszawszy wołanie dziedzica: „Ulina! Ulina!“ dołożyła na ogień spore narączko drew, jakby się spodziewała przydłuższej konferencyi z pryncypałem i bardzo ochoczo wyszła.

Tymczasem ogień suto zapłonął a działanie jego niebawem odezwało się w garnkach; poczęło tu wszystko żwawo wrzeć i kipieć, niby namiętności w duszy ludzkiej. Tająca się kasza, wygórowała ponad garnkiem, prztykała, pykała, rozstrzeliwała się to na ogień, to na kuchnię i jak wulkaniczna lawa ściekała po bokach swego krateru. Silnie zakipiał rosół, stercząca ku górze noga kury wznosiła się i opadała, wirując dokoła wewnętrznych ścian garnka. W trójnożnym tygielku tłustość zajęła się płomieniem i dodała nowego rodzaju oświetlenia tym wszystkim nadzwyczajnym wypadkom, które się zdarzyły w kuchni podczas audyencyi Uliny u dziedzica, a pobytu Agnieszki w oborze.

Nareszcie krowa szczęśliwie wydała na świat potomka i, gdy ułożono obok niej nowonarodzone cielę, poczęła je lizać w przystępie macierzyńskich uczuć; obecni zaś ludzie wyrażali swój

wielki podziw, że się urodziło takie duże cielę.

Teraz dopiero Agnieszka opuściła oborę i spieszyła w derdy do kuchni, ażeby dla chorego bydlęcia przygotować dekokt z ciepłej wody, soli oraz święconego ziela. Jakież było zdziwienie dziewki, gdy w kuchni żywej duszy nie znalazła i zobaczyła obraz zniszczenia obiadu, opuszczonego przez Ulinę! Stanęła ona na progu, załamała ręce i zawołała:

— O rety, Jezus Marya!... A kajżeś się zadziała zawyta jedna!... Uliina! Uliina!

I nie wiedziała Agnieszka, co najprzód ratować należy, więc w dalszym ciągu prowadziła monolog na temat głupoty i złych popędów Uliny.

W tem się otwarły drzwi z przeciwka i z mieszkania dziedzica wyszła właśnie Ulina, którą Agnieszka odrazu poczęstowała z góry:

— Dyć tobie, tłuku, rychtyk dla psów gotować, nie dla ludzi!... Cóżeś ty narobiła? O rany Jezusowe!

— A krzywam ja co temu, że mię pan dziedzic zawołał do siebie?—wrzasnęła Ulina, sama przerażona zrazu nadzwyczajnemi wypadkami.

Dopiero Agnieszka, jak się nie rzuci ku Ulinie, jak nie krzyknie na nią:

— To ty, sobacza, z panem będziesz psy pasała, zamiast obiad gotować!

Dla Uliny było tego za nadto, więc palnęła Agnieszkę w głowę i chustkę jej na ziemię zrzuciła z głowy. Teraz rozpoczęła się już walka na dobre; obie te kobiety szarpały się za policzki, następnie pochwyciły jedna drugą za włosy i wodziły się tak po kuchni, aż zrzuciły ze stołu stolnicę z krajanemi kluskami, co ich nie rozbroiło. W samym początku walki, Agnieszka miała widoczną przewagę siły, bo powaliła swą przeciwniczkę na ziemię. W tej chwili właśnie rozległ się huk przy ognisku, jakby wystrzał z pistoletu; Agnieszka drgnęła i mimowolnie wzrok oraz uwagę przeniosła z pola bitwy na ogień: to pękł garnek, w którym się warzył dla dziedzica rosół na kurze. Ulina w mgnieniu oka skorzystała z tego zawahania się rywalki, oburącz chwyciła ją za bose nogi pod samemi kolanami i z kolei powaliła na ziemię; następnie przysiadła gruntownie i poczęła dusić za gardło. Dla Agnieszki była to rozpaczliwa chwila, gdyż przeciwniczka wpiła jej w szyję silne palce i tak dławiła, że zaledwie można było oddychać. W takiem położeniu niejeden już człowiek, nie mogąc sobie inaczej dać rady, błagał o łaskę zaciętego wroga; to też i Agnieszka wybełkotała najprzód:

— Ratujcie wszyscy Święccy! — a potem słabym, pokornym głosem skamłała:—Uliś puść!... Moja Ulisiu, puść, bo nie wytrzymam!...

Nadzwaczajny harmider w kuchni, zrobiony przez dwie dziewki, sprowadził tutaj Tatarcza

nego; ten, widząc zajadłą bitwę dwóch rozczochranych białogłów, chciał je przyzwać do porządku i, piorunującym głosem wyrzucił z ust kilka strasznych przekleństw. Jakoż puściły się dziewki i jedna przez drugą wrzeszcząc, zanosiły skargi do dziedzica, który zaprawdę w niemałym był kłopocie, nie wiedząc której z dwóch swoich faworyt przyznać słuszność.

Więc tylko z nadzwyczajną powagą wysłuchał skarg obustronnych, popatrzył z niezadowoleniem na ruinę obiadu przy ognisku, zaklął od „wszystkich siarczystych piorunów“ i wyszedł z kuchni, trzasnąwszy drzwiami tak strasznie, że kot, drzemiący dotąd spokojnie pod kominem, porwał się na równe nogi i wypadł ztamtąd jak oparzony.

Niewiele brakowało, ażeby obie współzawodniczki ponownie wzięły się za gardła; Ulina atoli wzięła do ręki siekierę a to opamiętało jakoś Agnieszkę, która, będąc pobitą i widząc się opuszczoną przez dziedzica, podniosła z ziemi swą chustkę i poczęła ją sobie machinalnie zawiązywać na głowie. Zrobiwszy jaki taki ład z toaletą, Agnieszka zapłakała; z płaczem wybiegła z kuchni i skierowała swe kroki w stronę dworu pod literę *b.*

Szła ona przez pole, rozpaczliwie i głośno lamentując; wyrzekania owe dotąd zawsze wesołej dziewki sprawiły, iż parobcy, uprawiający rolę, zawiesili swą robotę, przystanęli, nasłuchując, co

to wszystko ma znaczyć. Potem zbliżyli się do Agnieszki, otoczyli ją i z nadzwyczajną ciekawością rozpytywali o przyczynę srogiej żałości.

— No, będziecie wy mieli dzisiaj obiad! — mówiła dziewka wśród szlochów i sapania. — Nie mnie ino za to pomstować trzeba... Tać owa zatracona Ulina wyżarła mię dzisiaj ze dwora! Oj, nieszczęście moje, nieszczęście! Nie mam ci ja sierota ani tatusia, ani matusi, coby się za mną ujęli... Kóżdziusieńki ino nastaje, żeby człowieka sponiewierać—i płakała coraz głośniej, rozżalając się sama nad sobą.

Żaden z parobków nie przerwał jej słówkiem tych lirycznych wylewów boleści. Nareszcie zabrała się i, idąc miedzami a ocierając zapaską załzawione oczy, zdążała ku dworowi Zawracalskich.

— To prawda, co ciężkawo je babie wyżyć na świecie, kiej niema nikogo kuli swej obrony— rzekł fornal Majcher, coś najbardziej wzruszony boleścią Agnieszki.

— Napluć a to na babskie swary i zwady!— zawołał drugi fornal Matus.—Gorsze ci to, coświa się zrobili a pono garki z warzą do krzty potrzaskały w kuchni... Ciekawe rzeczy, jaki uni nam obiad zładzą na przypołudnie.

— Jagniszka była dbała o czeladź a nie wiadomo, co będzie warta ta druga —zauważył Majcher.

— One ta jednakowe!... Nie wiesz to? Dziedzic sobie umyślnie takie dobiera, coby dla niego były śwarne... Mają juchy bez to wygodę we dworze lepszą, niźli parobcy... Chyci to potem ućciwy chłop taką zapapraną dziewkę?...

Agnieszka, pełna gorączkowego niepokoju, rozżalona i rozzłoszczona, przybiegła do dworu pod literę *b*; tutaj zaszła do kuchni, rozgadała się jakoś nietylko z dziewkami miejscowemi, lecz z samą panią dziedziczką oraz panienkami i przepomniała o swym frasunku. Posypały się plotki na rachunek pana Prospera, czego Zawracalszczanki były nadzwyczajnie chciwe, więc wypytywały dziewkę o przerozmaite szczegóły. Rzecz prosta, iż przedewszystkiem stosunki Tatarczanego z Uliną odmalowała Agnieszka w jak najczarniejszych barwach. Uraczona kieliszkiem wódki i zakąską, odpowiadała na każde pytanie w myśl życzeń Joasi i Polci.

— Moja ty Jagusiu a co on też o nas mówi?— pytała ciekawie Joasia.

— Oho, o panienkach, to on się nigdy inaczej nie odezwie, ino zawdy wywołuje: — te flondry Zawracalszczanki, te bajczarki, ciągnęły mię one gwałtem do siebie, bo im się chce iść za chłopa.. Ale nie takim ja głupi, jak im się widzi.

Opowiadania takie i tym podobne rozpaliły ogień nienawiści dla Tatarczanego wśród płci pięknej we dworze pod literą *b*. Zawracalskie

uważały sobie teraz za obowiązek protegowanie Agnieszki, wyparowanej przez energiczną Ulinę; wprawdzie nie mogły one jej dać miejsca pod literą *b*, ponieważ wszystkie żeńskie posady były tu pozajmowane; ale dawały za to dziewce, jak najlepsze rady i pobudzały, ażeby — broń Boże — nie powracała do służby u Tatarczanego.

Wśród mnóstwa rad takich, jedna najbardziej podobała się Agnieszce; mianowicie też wiedziały skądś Zawracalskie, że w Plichtowie, wsi odległej o ćwierć mili od Noskowic, ksiądz proboszcz wydał właśnie za mąż swoją gospodynię i pilnie poszukiwał nowej kandydatki na to znakomite stanowisko, Mówię — znakomite, bo zostać księżą gospodynią — znaczy w bycie wiejskim i mieszczańskim prawie tyle, co dobrze wyjść za mąż. Zawracalscy nie żyli w bliższych stosunkach z plebanią w Plichtowie, wiedzieli jednak bardzo dokładnie o wszystkiem, co się tam działo.

Dziewka udała się więc na plebanię.

Trzeba wiedzieć, iż ksiądz pleban w Plichtowie nie był to ani żaden asceta, ani też jakiś prostoduszny proboszcz. Żył on sobie, jak to mówią, porządnie; zawsze u niego można było dobrze zjeść i wypić, tylko, że ksiądz nie z każdym jadł i pił, ponieważ przestawał on głównie ze szlachecką arystokracyą tych okolic. Dziedzice Noskowic nie była to szlachta dla niego; wyrażał się też o nich, że są „ani z pierza, ani z mię-

sa", że nie mogą niczem pociągnąć ku sobie człowieka wykwintniejszych wymagań.

Kapłan z Plichtowa, mógł liczyć przeszło czterdzieści lat wieku życia. Mieszkał sobie bardzo przyjemnie, trzymał parę dzielnych koni, angielskie szory, furmana w piaskowego koloru liberyi, ze świecącemi guzikami oraz szychowym lampasem na lakierowanej czapce. Lubił dobrą kuchnię i posiadał w swej piwniczce wcale niezłe zapasy rozmaitych w dobrym gatunku trunków. Przecież ksiądz może być podobny do innych ludzi. Utrzymywał on nawet wśród szlachty dobre wyobrażenie o godności kleru. O ile atoli ksiądz Żłobski był wyrozumiałym pasterzem dla samego siebie i dla owieczek, z którymi żył w bliższych stosunkach, o tyle w ryzie trzymał naród prosty i ludzi pospolitszych, a nie przebaczał nikomu, kto mu śmiał wejść w drogę. Osoba jego sprawiała w kościele duże wrażenie, odznaczał się bowiem poważną, piękną męzką fizyognomią; wzrost miał okazały, głos—wyraźny, doniosły, czysty.

Z nauk jego chłopi niewiele zwykle odnosili korzyści; ale za to, gdy się uwziął, aby dopiec komuś z inteligencyi, wtedy miłość chrześciańska nie stała mu już wcale na przeszkodzie.

W czasach, o których tu mówimy, ksiądz Żłobski istotnie wydał za mąż swoją gospodynię i miał dużo zajęcia z egzaminowaniem przerozmaitych kandydatek, które się do niego

zgłaszały, pragnąc objąć zarząd domu. Z kolei przybyła też tu i nasza Agnieszka, poinformowana przez żonę i córki pana Piotra.

Ksiądz proboszcz obejrzał uważnie kandydatkę i już mu się to spodobało, że była bardzo czysto ubrana; potem rozpoczął egzamin ustny od słów:

— Moja duszo a umiesz ty gotować?

— Proszę wielmożnego jegomości, gdziebym zaś nie umiała, toć ciągiem bez dwa roki pitrasiłam różności w Noskowicach.

Ale ksiądz proboszcz musiał mieć nieszczególne wyobrażenie o gastronomicznych gustach Tatarczanego, bo się zlekka a ironicznie uśmiechnął i począł stawiać inne więcej kategoryczne pytania.

Agnieszka snadź nie zadowolniła księdza co do znanych sobie sposobów gotowania rozmaitych zup, pieczenia i smażenia mięsiw, przyrządzania jarzynek i legumin; ale podobała mu się jednak miła, fizyognomia oraz piękna postawa tej kobiety, wyglądającej jak dama lepszego urodzenia a przeto mogącej godnie reprezentować niewieście rządy na plebanii. Niech kto chce i co chce mówi, to pewna, iż piękna powierzchowność stanowi jednak w pewnych razach dobrą rekomendacyę. Chociaż Agnieszka słabo zdała egzamin ze sztuki kulinarnej, umiała za to znakomicie chodzić około drobiu, co zaś najgłówniejsza—podobała się; dostała zatem promocyę, to jest zo-

stała przyjęta za księżą gospodynię; ostatecznie otrzymała zadatek i zalecenie, ażeby się jak najprędzej stawiła na swoim posterunku.

O, jakże szczęśliwą była ta dziewka, powracając z Plichtowa do Noskowic! Spieszyła ona prosto do dworu pod literę *c*, ażeby zabrać ztamtąd swoje manatki, powiedzieć na pożegnanie Ulinie kilka grubiańskich wyrazów i wynieść się czem prędzej z domu Tatarczanego. Atoli pan Prosper wcale nie miał zamiaru uwalniać ze służby dziewki, ugodzonej na cały rok a przeto wydał polecenie swemu 'karbownikowi, ażeby Agnieszce przyaresztowano skrzynkę oraz pierzynkę. Ulina ze złośliwą radością patrzyła na takie fantowanie rzeczy swej antagonistki, która, jakkolwiek pokonana, nie myślała jednak o zrobieniu jakichbądź ustępstw.

Kiedy Tatarczany ze stanowczością oświadczył Agnieszcie, iż nieodwołalnie musi dosłużyć do roku, gdyż w przeciwnym razie nie otrzyma przypadających zasług, ani też nie będzie mogła zabrać swych rzeczy, dziewka nie namyślała się bynajmniej, co ma począć; natychmiast opuściła ona dwór pod literą *c* i tak jak była, w jednem ubraniu, przyszła na plebanię, przedstawiając nowemu swemu panu skargę na poprzedniego.

Ubodło to księdza Żłobskiego, że jeden taki dziedzic z Noskowic, śmie robić krzywdę jego

przyszłej gospodyni, zatrzymując jej rzeczy: usiadł zatem przy biórku z pewną zgryźliwością w duszy i niebawem napisał list, który tak brzmiał:

„Wielmożny Imci pan Tatarczany
w Noskowicach pod literą *c*.

Posyłam wózek i konie po rzeczy *najniewłaściwiej* zatrzymane gospodyni mojej Agnieszce Pasternakównie. Wypada mi się spodziewać, iż *niewłaściwość* zostanie naprawiona.

Ks. Antoni Żłobski“.

Pan Prosper, odczytawszy ów list, uczuł się nadzwyczajnie obrażonym; był to bowiem rodzaj rozkazu. Przedewszystkiem więc naklął plebańskiemu parobkowi a potem zasiadł do stolika i, co mu się bardzo rzadko zdarzało, postanowił odpisać list, obrażający znowu księdza. Ale cóż, kiedy atrament wysechł był już zupełnie w jego kałamarzu a choćby nawet atramentu było pod dostatkiem, to pióra tak jakoś zardzewiały, że żadne pisać nie chciało. Tatarczany wyszedł na dziedziniec i znowu księżemu parobkowi nawymyślał raz jeszcze w obecności różnych ludzi. Naraz przypomniał sobie, że posiada w domu ołówek, przeto powrócił do swego pokoju i ołówkiem odpisał księdzu te kilka wyrazów:

„Wielmożny Imci ksiądz proboszcz Żłobski
w Plichtowie,

Żałuję mocno, że nie istnieje przykazanie: „nie będziesz pożądał cudzej gospodyni“, bo w takim razie zapewneby Ksiądz proboszcz nie ośmielił się popełnić względem mnie *niewłaściwości*. Nic już więcej nie mając do nadmienienia, odsyłam wózek i konie bez rzeczy Agnieszki Pasternakówny.

Prosper Tatarczany, właściciel Noskowic
litery *c*“.

XI.

Powrócił plebański furman do Plichtowa, z próżnym wózkiem i opowiedział panu swemu, jak mu to naklął Tatarczany; list pana Prospera do reszty obraził ambitnego proboszcza. Przygotowywała się burza, która bardziej jeszcze miała zakłócić już i tak zaniepokojony żywot Noskowickich właścicieli, — burza tem sroższa, że w niej duchowne żywioły brały udział.

W najbliższą niedzielę, pobożny zwykle Tatarczany nie pojechał wcale do kościoła, chciał on bowiem w ten sposób zamanifestować swoją niechęć dla proboszcza. Ale zdarzyło się, że i inni więksi właściciele z Noskowic nie byli dnia tego na sumie. Pan Dyzma bo już oddawna zaniedbywał nabożeństwa, po części z powodu swej choroby, a po części jako lekki ateusz, dzięki upodobaniu swemu od czasów aryańskich. We dworze znowu pod literą *b* pozostał w domu Skałecki, ciągle podejrzywany o chęć osobistego porozumienia się z Zatwardziałowiczem; ponieważ zaś nie wypadało, ażeby w domu z młodym uczonym pozostały córki, bo coby na to powiedziała oko·

lica, więc i pan Piotr nie pojechał do kościoła i oddał się przy święcie antropologiczno archelogicznym badaniom.

Na kazalnicę wstąpił ksiądz Żłobski i, spojrzawszy z góry surowym wzrokiem po całym kościele, rozpoczął kazanie od tych słów:

„Potępieni będą nieprzyjaciele słowa bożego i przeklęci bezbożnicy, którzy unikają świątyni pańskiej, albowiem szatan to nie dopuszcza ich przed oblicze Pana". Słowa te, wymówione bardzo dobitnie, sprawiły na obecnych niezmierne wrażenie: wszyscy upatrywali po kościele, kogo brakuje na sumie.

Następną część kazania, stanowił wykład o ważności porannego nabożeństwa w porównaniu z każdem innem; ale ta druga część była tylko przejściem do części następnej, zapowiedzianej we wstępie a będącej właściwem kazaniem. Albowiem ludzie, nieprzybywający do kościoła, pozostają niezawodnie pod wpływem grzechów głównych a przeto kazanie właściwe rozwijało przed słuchaczami obraz piekielnych męczarni, oczekujących grzesznika po śmierci.

Tutaj mówca przedewszystkiem dał ogólne pojęcie, co to jest piekło, straszliwe miejsce wiecznej katuszy ogniowej i położył nadzwyczajny nacisk na termin — *wieczyste więzienie*, w którem szatan zatarasuje pewną ilość mało pobożnych parafian. Obecni w kościele uczuwali w duszy pewną satysfakcyę, że tą razą nieobecność za grzech

im poczytaną nie zostanie. Cóż tam właścicieli mniejszych z Noskowic mogły obchodzić nieszczęścia pośmiertne Zatwardziałowicza, Zawracalskiego i Tatarczanego? Toż w życiu zagrobowem wszystko wyglądało tak, jak w życiu ziemskiem; dodatek dyabła i nieco więcej ognia nie jest znowu taką wielką modyfikacyę, mającą wpływ na zmianę uczuć.

Do kościoła nie uczęszczają zatem *pyszni* a pysznym jest ten, „kto siebie wyżej stawia, aniżeli sługę bożego“. Niejeden ze służących Tatarczanego domyślał się, że tu musi chodzić o owe przekleństwa oraz wymyślania, które dziedzic z pod litery *c* zastosował do plebańskiego furmana. „Kto się wynosi pychą, poniżon i pogrążon będzie“.

Opowiadając w dalszym ciągu o katuszach w piekle za łakomstwo, mówca przedstawił, jak niektórzy ludzie, gnani tą żądzą, rozkopują ziemię i kościom nawet zmarłych nie dają spoczynku; bezbożnikom takim, szatan będzie lał smołę w gardło i język im z ust wyrywał.

Ksiądz Żłobski mógł tu mieć na myśli głównie Tatarczanego; ale pospólstwo wiernych myślało także o męczarniach w piekle pana Dyzmy, Zawracalskiego i ometry z Krakowa.

Męczarnia za grzech nieczystości była już tak trafnie wymierzona ku Noskowicom, literze *c*, że nikt nie miał najmniejszej wątpliwości, o kogo chodzi.

Piekielną katuszę za nienawiść chłopi, co prawda, brali do siebie, jako szczerze nienawidzący bliźnich, swoich dziedziców. Noskowiczanie przypuszczali, że Dziura i sołtys z ich wsi najgłówniej powinniby za ten grzech odpokutować w piekle.

Grzech obżarstwa, nie szanującego ani piątków, ani suchych dni, niezmiernie oburzył na siebie tych wszystkich pobożnych, którzy, jak rok długi, nie jadali mięsa. Wiedziano zaś powszechnie, że Tatarczany codziennie jadał bez skrupułu rosół na kurze z kartoflami a przeto służba dworska z Noskowic litery c była nadzwyczajnie zgorszona. „Czego się przedtem i dotknąć nie chciała dusza twoja, to dla ucisku będzie pokarmem twoim". Wołał kaznodzieja a słuchacze rozmyślali, czego też to nie chce się dotknąć dusza ludzka za życia.

Strasznie wyglądały te wszystkie męczarnie, jak najbardziej poglądowo przedstawione przez księdza Żłobskiego.

Ponieważ wszelki grzech ludzki pochodzi ze zmysłów, więc grzesznik taki—dajmy na to—jak Tatarczany, któremu Bóg dał oczy na to, ażeby podziwiał dzieła Boże, będzie miał oczy „zniszczone w łożyskach".

Stosownie do psychologii księdza proboszcza z Plichtowa, słuchem obdarzony jest człowiek w tym celu, ażeby słuchał słów kapłana swego, nie zaś czartowskich poduszczeń, które, jak mó-

wi prorok Jeremiasz, najniezawodniej wiodą do piekielnej otchłani.

Przerażają co okropnemi mają być w piekle katusze powonienia a to „dla nieznośnego fetoru i smrodu“; książę nocy wiecznej puszcza bowiem grzesznikowi pod sam nos obrzydliwe kadzidła.

Zmysł dotyku znowu dany jest śmiertelnemu człowiekowi z tego względu, ażeby za życia umartwiał swe grzeszne ciało; tymczasem zmysł ów staje się narzędziem bezecnej lubieżności i przeto straszne smoki oraz inne potwory będą szarpały człowieka, który za życia nadużył dotykania. Nikt z Noskowiczan nie miał najmniejszej wątpliwości, że Tatarczany, stary kawaler, z powodu posiadania dotyku niezawodnie pójdzie do piekła za „krótkie chwile dotknięcia“.

Podług słów proroka Habakuka, grzesznik, łamiący posty, będzie smakował „z kielicha obrzydliwe wymioty“. [1])

Takiem było pamiętne kazanie w Plichtowie, wypowiedziane głównie przeciwko Prosperowi

---

[1]) Kazanie powyższe sporządzone było podług dziełka: „Katownie więzienia piekielnego, obrazami od ks. Jana Baptysty Manny S. J. roku 1675 wyrażone“. Na przestrogę i poprawę zakamieniałych grzeszników na nowo wydał ks. J. Stagraczyński. Poznań.

Tatarczanemu, z powodu zatrzymania przezeń skrzynki z rzeczami i pierzynki Agnieszki Pasternakówny.

Ta część owieczek, która po nabożeństwie zaszła do karczmy na kieliszek wódki, rozmaicie komentowała przemówienia pasterskie.

Dziura pierwszy zagaił posiedzenie, mówiąc do sołtysa:

— Słyszeliśta, kumie, toć jegomość dzisia skazował naszych ciarachów het do piekła! Widno się o coś poprztykali ze sobą.

— A ino, musi, bo przedtem, to tyla chłopów zawdy tarabanił do piekła. Oj, pewnickiem Tatarczany cosik mu zmalował—odrzekł sołtys.

— Niech się ta coniebądź pogryzą, to chłop będzie miał większy spokój, nim się upamiętają!— zawołał Maciek Słupik.

— Myślita, co chłopi bez to póńdą do nieba?—mówił z ironią Dziura. — Nie popuszczą oni, nie!

— Tać my jedni pono godni dusznego zbawienia—odezwał się Wicek Chmura.—Nikto tak nie uszanuje postu, jak Noskowiccy chłopi.

— Pościewa caluśki rok okrągły!.. — rzekł Dziura.—Bo jak nie pościć, kiej ustawicznie bieda. Łacniej takiemu posty łamać, co go stać na to

— No a jak się człek wypości, to mu się dyć sytkiego grzechu odechciwa—mówił Kabat.

— Kiej już tak stoja w przykazaniu, to post postem! — zawołał Dziura. — Ino ja wam pedam, co żebym tak miał zawsze doma na podorędziu kawałek misa, tobym się z nim i w sobotę sprawił.

— Po prawdzie rzekacie, Szymonie — powiedział sołtys—bom i ja rychtyk taki.

— Kóżdy człowiek je grzeszny — zauważył Kazimierz Zajma. — Ale mnie się widzi, co kiej jegomość tak nie folguje ciarachom, to i nam Pan Jezus łacniej dopomoże, żeby ich spatrzyć.

— Dyć mieliśta iść do Zawracalskiego i wytargować z niego co za te skarby wykopane na służebnym gruncie pod lasem—zawołał sołtys.—Cóż opóźniacie?

— Ja ich strzymałem—rzekł Dziura. — Bo nico niema pewnego w tem wykopaniu i jakby sprawa poszła do sądu, któż za proces będzie płacić? Mamy to jakich świadków? Toć tera cała sprawiedliwość na świadkach wisi.

— Jak nie o to, to o co innego możnaby się uprzeć u naszych dziedziców!—mówił Zajma.

— Juści, kiejby poszło na uwziątkę — powiedział sołtys — to Noskowiccy chłopi mogliby zaorać spory kęs tego pasternika, co na nim pasają swoje bydło wespół z gadziną dziedziców. Prawdą a Bogiem bydlę tam trawy nie uszczypie w tych krzaczyskach jałowca a proso obrodziłoby należycie.

— Ej, i żyto byłoby tamój tęgie, na takiej nowiźnie—rzekł Dziura.—Karczunku tam wielkie-

go nie potrzeba, bo co korzenia sam pług nie wyorze, to chłop ręką wyrwać podoła... Ino po sprawiedliwości, to nasza gromada tyla do czwartej części ma prawo.

— Jak to do czwartej części? — zapytał Zajma.

— Bo w Noskowicach je trzech właścicieli dworowych i czwarci my chałupni; kajindziej ludzie nie tyle stratni, co u nas. No i z jednym dworem, łatwiej se chłopi poradzą niż trzema — mówił znowu Dziura.

— Że ich trzech, to co z tego? — odezwał się Zajma. — Bez cóż my wszyscy społem mamy być tyle warci, co każdy z dziedziców Noskowickich.?

— Dyć oni ta sami nic nie warci, tyla sporo warte ich bydło — wykładał dalej Dziura. — Nie wiecie to, co we trzech dworach będzie rogacizny ze sto śtuk i może połowa tego świń, a chłopów pospodarzy w Noskowicach jest dwudziestu trzech i nie mają połowy tego wszystkiego. Z takowej przyczyny ćwiartka pasternika i tak dobrze dla nas wypada.

— Ej, kumie, widzi mi się zła wasza karkulacya!—przemówił poważnie sołtys.—Bo dwudziestu trzech Noskowickich gospodarzy mają musi więcej gadziny, niźli jeden nasz dwór.

Wtedy Dziura zabrał się do obrachunku i począł na palcach obliczać żywy inwentarz w każdej chałupie. Pokazało się, że chłopi posiadają

przeszło pięćdziesiąt sztuk rogacizny a oprócz tego—świń trzydzieści kilka, jedenaście owiec, jedną kozę, trzynaście koni oraz kilkoro źrebiąt [1]).

— Widzicie, Szymonie, toć na nas wypada więcej niż ćwiartka tego pasternika — rzekł Kabat.

— Niechżebyśmy zorali, co na gromadę przychodzi—prawił dalej Dziura. — Jakże się potem dzielić?

— Ja pedam, że kto ma najwięcej bydła, ten ma i najwięcej prawa do pasternika i takiby też najwięcej ziemi prosem obsiał — zakonkludował Zajma.

— A ja mówię, co podział musi być podług gruntu — rzekł Słupik. — Kto w ziemię najbogatszy, ten najwięcej prosa zasieje na pasterniku.

— No, to takiemu, co ma ino morgę gruntu, przypadnie tyla ogonek od zagona... Sprawiedliwość byłaby taka sama, jak już jest na świecie: kto ma dużo, dostaje jeszcze więcej! — zawołał Dziura.

— Wy, Dziuro, macie też tera o krzynę więcej, boście się w łąkę worali Zawracalskiemu!—zamówił Kabat.—Dyć wy nie taki znowu chudziak,

---

[1]) Owiec i kóz Dziura nie zamieścił wśród rogacizny.

nikto drugi w Noskowicach nie ma na sobie kożucha.

— Przypadłoby im na pasterniku pod proso o tyćki kawałek więcej — rzekł Słupik z ironią, ukazując na palec po pierwszy członek.

— Jakbyświa zaorali ten pasternik, to i tak jeszcze możewa mieć prawo wyganiać gromadzkie bydło zawraz z dworskiem, bo co spólne, to spólne—mówił Zajma.

— Cóż myślicie, sołtysie, nie byłoby z tego skargi przed sądem?—zapytywał Dziura.

— Ha, możeby była a może nie! — odparł sołtys.—Trzaby się z dziedzicami dobrze rozmówić, żeby z tego wszystkiego gromada miała jaki prefit.

— Kiej tak, to idźwa hurmem do tych dziedziców i napocznijwa z nimi takowy interes!— wzywał ochoczo Zajma.

— Ino jak iść, to iść na upór! Bo szkoda drzeć sobie gęby napróżno — powiedział ze stanowczością Dziura.

— To pódźwa zara dziś po południu! — rzekł Zajma.

— A od kogóże zaczniewa? — zapytał Słupik.

Od Zawracalskiego!—wykrzykiwali jedni.

Ale drudzy znów nawoływali:

— Od Tatarczanego!

Podczas tego inni jeszcze wykrzykiwali!

— Trza iść najpierw do Zatwardziałowicza!

I zrobił się ogromny zamęt w karczmie, ponieważ cała gromada podzieliła się w tej chwili na trzy stronnictwa.

Nareszcie sołtys wyciągnął do góry rękę, przywrócił zakłócony porządek i rzekł:

— Idźta nasamprzód do Zadwardziałowicza, bo jego dwór jest litera *a*, najpierwsza w abecadle!... Ja z wami nie pójdę, jakom urzędnik, mogłoby co być nie po prawie; o mnie wiedzą ludzie i w powiecie.

Uczoność gromadzkiego urzędnika wpłynęła bardzo dobrze na uspokojenie umysłów i nastała zgoda.

Postanowiono więc ostatecznie, iż, zjadłszy w chałupach obiad, cała noskowicka gromada niebawem zejdzie się pod figurą w pobliżu karczmy i ztamtąd wszyscy wyruszą, aby obejść kolejno dwory pod literami: *a*, *b*. *c* i wyłuszczyć właścicielom większym swoje plany oraz żądania.

Pan Dyzma siedział, jak zwykle, w ganku przed swoim dworkiem i palił fajkę na długim cybuchu. Człowiek ten ciągle jeszcze nie domagał, nogi mu nie dopisywały, za to w głowie jego snuły się różne marzenia i dosyć niedorzeczne projekta.

Zatwardziałowiczowa znowu i obie córki w pokoiku, którego drzwi wiodły do sieni, cichym głosem rozbierały kazanie księdza Żłobskiego.

Dzień jesienny był bardzo pogodny, słońce nie paliło, lecz przyjemnie ogrzewało; pajęczyna babskiego lata snuła się po powietrzu a gromady śpiewnych ptaków przelatywały ponad Noskowicami, obsiadając niekiedy wierzchołki topól i napełniając gwarem górne przetworza. Zatwardziałowicz rozmyślał najprzód o Zawracalskim oraz o krakowskim uczonym, który przyjechał do Noskowic pod literę *a*, lecz zabłądził pod *b* i podstępem go tam zatrzymano. Następnie dzień pogodny oraz wzgórze, na którem dworek był zbudowany, nastręczyły panu Dyzmie ideę uprawiania w Noskowicach wina i postanowił sobie pod tym względem przy najpierwszej sposobności wydać odpowiednie rozporządzenia polowemu Jantkowi. Potem wspomniał na zły stan swoich interesów i rozmyślał, jakieby on to zaprowadził ulepszenia, gdyby wygrał główny los na lipskiej loteryi. Te ostatnie marzenia zaprowadziły Zatwardziałowicza bardzo daleko; w myślach swoich wykonywał rozmaite ważne dzieła — jedno po drugiem i prawie wierzył, że wygrał na loteryi. Miał właśnie przyzwać do siebie Franię, ażeby pobiegła do ogrodu i zobaczyła, czy tam z pagórka dobrze widać plebanię w Plichtowie, ponieważ — w razie wygrania wielkiego losu na loteryi — zbudowałby na owym pagórku altankę w stylu aryańskiego zboru, coby zapewne irytowało księdza proboszcza i już, już pan Dyzma ułożył tak usta aby krzyknąć: „Fraa“... kiedy naraz wy-

dało mu się, iż widzi zdaleka na ściernisku od strony pastwiska pędzący jakiś wysoki czarny przedmiot a za tym przedmiotem toczyła się znowu żwawo jakaś szara bryła. Czarny przedmiot sadził z zagona na zagon a szary przedmiot gnał za nim natarczywie.

Na ten widok rozpierzchły się marzenia Zatwardziałowicza a dwa przedmioty, spieszące ku dworowi, zajęły teraz całą jego uwagę.

— Coby to mogło być takiego? — zapytywał samego siebie, wytężając wzrok i przecierając oczy.—Psy, nie psy; konie, nie konie; ludzie, nie ludzie.

I krzyknął donośnym głosem:

— Fraaniu! Fraaniu!... Pójdź no tu co żywo!

Dziewczyna niebawem przybyła na ganek a ojciec wyciągnął przed siebie długi cybuch z fajką i wskazując na pole, mówił:

— Masz lepszy wzrok odemnie, więc się przypatrz, co tam tak goni po polu!

Frania przyłożyła rękę do czoła, wpatrzyła się i rzekła:

— Szczególne rzeczy!... Ten mniejszy szary przedmiot poznałam, — to z pewnością jest nasz świniarczyk, Sobek; ale nie mogę rozpoznać, kto jest ten duży, czarny... Dlaczego oni się tak gonią?...

Tymczasem oba przedmioty, pędząc, zbliżały się coraz bardziej ku dworowi. Nagle przedmiot mniejszy zawrócił się i popędził w kierunku

pastwika, zkąd się wyjść zdawał. Przedmiot czarny atoli gnał ku dworowi całym pędem, w miarę zaś jak się zbliżał, można było rozpoznać człowieka w długim czarnym surducie, od którego poły pędzący podtrzymywał ręką.

— Ahaa! Poznałam już!—zawołała Frania.— Wie tatko, kto to jest?

— No, kto?—pytał zaciekawiony Zatwardziałowicz

— To ten żydek z Działoszyc, który zboże u nas kupuje—odrzekła Frania.

— Jak to, Herszek Knot?—i w głowie pana Dyzmy odżyły naraz wszystkie wysnute przed chwilą marzenia. — Wiesz co, najniezawodniej wygrałem wielki los na loteryi!... — Wrzasnął Zatwardziałowicz, jak oparzony, a serce bić mu poczęło w piersiach młotem. Mało brakowało, żeby wzruszony właściciel Noskowic litery *a* nie porwał się na równe nogi i nie pobiegł naprzeciwko żyda, dojrzanego w oddaleniu. — Wygrałem! Wygrałem!... Chwała Bogu, przecież wygrałem!—krzyczał zapamiętale pan Dyzma, nadzwyczajnie rozpromieniony.—Poczciwy Herszek Knot, onby nie pędził do mnie tak spiesznie i najkrótszą drogą, gdybym nie wygrał wielkiego losu!..

Krzyk ów sprowadził na ganek panią Salomeję i drugą córkę Fruzię.

Teraz już wszyscy z niecierpliwością oczekiwali przybycia zwiastuna szczęścia z Działoszyc.

Herszek z podkasanemi połami surduta wbiegł na drogę, wiodącą prosto w bramę dziedzińca; wnet przebył dziedziniec i wpadł na ganek, jak waryat, zzjajany okrutnie i oblany cały potem. Stanąwszy w ganku, żyd nie mógł wypowiedzieć najprzód ani słowa; po chwili zaledwie się zdobył na wymówienie stłumionym głosem.

— Wielmożny panie!... Wielm.... panie!...— i chwycił się oburącz za serce.

— Wiem, już wiem! — zawołał pan Dyzma, panując nad sobą, ażeby nie zdradzić radości.

Żyd znowu zdołał wyjąkać:

— Aj waj!... Wielmożny panie!... — poczem znowu zaniemiał, był strasznie blady i zaledwie mógł oddychać.

— Odpocznijże sobie, kochany mój, drogi Herszku!...—mówił Zatwardziałowicz, zachęcając żyda, ażeby usiadł—odpocznij i spokojnie mi opowiedz, ilem wygrał.

— Wielmożny panie!... Aj waj!—i tchu zabrakło w piersi żydowi.

— Franiu! — krzyknął Zadwardziałowicz. — Macie tam jeszcze pół butelki wina, które mi doktor pić kazał, uwiń no się i daj mu szklankę!.... Zasłużył przecie; niech przyjdzie do siebie! On się z tej wygranej ucieszył bardziej, aniżeli ja sam... Poczciwe żydzisko.

Frania spełniła polecenie ojcowskie i podała Herszkowi dużą szklankę wina, którą żydek duszkiem wychylił. Teraz opamiętał się już nieco, rękawem od surduta otarł pot, obficie spływający z czoła a kiedy Zatwardziałowicz bardzo nalegał, Herszek Knot znowu powiedział:

— Aj waj, wielmożny panie, co ja widział!... Co ja widział!

— A bodajżeś zdechł! — zawołał zniecierpliwiony Zatwardziałowicz. — Mów mi zaraz, ilem wygrał!

XII.

Podczas tych urywanych rozmów Herszka Knota z panem Dyzmą, pojawił się też w ganku i Jantek polowy; przyszedł on właśnie dziedzicowi dać znać, iż buhaj, trzymany w oborze na uwięzi, urwał się przypadkiem i w przystępie jakiejś swej byczej złości, wpadł z rogami na chlew świński, który się przeto zwalił do szczętu. Naturalnie, że w tak ważnej chwili nie dopuszczono Jantka do dziedzica. Frania tylko rozmówiła się pokrótce z poufnikiem ojca i odprawiła go z temi słowy:

— Mój Jantku, co tam dla nas dzisiaj chlew taki znaczy; ojciec wygrał oto na loteryi wielkie pieniądze i jest bardzo bogatym panem.

Jantek podrapał się w głowę i tyłami wyszedł z dworu, mając zamiar odwiedzić po południu karczmę. Zaledwie znalazł się na drodze, wiodącej do szynkowni, gdy spotkał całą gromadę mniejszych właścicieli Noskowickich, zdążających do dworu pod literę *a*, z zamiarem przedstawienia panu Dyzmie swoich propozycyj zaora-

nia części wspólnego pastwiska a mimo to pasania jednak na reszcie gromadzkiego bydła wraz z dworskiem. Polowy mimochodem poszepnął Szymonowi Dziurze, iż okoliczności są bardzo przyjazne dla gromady, ponieważ Zatwardziałowicz wygrał oto na loteryi duże pieniądze.

Właśnie więc, kiedy pan Dyzma nalegał na Herszka, usiłując wydobyć od niego wyznanie, jaką jest mianowicie suma wygranych na lipskiej loteryi talarów, wysypali się na dziedziniec Noskowiccy gospodarze z Dziurą na czele. Wódz i rzecznik gromady podszedł do Zatwardziałowicza śmiało z temi słowy:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Widząc tak znaczną gromadę chłopów, tłoczących się do ganku, pan Dyzma uznał za właściwe zawiesić rozmowę swoją z żydem; odwrócił się przeto do żony oraz córek z takiem zaleceniem:

— Weźcież tam tymczasem Herszka między siebie, niech on odzyska przytomność i wypocznie, bo ja muszę się rozmówić oto z tymi ludźmi.

Jakoż pani Salomea, Frania i Fruzia usunęły niebawem żyda z ganku, gdzie pozostał już tylko Zatwardziałowicz z chłopami.

Wtedy to Dziura wystąpił z taką przemową do dziedzica litery *a*:

— Wielmożny dziedzicu! Pan panem zawsze był i jest, a cóż my jesteśmy w porównaniu bie-

dne chłopy, mające ino trocha ziemi i tych zwierząt?... Weźże nas, panie dziedzicu, niebogich chudziaków we swoją opiekę, a uczyń nam dobrze, jako ućciwy, dostatni ślachcic.

Pogłaskała po sercu pana Dyzmę mowa chłopa, ile że znany z hardości oraz ambicyi Szymon Dziura, najniespodziewaniej okazywał się tak dziwnie uległym, odwołując się do łaski dziedzica; przybrał zatem Zatwardziałowicz jak najuprzejszą fizyognomię i rzekł:

— Moi ludzie! Bardzo się cieszę, iż pokładacie we mnie zaufanie; ale powiedzcież mi, proszę, czego żądacie?

Wówczas znowu Dziura wyłożył całą sprawę jak na dłoni; przedstawił, że Noskowickich chłopów gniecie okrutna bieda, tak dalece, iż większość gospodarzy chodzi bez butów a on jeden tylko w całych Noskowicach ma kożuch; z takich powodów gromada musi się wszelkiemi sposobami starać o polepszenie swego dobrobytu.

Pan Dyzma był właśnie w przewybornym humorze, jakkolwiek nie usłyszał jeszcze od Herszka, ile pieniędzy wygrał na loteryi; wysłuchał propozycyi chłopów i zgodził się ostatecznie na to, ażeby gromada na własną korzyść zaorała część pastwiska. Zgodę swą stwierdził dziedzic podaniem ręki Dziurze i najbliżej stojącym gospodarzom; Dziura atoli skłonił się do ziemi czapką i rzekł:

— Niechby nam ino wielmożny dziedzic dał onę obietnicę swoją na piśmie, bo jakże z samą gębą tyla pójdziewa do tamtych dworów, to nikt nie będzie chciał dać chłopu wiary.

— Hm, hm!—mruknął pan Dyzma.—Jest może racya! Zawracalski z nikim dobrze nie żyje, drze się z gromadą—to nieprzyjaciel wszystkich. Ale wiecie wy co? Choćby on się nie zgodził, nic nie pytajcie, orzcie pastwisko i basta! Gotów wam jestem nawet pługów własnych pożyczyć a jeżeli sprawa jaka wypadnie—to ja jestem z wami, rozumiecie! Niech no Zawracalski ze mną teraz zacznie!

Zajma mrugnął chytrze oczyma na Słupika, Słupik—na Kamienia, Kamień — na Wilka, Wilk — na Chmurę; mrugnięcie rozeszło się po całej gromadzie, jako znak porozumienia a miało ono znaczyć: „Kłócą się ciarachy, więc dla nas dobrze!"

Potem przyzwał pan Dyzma do ganku Franię, kazał jej przynieść papieru, atrament, pióro i podyktował akt tak brzmiący:

„Ja, niżej podpisany Dyzma Zatwardziałowicz, dziedzic Noskowic litery *a*, niniejszym dobrowolnym aktem upoważniam Noskowickich włościan do zaorania pod proso lub pod żyto części pastwiska, na którem się bydło moje wraz z gromadzkiem pasa. Do plonu, zebranego z rzeczonego pastwiska, nie będę sobie rościł namniejszej pretensyi a nadto tymże moim skryptem za-

bezpieczam Noskowickim włościanom prawo pasania nadal bydła wraz z dworskiem na reszcie pozostałego, niezaoranego pastwiska".

Podczas pisania Frania zatrzymała się i dawała ojcu jakieś znaki, ażeby nie był zbyt wspaniałomyślnym w swych obietnicach; jednakże Zatwardziałowicz nic na to nie zważał, podpisał nareszcie własnoręcznie dokument i oddał go do rąk Dziurze, mówiąc:

— Tylko mi też nie bądźcie głupi i nie róbcie Zawracalskiemu żadnych ustępstw. Kiedy ja wam folguję, to on musi!

Tymczasem Herszek Knot, w towarzystwie płci nadobnej wytchnął i jakoś prędko przyszedł do siebie; naglony przez panią Salomeę i Fruzię, rozpoczął opowiadanie, według którego okazało się, iż po szabasie ze świtem wyruszył z Działoszyc razem z kolegą swoim Lejbą. Przybyli do Noskowic szczęśliwie, lecz piesza podróż, prawie trzechmilowa, niezmiernie ich obu utrudziła. Otóż, dwaj dorabiający się dopiero kupcy zbożowi, zjadłszy po jajku i po kawałku chleba z cebulką, czego zapasik mieli ze sobą, usiedli dla wytchnięcia wśród krzaków a na samym skraju Noskowickiego pastwiska. Siedząc tak, prowadzili rozmowę, ponieważ nie mieli po co iść do wsi, gdyż przy chrześciańskim święcie wszyscy ludzie przed południem powychodzili do kościoła a przeto o zrobieniu jakiegobądź interesu mowy

być nie mogło. Zdarzyło się, że tak Herszka, jak Lejbę, począł morzyć sen, więc najprzód drzemali, kiwając się, a potem usnęli na dobre, ległszy wśród jałowcowych krzaków. I opowiadał Herszek Knot, że mu się istotnie śniło, jakoby pan Zatwardziałowicz wygrał wielki los na loteryi i z tego powodu dał kupcom duży procent od wygranej. Naraz podczas tych przyjemnych marzeń sennych, ktoś taki począł Herszka i Lejbę nadzwyczajnie boleśnie biczem smagać, z ogromnym więc pośpiechem porwali się obaj śpiący żydkowie na równe nogi i już na jawie znaleźli się oko w oko ze strasznym potworem, który wyglądał straszliwiej niż którekolwiek okropne zwierzę. Było to czarne ciało z najeżonemi włosami, owinięte w kupę łachmanów, przepasane powrozem. Potwór ten trzymał bicz pełen grubych węzłów i uśmiechał się okrutnie złośliwie, zionął okropne przekleństwa i żydków podcinał biczem po łydkach, wołając na nich: „psie wiary!“ Rzecz prosta, iż w takim położeniu rzeczy bardzo drogo kosztowała żydków każda chwilka namysłu; to też pierwszy Lejba wziął nogi za pas i przeraźliwie wrzeszcząc: „Gewałt, gewałt!“ uciekł do lasu. Herszek zaś uciekał w stronę przeciwną, do dworu, bo wiedział, że wielmożny dziedzic Zatwardziałowicz jest bardzo porządny człowiek i będzie rad Herszkowi, z którego poręki najniezawodniej wygra na loteryi.

W taki to dziwny sposób powstały i rozpierzchły się barwne nadzieje pana Dyzmy; on atoli nic o tem wszystkiem jeszcze nie wiedział. Żona i córki, wyspowiadawszy żyda, obawiały się teraz nawet, ażeby Zatwardziałowicz, gdy usłyszy nagą prawdę, nie odczuł nazbyt silnie rozczarowania i nie popadł w recydywę. To też Herszek Knot otrzymał od nich zalecenie, iżby był bardzo oględny w swoich wyznaniach i raczej podtrzymał jeszcze przez czas jakiś nadzieję dziedzica litery *a*, niż ją ruinował jednym zamachem.

Pan Dyzma, skoro tylko wyprawił już z ganku gromadę mniejszych Noskowickich właścicieli, kazał sobie natychmiast sprowadzić żyda, aby ukończyć przerwaną a tak ważną konferencyę. I znowu rozpoczęło się natarczywe wypytywanie, jaka to jest mianowicie suma pieniędzy, wygranych na lipskiej loteryi. Herszek, pamiętny na udzielone sobie rady i nauki pani Salomei oraz jej córek, zrazu nie przeczył, że wygrana ma miejsce; ale w ten sposób zaplątał się jeszcze bardziej, bo Zatwardziałowicz wymagał bardzo kategorycznej relacyi. Kupiec zbożowy kręcił, jak mógł najlepiej, a gdy już kłamstwo było stanowczem niepodobieństwem, wtedy — naturalnie—odesłał swego klienta z obszernemi nadziejami do przyszłości.

Tego było już za nadto. Przedłużyła się twarz pana Dyzmy, zabolało go srodze rozczarowa-

nie tak gorzkie, a w miarę powstawania uczuć przykrych tego rodzaju począł też i gniew wzbierać mu w piersi. Rozszerzyły mu się dziwnie jakoś źrenice i złowrogo błysnęły; z wściekłością wydmuchnął na ziemię popiół z fajki i resztki niedopalonego tytoniu a zdjąwszy z długiego cybucha stambułkę, porwał się z ławki na równe nogi, co wcale nie było do przewidzenia. Jak gdyby był zupełnie zdrowym człowiekiem, poskoczył w wielkiej pasyi do Herszka, pochwycił go jedną ręką za kark a drugą z całej siły młócił cybuchem po plecach.

— Ty łgarzu, cyganie, oszuście!... — Krzyczał pan Dyzma, wymierzając żydowi plagi—jednę za drugą

Herszek wił się, jak w konwulsyach, wrzeszczał, jak opętany; chciał koniecznie umknąć, lecz zdawało się, że Zatwardziałowicz nagle wyzdrowiał, tak krzepko trzymał i tak potężnie raził żyda.

Zrobił się w ganku krzyk ogromny, który sprowadził tutaj kobiety; wyrywały one panu Dyzmie z jednej ręki potrzaskany już cybuch, z drugiej — zbitego na kwaśne jabłko żyda. Usiłowania te żony i córek położyły nareszcie koniec straszliwemu biciu; zasapanego, zbladłego, drżącego z gniewu Zatwardziałowicza, zdołała płeć piękna rozbroić i usadowić na jego uprzywilejowanej ławce w ganku.

Herszek Knot, gdy raz ujrzał, że jest zupełnie swobodny, puścił się w cwał przez dziedziniec, zmykając, ile tylko miał siły z terytoryum niegościnnego dworu. Biegnąc, przeciągał się tylko pobity żydek czasem na plecach, lub odmacywał sobie rękoma żebra. Wnet też zniknął on zprzed oczu osób siedzących na ganku, uchodził po drodze wiodącej do Działoszyc.

XIII.

Tego samego dnia obie Zawracalszczanki — Joasia i Polcia zaraz po obiedzie zabrały się do podrobienia listu, który rzekomo od Frani Zatwardziałowiczównej postanowiły przesłać panu Stanisławowi Skałeckiemu. Na stole przed niemi leżał rzeczywisty list Frani, uroniony w ogrodzie przez Sobka; służył on im za wzór do naśladowania pisma oraz stylu Zatwardziałowiczównej. Więc w ułożonym przez siebie liście przestawiły one różne wyrażenia oryginału i tylko przez dodanie niektórych słówek własnej inwencyi, umiały zmienić wszystko, co było twierdzeniem, na przeczenie. W liście więc ułożonym przez nie, wyszło na to, że cała rodzina Zatwardziałowiczów wcale sobie nie życzy, aby krakowski uczony przedsiębrał swe badania na gruntach dworu litery *a*. I bardzo były zadowolnione panny Zawracalskie z pomysłu swego, który uważały nawet za wielce dowcipną intrygę.

Tymczasem Zawracalskiemu dano znać z boku, że cała gromada Noskowickich gospodarzy

w jakichś ważnych interesach nawiedziła już dwór pod literą *a*, teraz zaś zdąża prosto ku jego rezydencyi.

Chłopi szli powoli—po dwóch, po trzech, kupkami, rozmawiając pomiędzy sobą. Na drodze oczekiwał ich sołtys, który z powodu swego urzędu nie brał udziału w deputacyi a jednak niemniej był ciekawy, jaki też obrót przybierze owa sprawa. Dziura, ujrzawszy kuma sołtysa, przystąpił do niego a ukazując doręczony sobie skrypt Zatwardziałowicza, rzekł:

— Jednego już zmogliśwa, dał nam czarne na białem, wyrozumiał wszystko, jak się patrzy i podpisał.

— Ale ten Zatwardziałowicz, widzi mi się, jest jacy niespełna rozumu. Z Zawracalskim nie tak łacno nam pójdzie!—Odezwał się Zajma.

— Cóż niema iść! —zawołał Dziura —Co jeden zrobi z miętkości, abo bez głupość, to drugi uczyni znowu z bojaźni. Zawracalski namiele językiem, namiele, wywrzeszczy się a potem nikiej zając zarasicki ustąpi, jak go dobrze nastraszyć...

— Kiej tak pedacie, to idźcież w imię Boże!— rzekł sołtys —A trzymajcie się tam galanto.

Powaliła się przeto gromada do dworu pod literę *b*.

W całej wsi powychodziły baby przed chałupy a niańcząc na rękach dzieci, postrojone w pstrokate czepeczki, przyglądały się uroczystemu po

chodowi swoich mężów; wiedziały one dobrze, iż o ważne rzeczy chodzi, nie śmiały jednak zaczepiać i wypytywać całej gromady, co dotychczas już zrobiono. Czasem z pod chałupy wyrywał się jaki malec w koszulinie, bosy, z gołą głową, wypadał na drogę i chwytał za nogi z pozdrowieniem już to swego pana ojca, już też jakiego stryka, wujka lub chrzestnego ojca. Chłopi, idący gromadą, przyjmowali witaczkę tego rodzaju obojętnie, jakby jej wcale nie spostrzegli; ponieważ ważna chwila zdawała się wcale nie nadawać do jakichś wylewów uczuć rodzinnych. Ci mniejsi właściciele szli kupą i solidarnie w celu zdobycia kawałka ziemi.

Jedni z nich przybrani byli w brunatne wypłowiałe sukmany z trójkątnemi pelerynami na plecach; inni mieli na sobie znowu sukmany białe z czarnemi obszywkami około kieszeni i kołnierza a z czerwono podszytemi klamkami na rękawach i takiemiż klapami przy ozedlach; jeszcze inni nosili prosto białe, mniej już ozdobne kitle. Na głowach ich dawały się spotrzegać już to czarne, już białe i słomiane kapelusze, już magierki z cętami. Ta różnobarwna a spójna ława ludzi, ożywionych jednym wspólnym celem, mogłaby posłużyć za przykład dla niejednego ludzkiego towarzystwa.

Zawracalski wybiegł do ogrodu i zza płotu przekonał się, że gromada chłopów zdąża rzeczywiście ku jego dworowi. Szlachcic ten miał

w takich razach swoję specyalną taktykę. Jak tylko posłyszał, że chłopi wybierają się do niego z jakiemiś żądaniami, kazał sobie natychmiast zaprzęgać do wózka i wyjeżdżał do Koszyc lub Skalbmierza a Franka Czaplanka wychodziła do gromady chłopów i, dwuznacznie się uśmiechając, mówiła: „Nie pana w domu!"

Dzięki tej polityce, dziedzic Noskowic litery *b* uwalniał się niejednokrotnie od natrętnych odwiedzin, których szczerze nie lubił, a przynajmniej odraczał znacznie różne nagabywania; bo chłopom, mającym zwykle dużo do roboty, nie było znowu tak łatwo się zebrać.

I teraz pan Piotr wyskoczył z ogrodu, jakby go kto postrzelił, wpadł do dworu, zapowiedział France Czaplance, że go niema w domu i pobiegł raźno do stajni, aby sobie okulbaczyć szkapę, na której miał zamiar cichaczem i tyłami wymknąć się w pole. Ale nieszczęście chciało, że w stajni nie znalazł siodła; zupełnie zapomniał, że je oddał rymarzowi do reparacyi.

Jakże się tu schować przed chłopami, przybywającymi, Bóg wie, z jakiem poselstwem?

Zawracalski miał zamiar pieszo uciec w pole, lecz na to czasu nie było. Pospieszył więc do stodoły i w niej się ukrył.

Wnet potem przed dwór przybyła gromada; Franka Czaplanka wyszła do przybyłych i ze zwykłym sobie uśmiechem oświadczyła, że pana

w domu niema. Dziura poskrobał się za uchem i zwracając się do Zajmy, rzekł:

— Widzicie, znowu nam uciekł para!

Zajma powiódł okiem po całem podwórzu, jak gdyby chciał dostrzedz jakich śladów ucieczki Zawracalskiego; wzrok jego przypadkiem spoczął na pasących się opodal podskubanych gęsiach wśród których siedziała znana nam gęsiarka, Franka Walkówna, przyglądająca się ze zdziwieniem tylu naraz chłopom przed dworem. Zajma podszedł do dziewczyny i spytał:

— Dziewucha, nie widziałaś ty, gdzie mógł pójść dziedzic?

— Dyć rychtyk poleciał do stodoły! — odpowiedziała Franka, rada w duszy, iż na nią zwrócono uwagę i ukazała ręką na stodołę.

— To on tera pewnikiem je w stodole! — rzekł Zajma do Dziury. — Pójdziewa za nim, może nam się go uda przycapić.

I jedna połowa gromady pozostała, wystając przed dworem, podczas gdy druga poszła do stodół, niejako poselstwo w celu zaproszenia pana dziedzica na konferencyę,

Rzeczywiście, Zawracalski schował się do stodoły, gdzie wlazł w zapole ze słomą po wymłóconem życie i siedział tam bardzo cicho; Dziura podszedł a jako gospodarz, mający ze stodołą nieustannie do czynienia, obejrzał uważnie wrótnie, potem mrugnął okiem na Zajmę i pokazał mu, że

wrota widocznie nie od zewnątrz, lecz od wewnątrz ktoś na kołek zamknął.

— No, toć on tam siedzi! — mruknął Zajma.— Trza, żebyście go przyzwali, Szymonie.

Wtedy Dziura, przyłożywszy usta do wrót, odezwał się głośno:

— Wielmożny dziedzicu! Wielmożny dziedzicu!... Gromada a to przyszła do dworu z prośbami!

Zawracalski słyszał przemowę chłopa, poznał nawet głos Szymona Dziury; ale zagrzebał się w słomie i sam przed sobą udawał śpiącego człowieka; wstyd go było, że się źle ukrył i że go znaleziono.

— Kto też tym szelmom mógł powiedzieć, że ja tu wszedłem? — pomyślał sobie w duszy i rozpamiętywał, że go idącego widziała tylko Franka gęsiarka.

Dziura powtórzył jeszcze wezwanie, lecz Zawracalski w odpowiedzi ani pisnął.

— Kiejeświa go naleźli, to popuszczać nie trza! — szepnął Zajma. — Bo się tylko odwlecze... Otwórzwa tę stodołę!

— A nie będzie z tego jakowych tarapatów? — pytał Dziura.

— Toć my we dnie oczywiliście kraść do niego nie przyśli!...—odparł Zajma i z temi słowy tak jakoś ulżył wrótni, że kołek od wewnątrz zatknięty wypadł a potem i wrota się otwarły bez trudu.

Pan Piotr, widząc, co się dzieje, udał ocknięcie ze snu i wylazł z zapola cały ubrany w słomę; wyglądał jakby jakie opiekuńcze bóstwo, zebranych plonów polnych.

— Co to jest? Co to znaczy? — wołał. — Kto mi tu śmie przerywąć sen w mojej własnej stodole?

Ale Dziura stanął przed nim, zdjąwszy czapkę i uspakającym głosem mówił:

— A niechże się też wielmożny dziedzic na nas nie gniewa; dyć snu nijakiego jeszcze być nie mogło, bo pan dziedzic dopieruśko wszedł do tej stodoły a myśwa myśleli, co ino o to chodzi, żeby się skryć przed nami...

— Co wy sobie myślicie, ludzie? — krzyknął Zawracalski.— Toż to cierpliwości już zbraknie! Żebym ja w swoim domu nie mógł znaleźć odpoczynku!

— Jakby nie było nic głównego, tobyśwa ta wielmożnego pana nie szukali tutak — odezwał się Zajma.

— Głównego, głównego! — zawołał Zawracalski zmieszany.—Cóż to znowu za najście? Czego wy odemnie chcecie? — a potem dodał z przekąsem: — może wam się podoba mój folwark?... Może tego chcecie, co?..

Mówiąc to, uważał jednak za właściwe nie pozostawać w stodołach sam na sam z chłopami i przeto zdążał w kierunku dworu, gdzie już był pewniejszy siebie. A Dziura z czapką w ręku za

chodził mu nieustannie drogę i, jako rzecznik swej gromady, przedstawiał sprawę o zaoranie części pastwiska na użytek chłopów Noskowickich bardzo biednych, upośledzonych w porównaniu z innemi wsiami.

Wyłożył również, że dziedzic z pod litery *a* już zatwierdził tę włościańską propozyę,—że dał nawet dokument na piśmie i przyobiecał własnemi pługami pomódz gromadzie do zaorania.

Zawracalski słuchał w milczeniu, gryzł wargi, mienił się na twarzy; nareszcie gdy już stanął przed samym dworem, począł krzyczeć:

— Co mi tam Zatwardziałowicz! Ja tego nie chcę, żebym ztąd poszedł z torbami!... Taki waryat jak Zatwardziałowicz, może robić wszystko, co mu się podoba; ale ja nie zrobię!... Nie chcę znać Zatwardziałowicza! Dajcie mi święty spokój!...

— Zatwardziałowicz zrobił, jak Bóg przykazał! Z chłopami ućciwie postąpił. Niech mu Pan Jezus da zdrowie! — odezwał się głos z gromady.

— Niechby ino kóżden ślachcic był taki!—mruknął Słupik. — Toby nijakiej zwady nie było na świecie.

— Ja nie będę naśladować Zatwardziałowicza!—wrzasnął Zawracalski, zaczerwieniony od słów.—Co mi znaczy taki bałwan, głupi cymbał!... A potem uderzył się potężnie w piersi i znowu

wołał: „Po moim trupie chyba dojdziecie do szarpania mojej własności!... Nie chcę, nie dam, na nic nie pozwolę!“ Miotał się ze złości, gestykutował rękoma, wyskakiwał w górę.

Wówczas Zajma podsunął się do Dziury i w ucho mu szepnął:

— Dyć nas ta psia jucha zaszczeka i jak nic górę weźnie, jeśli mu dokumentnie co nie rzekniecie, Szymonie.

Dziura zdawał się namyślać przez chwilę, potem zaś wystąpił przed swoich, którzy wszyscy stali z obnażonemi głowami i tak perorował:

— Jak pójdzie na upór, wielmożny dziedzicu, to gromada nic nie zyska i pan też na tem nie wygra!... Nas jest we wsi kupa ludzi, a pan ino sam jeden bedzie i my wszyscy musiewa się bronić przeciwko jednemu, żeby nie zginąć. Czyjaż racyja? Bedzie to dobrze dla pana dziedzica?

— Co? Wy mi grozić chcecie?—krzyknął Zawracalski,—A prawo gdzie? A urząd?... A dam ja wam tu zaraz?... O powiat się oprę, o gubernię, żebym miał zginąć!... Komisarzy na grunt sprowadzę, rany boskie!

Lecz Dziura znowu spokojnie mówić począł, niezrażony krzykiem pana Piotra:

— I cóż z tego przyjdzie, że się wielmożny dziedzic gorącuje? Bez cóż nam pan dziedzic gadać nie dozwala? Toć my nie przyśli kraść, ino się łaski dopraszawa a jak nam pan łaski nie uczyni, to my już dbać o niego nie możewa. To nie je dobrze!

Bo pan ma śmat ziemi a my ręce do roboty. Jak Noskowice Noskowicami, na chłopie sytko stoi, na jego robociźnie. No i cóż dziedzic zrobi, jak chłopa zbraknie na pańskim zagonie?... A my się hurmem od pana usuniemy. Niechże sam z pola zbiera—lebo żnie sierpem, lebo kosą kosi! Niech grabi, niech chodzi do zapola, do młocki do sieczkarni, do siekierki!... Chłop tu tera nie przyńdzie: kiej wojna, to wojna!... Dziedzicowa rola a nasza robota! Obniesiewa pana na okolicę i cóż pan temu poradzi?... Człowieka pan dziedzic do służby nie dostanie! Czy to dawne czasy, żeby zmuszać! Niedoczekanie wasze! My se tacy dobrzy panowie, jak kóżdy inny!...

Szymon Dziura wymówił ostatnie wyrazy z przyciskiem i, wymawiając je, czapkę włożył na głowę. W mgnieniu oka cała gromada magierkami oraz kapeluszami nakryła swoje głowy a niektórzy poczęli spluwać.

Niedobrze się jakoś zrobiło panu Piotrowi, bo się już nie rzucał po przemowie Dziury, lecz spokojniejszym tonem tak przemówił do chłopów:

— Oj, ludzie, ludzie!... Toć ja wam przecie niejedno już ustępstwo zrobiłem; ale wyście nigdy nie nasyceni. Niedawno oto, Dziura mi się w łąkę worał; czym się tak bardzo upierał przy swojem? Nie! Bezprawie przy Dziurze zostało. No, cóż z tego? Zaraz potem w kilka dni Słupik worał mi się w miedzę od pszeniczyska. Czy

ja nie mam strzedz swej własności? Czy wy sprawiedliwie postępujecie?

— Niech się ino pan dziedzic zgodzi pierwej na zaoranie onego pastwiska, to jeszcze pogadawa o tem mojem woraniu! — zawołał z tłumu Słupik. — Worania tam niema, jacy pług mój ociupinę w miedzę zarżnął bez to, co mi kowal psiakość za długaśny lemiesz przywalił... Ale ta krzywdy z tego nikomu nie będzie.

Zawracalski był bardzo zamyślony; przez chwilę panowało milczenie, poczem dziedzic litery *b* znowu przemówił:

— No, moi ludzie, a gdybym się zgodził na to zaoranie pastwiska, któżby sprawę między nami rozsądził, ktoby odmierzał, coście zaorać powinni?

— Juści, chyba najlepsi w naszej gromadzie, chyba sołtys i Dziura—odpowiedział Zajma.

— Nie, to być nie może! — zawołał Zawracalski.—Musiałbym być ja sam przy takiej czynności, a swoją drogą, gromada niech także kogoś wybierze.

Teraz Dziura znowu zdjął czapkę, a cała gromada uczyniła to samo.

Niebawem nastąpiła ugoda i pan Piotr, podobnie jak pan Dyzma, dał chłopom akt piśmienny, iż zezwala na zaoranie pastwiska, pod tym jednak warunkiem, że on sam obliczy sumiennie, jaka ilość gruntu przypada na włościan; prócz tego Zawracalski wytargował, iż każdy z gospo-

darzy odrobi mu bezpłatnie jeden dzień tygodniowo podczas pszenicznych żniw w sierpniu.

Dziura zaprotestował tylko, ażeby tego ostatniego warunku nie pomieszczono w skrypcie, mającym się przedstawić Tatarczanemu; spisano zatem nowy specyalny akt umowy.

— Urżnął nas, ten chycel Judasz!—rzekł Zajma, kiedy gromada dwór opuszczała.—Toć on za nie swoje pastwiska dni sobie robocze wymówił.

— Kóżden chce jak nalepiej dla siebie!—rzekł Dziura.—A on ma głowę. Myśwa i tak wygrali, bo dni pójdą w niepamięć, a nasze dzieci zawdy będą miały więcej gruntu.

XIV.

W czasie powyżej opisanych zatargów Zawracalskiego z chłopami, Skałecki, niespostrzeżony, wyniósł się do ogrodu i tutaj, stojąc przed płotem od pola, rozpatrywał krajobraz dziedzictwa litery *a*. Wydawało mu się, że całą tę część Noskowic pokrywa ogromne mnóstwo kurhanów,—że góruje ona tak wybitnie nad okolicą, iż niepodobieństwem było, ażeby jacyś prastarzy ludzie już w najdawniejszych czasach nie spostrzegli owej wyższości, nie zamieszkali tutaj, a następnie — nie pozostawili po sobie różnych zabytków swojej przedhistorycznej cywilizacyi. Archeologa potężnie pociągnęło coś pod literę *a*. Obejrzał on się za siebie, nie było ani Joasi, ani Polci, ani żadnego anioła stróża z rodu Zawracalskich. Nie namyślał się długo i tą samą drogą, którą niegdyś przebywał Sobek roztroperz z listem, wyniósł się Skałecki z ogrodu, podążając w kierunku rezydencyi pana Dyzmy. Wyobrażał sobie, że uchodzi z niewoli, odetchnął swobodnie, przysporzył kroku, pędził prawie. Posłyszał za sobą niebawem odgłos jakichś kroków. „To może pogoń, wysłana za mną przez

Zawracalskich“, — pomyślał i jeszcze raźniej uchodził.

Zatwardziałowicz długo nie mógł ochłonąć ze wzruszeń po zajściu z Herszkiem Knotem; obok niego usiadła na ławeczce Frania; uspokajała ona ojca, co jednakże z niemałą trudnością przychodziło dziewczynie.

Pan Dyzma od czasu do czasu spoglądał jakimś wściekłym wzrokiem ku bramie, przez którą przybył i uszedł przeklęty handlarz zboża. Dziedzic Noskowic litery *a* zdawał się żałować, że jeszcze za małe plagi odmierzył żydowi, w stosunku do bardzo przykrego zawodu w nadziejach.

— O szelma, łotr jakiś!... Skórę mi należało obedrzeć z niego!—wołał z goryczą.

— Ależ, drogi tatku, on dostał straszną łaźnię!—tłomaczyła Frania. — Taki gruby cybuch zupełnie popękał na jego plecach; żal mi nawet było tego żydziska.

— Mówię ci, że to wszystko — mało, jak Boga kocham, tak mało!... Tylko mi tego cybucha szkoda!... Czy ty wiesz, że ten cybuch był akurat tyle lat w moim domu, ile ty liczysz? Dziewiętnasty rok temu, jak sobie sprawiłem w Krakowie antypkę z bursztynem, a kiedym wrócił do domu, tyś się właśnie urodziła...

— Doprawdy? — pytała naiwnie Frania.—Nigdy mi też tatko o tem nie mówił... Ciekawam;

jak mam dla siebie uważać taką wróżbę, że się połamał cybuch, mój rówieśnik...

— Eee, głustwa pleciesz! Wstydź się! — rzekł Zatwardziałowicz.—Cóż znowu za związek z losami człowieka może mieć cybuch?

— Tatko tak mówi, bo tatko jest mężczyzną, a mężczyzni w rozmaite rzeczy nie wierzą; ale ja jestem kobietą i dlatego wierzę. Mama, Fruzia stawiają nieraz kabałę i rzeczywiście się sprawdza. Otóż, mój tatku, powiadają ludzie, że kiedy się w domu różne rzeczy tłuką i łamią, to panny za mąż wychodzą.

Tak rozprawiała Frania, zadowolniona, iż potrafiła uwagę ojca zwrócić na inny przedmiot. Ale Zatwardziałowicz poruszał tylko sumiastemi wąsami i mruczał: „Szkoda mi porządnego cybucha! A przytem ciągle spoglądał to na bramę, to na pole, zkąd przybył do dworu Herszek. I rzecz dziwna, pan Dyzma znowu spostrzegł na pagórkowatem ściernisku jakieś dwa przedmioty, posuwające się jeden za drugim. Przetarł oczy i przekonał się, że to nie żadne złudzenie. Przedmiot czarny, większy, biegł pospiesznie, a za nim podążał przedmiot szary, mniejszy.

— Cóż znowu u dyabła! — zawołał dziedzic litery *a*.—Czyżby ten bezczelny łotr chciał mię jeszcze po raz wtóry zwodzić? Nauczyłbym ja go!—Franiu, patrzajno, co to być może?— I ukazał palcem poruszające się na polu przedmioty.

Frania przyglądała się z ciekawością oraz uwagą, stanęła nawet na ławce, ażeby módz obserwować z wyższego punktu. Po niejakim zaś czasie rzekła:

— Ten większy czarny przedmiot — to nie jest z pewnością Herszek Knot, a ten znowu mniejszy, szary — to nie Sobek roztroperz... Nie pojmuję, co to jest takiego!

Przedmioty posuwały się dosyć szybko, mniejszy czasami przystawał.

— No, poznaję nareszcie! — zawołała Frania, nie schodząc ze swego obserwatoryum. — Przedmiot czarny jest to ów uczony z Krakowa; wie tatko, o kim mówię... A znowu ta szara baryłka — to gęsiarka od Zawracalskich... Zabawne rzeczy! Uczony i gęsiarka gonią się po polu...

— A dlaczegóż oni się tak uganiają ze sobą po mojem ściernisku?

— Właśnie, że ja sama tego nie wiem, mój tatku, zkądżebym wiedziała? Zdaje mi się, że ten uczony człowiek pędzi do nas, prosto jak strzelił.

— Do nas, do nas? Co ci się też w głowie roi?

— Proszę tatki, to nie jest żadne rojenie; bo jeżeli ma ochotę tutaj kopać, to koniecznie przyjść musi.. Tylko mógłby był przedtem na mój list...

I Frania ugryzła się w język, gdyż zapomniała chwilowo, że ojciec wcale nie wie nic o przeprowadzonej korespondencyi.

— Co ty tam o jakimś liście bredzisz?...—spytał Zatwardziałowicz, zaciekawiony spostrzeżeniami Frani.

— Eee nic, tak sobie mówię!...—odrzekła Frania z wielką pewnością siebie.

— A czyś ty tylko dobrze rozpoznała tego uczonego?

— Teraz już widzę przewybornie!... Ma ryżowy kapelusz na głowie; w takim samym przyjechał kiedyś do kościoła. — Odrzekła Frania.

Ażeby objaśnić bliżej zjawisko, które się na ściernisku przedstawiło oczom pana Dyzmy i jego córki, musimy na krótką chwilę powrócić do dworu pod literę *b*.

Kiedy Zawracalszczanki ukończyły pisanie a raczej podrabianie listu, przyzwały do siebie Frankę gęsiarkę i zaleciły jej, ażeby list ten doręczyła Skałeckiemu, dając mu do poznania, że pismo pochodzi z dworu litery *a*.

Franka Walkówna—naturalnie—ani myślała, że jest narzędziem niskiej intrygi panienek; widziała ona przed chwilą, jak archeolog wymknął się do ogrodu, więc tam za nim pospieszyła z poruczonym sobie listem. Ale właśnie gdy go spostrzegła, już on przebył płot i puszczał się ku niwom Zatwardziałowicza. Obejrzał się, a widząc pędzącą Frankę z jakimś papierem w ręku, pomyślał, iż panny Zawracalskie niezawodnie przyzywają go do siebie,—zwłaszcza, że o tej po-

rze miewały miejsce przechadzki w stronę lasu. Uczony podwoił zatem kroki i nie oglądając się już za siebie, uchodził bardzo pospiesznie. Zadyszała się nadzwyczajnie gęsiarka, ponieważ nie zdołała sprostać w biegu Skałeckiemu; musiała chwilami przystawać, aby tchu pochwycić i z tego powodu archeolog przybył do swej mety wcześniej, niż mu Franka list doręczyć zdołała.

Skałecki przebył nareszcie dziedziniec i pojawił się w ganku. Tutaj, zdjąwszy z głowy ryżowy kapelusz, po którym go Frania zdaleka poznała, przedewszystkiem przystąpił do pana Dyzmy i dopełnił formy przedstawienia siebie samego.

Wnet wszczęła się rozmowa, w ciągu której Zatwardziałowicz zupełnie zapomniał o swem przykrem zajściu z Herszkiem. Krakowski uczony był człowiekiem wykształconym, wyrażał się naturalnie a jednak bardzo pięknie, przytem miał miłą, pociągającą powierzchowność.

Tymczasem Franka Walkówna w pogoni swojej za archeologiem przybyła także do dworu pod literę *a*. Ale dziewczyna, całe życie z gęsiami tylko obcująca, nie śmiała wejść od frontu do pańskiego domu; dla takich istot jest specyalne wejście na tyłach dworu, przez kuchnię i Franka tam się też zwróciła. Dziewki dworskie, postrojone przy święcie, zasiadły na przyźbie pod kuchnią a przed niemi w czerwonej w czapce z pa-

wiem piórkiem stał parobek Kazimirek, figlarz znany z dowcipu w całych Noskowicach. Musiał opowiadać bardzo pocieszne historye, bo dziewczyny aż się za boki brały od śmiechu a odgłosy ich radości rozbrzmiewały po podwórku. Parobek od czasu do czasu wydobywał zza cholewy fujarkę, przykładał do ust, wykonał krótką przygrywkę i dalejże znowu opowiadać a pobudzać do wybuchów śmiechu.

Gęsiarka, spostrzegłszy to wesołe towarzystwo, prawie, że się przelękła i stanęła sobie przy węgle dworu, trzymając list w ręku. Kazimirek nie omieszkał wyzyskać i tego momentu, ażeby zabawić płeć piękną kosztem Franki, przez co zwrócił na nią powszechną uwagę. Jakoż jedna z dziewek podeszła do gęsiarki, odebrała od niej list i odniosła go do pokoju pani Zatwardziałowiczowej, która właśnie w towarzystwie Fruzi kładła na stole kabałę z kart.

— Ten tuz czerwienny—mówiła poważnie pani Salomeja — to nasz dom; przy domu stoi tuz winny, który znowu oznacza list, nadesłany od jakiejś młodej kobiety; ale ta kobieta ma o nas złe myśli, jest niedobra — patrz Fruziu, to ta dama dzwonkowa... Chodzi tu niby o jakiegoś młodego człowieka, który stoi około naszego domu i przy Frani... Dziwne rzeczy! — mówiła dalej Zatwardziałowiczowa.—Jeszcze mi też nigdy kabała tak nie wypadła, jak dzisiaj. Coś się u nas bardzo niespodziewanego gotuje.

— Moja mamusiu, a co też przy mnie stoi?— zapytała z ciekawością Fruzia.

— Przy tobie, moje dziecko, jest około głowy tak niby trochę smutku, jak gdyby z tego powodu, że ów młody człowiek ma się ku Frani... No, a widzisz ta siódemka żołędna z ósemką, oznacza także trochę smutku w naszym domu przez jakieś bajki.

— Proszę pani, list przynieśli! — zawołała dziewka, wchodząc do pokoju.

— Widzi mama, już się kabała sprawdzać zaczyna!—rzekła Fruzia.—Zkądże ten list przynieśli?

— A z hańtego dwora, od Zawracalskich, gęsiarka go przyniosła —odpowiedziała dziewka.— Stoi tam na świecie, musi na odpis czeka...

Fruzia wzięła list do rąk i poczęła na głos odczytywać adres: „Wielmożny Skałecki w Noskowicach, we dworze pod literą *b*“.

— Przecież to list nie do nas!—zawołała Fruzia a potem zaraz dodała:—Proszę mamy, to jest pismo naszej Frani!... Ah, już rozumiem, o co chodzi! No, nie mówiłam ja zaraz, że pannie nie wypada pisać listu do kawalera? Przecież to jest wyraźne, że ten jakiś tam uczony zwraca Frani jej własny list, który ona niedawno do niego pisała!... Jezus Marya, co za kompromitacya!

— Ależ, Fruzieczko, zastanów się moje serce! Jeżeli on zwraca list nieotworzony, to jest chyba

głupi człowiek. Zkądże poznał, że panna list pisała?

— Hm, mógł przeczytać jednak, a potem włożył list w tę samę kopertę i odsyła. Cóżby innego być mogło? Ja mamie powtarzam raz jeszcze, że to jest nadzwyczajna niewłaściwość, ażeby panna pisała list do kawalera! — zawołała Fruzia z przyciskiem; potem zaś rozdarła kopertę i głośno odczytała treść listu.

— Fruziu, bój się Boga, Frania przecież takiego listu nie pisała! — powiedziała pani Salomeja.—Wiem dobrze, że dziewczyna jest trzpiotem i dlatego uważnie odczytałam jej list, zanim go wysłała. Pamiętam treść doskonale, a to jest zupełnie co innego. Mogę ci zaręczyć, że list Frani napisany był z wielką godnością i bynajmniej nie uwłaczający najprzyzwoitszej świecie kobiecie.. Ona poprostu pisała, iż wyręcza w korespondencyi chorego ojca i że z polecenia rodziców zaprasza pana Skałeckiego, jak sobie tego życzył... Tymczasem ten oto list jest niegrzeczny.

— Jeżeli już mama tak mówi, to ja—przyznam się—nic a nic nie rozumiem!—rzekła Fruzia, niezadowolniona, że upada jej teorya niewłaściwości.—Chyba Frania napisała potem drugi jeszcze list? Przecież wyraźnie widzę, że to jej pismo... A po takiej pustej dziewczynie wszystkiego się można spodziewać.

— Franiu, Franiu! —wołała Zatwardziałowiczowa, powstawszy od stołu, założonego kabałą z kart i uchyliwszy drzwi ku gankowi.

Frania przybiegła czemprędzej na wezwanie matki; miała w tej chwili jakieś prześliczne rozjaśnione oczy, a na twarzy — rumieniec żywszy niż zwykle.

Pani Salomeja, nie mówiąc ani słówka, wzięła z rąk Fruzi list i podała go młodszej swej córce, która pospiesznie przebiegła pismo niecierpliwem okiem, a potem zawołała:

— Czy to Fruzia tak dobrze umie naśladować moje pismo?

Teraz dopiero opowiedziano jej, jako gęsiarka od Zawracalskich przyniosła zagadkowy list ten przed chwilą.

— A to dopiero okrutnie ciekawe rzeczy!— mówiła Frania.—Pismo zupełnie takie same jak moje, tymczasem ja całkiem co innego napisałam do Skałeckiego... Właśnie on tu przybył przed chwilą a teraz rozmawia z ojcem. Muszę się spytać, może mi da jakie wyjaśnienie.

— Jak to, Skałecki jest w naszym domu?— zapytała Fruzia.

— A jest, jest!—odrzekła Frania.—Siedzi tam w ganku, opowiada bardzo porządne rzeczy; jak żyję, nigdym nie słyszała nic tak mądrego... Zachwycam się tym człowiekiem i idę go dalej słuchać, a kiedy skończy swój wykład, spytam się

go, czy nie wie, co ten list ma zaznaczenie... Moja mamusiu, Skałecki mi się nadzwyczajnie podoba! Cobym ja dała za to, żeby on mi się oświad... Co ja też mówię? -- i Frania porwała list, a zanim matka lub siostra zdołały coś powiedzieć, ona już była w ganku.

— No, ma mama!—rzekła Fruzia z przedziwną powagą. — Co ona nie wyrabia, to strach bierze. Najkompletniej niedowarzony pustak, jak gdyby nie odebrała najmniejszej edukacyi. Czysty Sobek roztroperz!... Przecież taka przy pierwszej lejszej sposobności gotowa siebie i całą rodzinę skompromitować.

— Ach, widzę ja to wszystko dobrze! —powiedziała matka.—Ale mam wielką wiarę w dobre serce Frani, serce szczere jak złoto, zupełnie taką samą kubek w kubek, wyrżnij kacie, miała być rodzona moja babka, pani Klemensowa Skórowska... Frania może zostać nieszczęśliwą przez swoje usposobienie, ale nigdy nie będzie złą kobietą.

Fruzia milczała, podeszła teraz do zwierciadła, przejrzała się, poprawiła sobie włosy, jako też różne drobiazgi około szyi i postanowiła wyjść na ganek, gdzie, jak mówiła Frania, znajdował się Skałecki.

Podczas tego wszystkiego, archeolog opowiadał panu Dyzmie, jak rozkopał pewną grotę i znalazł w niej aż dwa zęby wełnistego mamuta, żebro jaskiniowego niedźwiedzia, udo łosia, parę krzemiennych grotów, a przytem masę po-

piołu z domowego ogniska człowieka przedhistorycznego. W ciągu tej rozmowy, oczy Skałeckiego spotykały się niejednokrotnie z pięknie płonącemi źrenicami Frani, którą opowiadanie zajmowało w najwyższym stopniu. Uczony Krakowski — śmiało powiedzieć można—nigdy jeszcze w życiu nie miał tak zachwycającego słuchacza; to też coraz częściej zwracał on się do Frani i czuł dla dziewczęcia bardzo żywą sympatyę. Jej obecność dodawała mu podniety, ożywiał się niezwykle, mówił nadzwyczajnie wymownie. Kiedy z ganku odeszła Frania, przyzwana właśnie przez matkę, aby obejrzała list podrobiony, Skałecki czuł, że mu niejako sił ubyło i że nie potrafi już Zatwardziałowiczowi wyłożyć całej sprawy tak, jak ją wykładał wobec jego córki. Są to ciekawe tajemnice duszy, których rozjaśnić trudno, chociaż każdy człowiek, przynajmniej raz w życiu, doznawał podobnych uczuć wobec kobiety.

Zaledwie Skałecki zatrzymał się na jakimś punkcie swego opowiadania, kiedy Frania podchwyciła go niebawem, zapytując:

— Mam nadzieję, że nieraz jeszcze usłyszę z ust pana wiele zajmujących rzeczy; ale tymczasem proszę mi powiedzieć, czyś pan odebrał moją odpowiedź na swój list, który pisałeś do mego ojca?

Przedewszystkiem pan Dyzma poruszył się na miejscu i zarumienił z gniewu, ponieważ nie wie-

dział nic o liście, a oprócz tego, natrętne pytanie Frani uważał za bardzo niewłaściwe. Mrugnął oczyma na dziewczynę, dał jej znak jakiś ręką, aby milczała; jednakże wszystko to nic nie pomogło, bo Frania była skończonym trzpiotem.

Archeolog swoją drogą zmieszał się niezmiernie tem niespodziewanem zapytaniem. Zkąd znowu on miał odebrać list od Frani, od tej milutkiej dziewczyny, która siedziała naprzeciwko niego i już to dodawała mu bodźca do żywszego opowiadania, już zmuszała do spuszczenia oczu? I ona niespodziewanie zapytuje go o to z całą naiwnością wobec ojca, czy list jej odebrał? Ażeby zrozumieć takie pytanie, Skałecki musiałby był znać całą intrygę panien Zawracalskich i nadto niezmiernie żywy temperament Frani.

Pytanie to zostało bez odpowiedzi, ponieważ na ganek przybyła właśnie Fruzia, a Frania natychmiast zaznajomiła ją z gościem. Ale trzpiotowata dziewczyna i tak niestraciła wątku swego pytania, ani ją też nic stropić nie było wstanie. Jak tylko znalazła sposobność, powtórzyła swoje pytanie ku niezmiernemu zgorszeniu Fruzi. Pan Dyzma siedział też jak na mękach i postanowił sobie w duszy przy pierwszej lepszej okazyi sfukać Franię należycie. Skałecki może i zauważył niepokój Zatwardziałowicza oraz starszej jego córki, bo Frani dał taką dobrą odpowiedź, jak gdyby chciał nietakt jej usprawiedli-

wić wobec ojca i siostry. W każdym razie z odpowiedzi owej łatwo już było wnosić że korespondencyę Frani przejął ktoś trzeci i że następnie treść listu jej przerobiono w znaczeniu wprost przeciwnym oryginałowi... Ale po co ten list sfałszowany przysłano do dworu pod literę *a*?... Frania opuściła na chwilę towarzystwo i wybadała Frankę gęsiarkę; dopiero od niej dowiedziała się, że podrobiony list doręczony miał być Skałeckiemu..

Osoby tego rodzaju, co młoda Zatwardziałowiczówna, decydują się bardzo prędko, kiedy chodzi o działanie. Usiadła i napisała:

„List, adresowany do pana Skałeckiego, odebrałam i przekonałam się, że pismo moje jest bardzo dobrze naśladowane.

Franciszka Zatwardziałowiczówna“.

— Masz, Franusiu, odpowiedź na list, któryś przyniosła; oddaj ją pannom Zawracalskim — powiedziała Frania, odprawiając z domu gęsiarkę, wyczekującą na odpis pod ścianami kuchni.

Wyczekiwanie to nie było, naturalnie, zalecone France Walkównie; ale jest ono na wsi zwyczajem tak powszechnym, iż dziewczyna czekałaby może na odpis do jutra, gdyby jej nie powiedziano np., że „odpisu nie będzie“. Zresztą, gęsiarka miała wielką ochotę pozostać do zmroku, ponieważ o tej porze dopiero mogła się tu spotkać z przyjacielem swoim Sobkiem roztroperzem,

który o zachodzie słońca spędzał do domu nierogatą trzodę, powierzoną swej pieczy.

W Noskowicach słońce miało równie wspaniały zachód, jak na całej kuli ziemskiej. Chwila ta pociągała za sobą obniżenie temperatury powietrza, a przeto chory Zatwardziałowicz musiał się przenieść z ganku do pokoju. Przy tych przeprowadzinach czynną była Frania, na ramieniu której wsparł się pan Dyzma; Skałecki też poskoczył i z drugiej strony wziął pod rękę chorego. Nastąpiła więc zmiana dekoracyi.

Archeolog zdradził nareszcie zamiar opuszczenia progów litery *a*; ale gościnny gospodarz zaproponał mu pozostanie na herbacie.

Dziwną dziewczyną była ta Frania Zatwardziałowiczówna; zwykle w domu nie lubiła ona zajęć gospodarskich i z tego powodu nazywano ją próżniakiem.

Tymczasem dzisiaj zdjęła ją jakaś energia i przyrządzając herbatę, krzątała się tak żywo, że stłukła dwie szklanki, a gorącą wodą z samowaru oparzyła sobie rękę. Fruzia spoglądała na to wszystko z widoczną niechęcią i tylko wzruszała ramionami.

W czasie picia herbaty, zawiązała się znowu rozmowa i to równie zajmująca, jak na ganku. Frania ni ztąd ni zowąd wtrącała tu także swoje trzy grosze, podczas gdy Fruzia siedziała przy stole sztywnie, z całą godnością panny przyzwoitej i dobrze wychowanej; słuchała ona roz-

mowy ze spuszczonemi oczyma, a czasem tylko na siostrę rzucała wzrok pełen wyrzutu.

Po herbacie, Skałecki uznał za właściwe, ażeby opuścić nareszcie dom, w którym mu kilka godzin czasu zeszło nadzwyczajnie przyjemnie. Zaledwie się atoli poruszył, chcąc pożegnać towarzystwo, kiedy Frania rzekła do niego:

— Niech pan u nas już dziś zanocuje! Jest tak późno, że zanim pan dojdzie, niezawodnie wszyscy będą spali we dworze pod literą *b*...

Słysząc to, Fruzia aż podskoczyła na swojem krzesełku i surowym wzrokiem zmierzyła siostrę; zmieszała się również matka, ale nie wypadało jej, jako gospodyni, nic innego robić, jak tylko popierać propozycyę córki. Rzecz prosta, że i pan Dyzma przyłączył się kilku słowami do tego chóru. Skałecki, co prawda, nie miał wcale ochoty powracać do Zawracalskich, jednakże nie uważał też za właściwe pozostać na noc we dworze pod literą *a*. Pożegnał się zatem i odszedł.

Dopiero, kiedy obie siostry pozostały sam na sam, wtedy Fruzia, zgorszona w najwyższym stopniu, obsypała Franię naukami moralnemi.

XV.

U państwa Zawracalskich był sądny dzień. Pan Piotr bowiem zirytowany żądaniami chłopów,—niezadowolniony z ustępstw, jakie im musiał poczynić, — zły, że go gromada odnalazła w stodole, zdawał się szukać koniecznie sposobności wywarcia na kimś swego kwaśnego humoru i dąsów; czuł on potrzebę udręczenia jakiego bliźniego, ponieważ sam doznał udręczeń od bliźnich. Nie dziw zatem, że jak tylko chłopi pod wodzą Dziury wynieśli się z dworu litery *b*, Zawracalski przyzwał natychmiast przed swój trybunał Frankę Czaplankę. Trzeba wiedzieć, iż dziedzic ów był patryarchą czystej wody, jakkolwiek do rodziny jego wtargnęły już pewne nowożytne cywilizacyjne wtręty i zakłócały swą obecnością chwalebną patryarchalną wszechwładzę. Tutaj to mianowicie odgrywało rolę emancypowanie się córek z pod ojcowskiego despotyzmu. Nawet taką Frankę Czaplankę mógł Zawracalski zwymyślać, a nie śmiał jej jednak już uderzyć, ponieważ dziewczyna ta cieszyła się przy-

chylnością Joasi i Poloi. Pana Piotra niejednokrotnie swędziła ręka, żeby ją porządnie palnąć w głowę lub w plecy, a przecież nie palnął; dzięki temu, Franka ta wyrobiła w sobie pewną godność własnej osoby.

— Słuchajno, Franka, coś ty powiedziała chłopom, kiedy przyszli tu do dworu i pytali się o mnie?—Badał dziewkę Zawracalski, spoglądając na nią ostro zaczerwienionemi oczyma.

— Powiedziałam im to, co mówię zawdy, że pana dziedzica niema w domu, — odrzekła służąca, spuszczając oczy ku ziemi, ponieważ w żaden sposób nie mogła wytrzymać surowego wzroku pryncypała.

— Mów prawdę!... Tak powiedziałaś?... A dlaczego oni mię szukali w stodole? Kto im powiedział, że ja tam jestem?

— Czy ja wiem, kto powiedział? Mogę przysiądz na wszystkie świętości, że nie ja. Zabrali się i poszli. Może im ta co i powiedziała gęsiarka, ino ja anim pisnęła...

— Gęsiarka?—Prawda, gęsiarka musiała powiedzieć..—mruczał Zawracalski, sam do siebie mówiąc.

Franka odeszła, rada, że się śledztwo skończyło. A on zdjął ze ściany cięty harapniczek, zakończony warkoczykiem białego włosienia z końskiego ogona, i tak uzbrojony, ciągle złowrogo spoglądając, jakimś niespokojnym krokiem wyruszył na dziedziniec. Wszedł pomiędzy gęsi,

pewien, że tutaj znajdzie Frankę Walkównę i wyzwoli z duszy mocno napięte uczucia złości. Gęsi, spostrzegłszy dziedzica wśród swego stada, niebawem zbiegły się w zbitą kupkę i rozpoczęły głośne gęganie. To nie podobało się panu Piotrowi, o mało, że nie fuknął na ptaki, aby były cicho. Bielas znowu zaniepokoił się widocznie harapnikiem w ręku pana dziedzica, musiał doświadczalnie znać to narzędzie kary, bo powstał i z podwiniętym pod siebie ogonem przeniósł się czemprędzej na spoczynek w odleglejsze miejsce. Gęgające gęsi, ucieczka psa, nieznalezienie gęsiarki tam, gdzie się powinna była znaleźć — wszystko to prawdopodobnie podniosło stopień niezadowolnienia Zawracalskiego.

— Gdzież się znowu ta szelma podziała? — wołał. — Gęsi sobie oto same spacerują, a ona gdzieś baluje, bestya jedna!... I podniosłszy głos, huknął:

— Fraaanka!... Franka!...

Potężny głos jego rozległ się po dziedzińcu tak, że aż gęsi się wzdrygnęły i podskoczyły, aż Bielas po raz wtóry powstał i przeniósł się znowu na inne odleglejsze miejsce. Pan Piotr powtórzył swoje wołanie i teraz obie jego córki na krzyk ten pojawiły się w ganku; spostrzegły one, że ojciec zrobił się aż ponsowy z gniewu i że jakoś gwałtownie wywija batem w ręku. Pierwsza Joasia, mająca najwięcej wpływu, tak się odezwała:

— Czegóż się tata tak rzuca? Myśmy oto wysłały Frankę za interesem!

Atoli nie była to chwila, w którejby wpływ córki mógł oddziałać na pana Piotra.

— Za jakim interesem? Ja będę gęsiarkę trzymał do waszych interesów? A to co znowu? Jeszcze czego! Żadnych babskich rządów nie potrzebuję!

Zrozumiały panny, że ojciec jest bardzo zły, że w taki duży gniew popada zaledwie raz tylko na rok, przeto Joasia odezwała się teraz znowu już łagodniejszym tonem:

— Niech się tata uspokoi, gęsiarka tu zaraz powróci.. Przecie gęsi i tak nie zrobiły żadnej szkody.

Ale Zawracalski daleki był ciągle od uspokojenia. W jego piersi wrzały zbyt szalone burze, ażeby je można było zażegnać słowami. Rozzuchwalone chamy, jak nazywał chłopów, podkopywały jego własność, a służba przy domu go zdradzała; córki znowu chciały wziąć górę; on sam musiał ze wszystkimi walczyć. Na każdego człowieka, cieszącego się władzą, przychodzi taka chwila, że sobie w duszy myśli: „Dam ja wam, czekajcie! Poczułem oto własną potęgę i źle z tym będzie, kto mi wejdzie w drogę".

To też kojące słowa córki nie padły jako balsam na wzburzone serce Noskowickiego patryarchy; owszem były one raczej nową podnietą gniewu.

Podskoczył ku Joasi i Polci, spojrzał na nie groźnie, a potem wrzasnął:

— Tu moje interesa stoją na pierwszem miejscu!... Rozumiecie to! Ja ludzi od roboty nie pozwolę wam odrywać.. Jeszcze czego! Lalki jedne!

I trzepnął harapnikiem o ziemię, aż się dokoła zakurzyło.

— Święty Panie!... Co się tatce stało? — mówiła Joasia do Polci. — Odezwać się nawet dziś nie można.

Zdaje się, że Zawracalski lubił takie swoje Jowiszowe chwile, w których wszystko przed nim drżało, nawet żona i dzieci. Teraz odwrócił on się od córek opryskliwie i jakimś majestatycznym krokiem podążał ku stajni fornalskiej. Snadź tu także poszukiwał ofiar swego gniewu, bo pod dworem rozlegały się jego siarczyste przekleństwa.

— Ale gdzie się jednak ta gęsiarka zapodziała? — pytała Joasia. — Czyby Skałecki gdzie z domu wyszedł i ona może poszła go z tym listem szukać?

Jak zwykle w takich razach bywało, tak i teraz obie siostry przyzwały do narady swoją powiernicę Frankę Czaplankę.

— Spenetruj no, Franusiu — mówiły. — Czy pan Skałecki jest w swoim pokoju; może on tam śpi, to nie budź...

— Żeby to był a wyszedł tutaj, toby się może

przy nim pan dziedzic jako zmiarkował; ale ja widziałam już dawno, że pan Skałecki z domu wyszedł i do tego czasu jeszcze nie wrócił, — odrzekła Franka.

Więc Joasia i Polcia znowu zaczęły deliberować, co się stało ze Skałeckim i gdzie się podziała gęsiarka. Od czasu do czasu wybiegały na ganek, upatrując, czy dziewczyna nie powróciła jeszcze do gęsi; ale doznawały pod tym względem ciągłego zawodu. Schyłek tego dnia we dworze pod literą *b* był jakiś niemiły dla wszystkich.

Ale po cóż tu dzień obwiniać?

Nareszcie Franka Walkówna, po różnych możliwych zwłokach, opuściła dwór pod literą *a*. Już ona tutaj zobaczyła się i z Sobkiem, i nadrwiono z niej dosyć, i na przyłożenie tego wszystkiego dano jej kromkę chleba z twarogiem; zwyczajnie, jak bywa na dworskiej kuchni.

Dziewczyna wcale się nie spodziewała, że w domu Zawracalskich bardzo niecierpliwie na nią wyczekiwano. Kiedy weszła na podwórze, spostrzegła, że gęsi już się były zabrały do nocnego spoczynku; siedziały na trawie z głowami schowanemi pod skrzydła i czasem tylko która z nich piszczącym głosem przez sen coś gęgnęła. Bielas zobaczył gęsiarkę, ale nie powstał z miejsca na jej powitanie, tylko ogonem merdnął parę razy.

W ganku siedziała samotna Joasia; miała przy-

kre myśli, korciło ją to, że podrobiła list Frani Zatwardziałowiczównej, a choć nie wiedziała, co się z tym listem stało, jednakże smutne jakieś przeczucia odzywały się w jej duszy.

Franka szła w ćmie wieczornego mroku sama jak mrok ciemna. Zoczyła ją jednakże panna Zawracalska i poskoczyła ku dziewczynie. Rozmowa nie trwała długo; gęsiarka opowiedziała w streszczeniu, jak trop w trop ścigała Skałeckiego i nie zdołała dopędzić aż we dworze pod literą *a*. Zaledwie się skończyło to opowiadanie, zaledwie Joasia rzuciła jeszcze kilka badawczych pytań, kiedy w ciszy wieczora rozległ się rodzaj klaśnięcia w obie dłonie; był to energiczny policzek, wymierzony przez pannę Zawracalską w twarz Franki Walkówny. Cios musiał być silny, bo gęsiarka zachwiała się na nogach i obiema dłoniami za policzki się chwyciła, a prócz tego jeszcze, na znak, że jest żyjącą i czującą istotą—jęknęła cicho. Joasia była bardzo rozgniewana, niezmiernie ją dotknęło to wszystko, czego się dowiedziała z ust dziewczyny; dobrze, iż się skończyło na jednym tylko policzku. Gęsiarka odeszła na bok pod płot ogrodu, usiadła, jako strapiona istota, i poczęła kwilić cieniutkim głosem.

A więc nie było teraz najmniejszej wątpliwości, że Skałecki poszedł w odwiedziny do Zatwardziałowiczów. Joasia wiadomość tę obwieściła najprzód Polci, potem matce, a nareszcie—

ojcu. Pan Piotr już i tak był wściekły; wspomnienie nazwiska Zatwardziałowicza rozjuszyło go do reszty: wszędzie ten Zatwardziałowicz występował jako wróg dworu pod literą *b*; — on przyjmował służących, którzy porzucali Zawracalskiego, on podburzał chłopów, on miał reputacyę mądrego, do niego przyjechał z Krakowa archeolog i dla niego opuszczał gościnne progi dworu pod literą *b*. Tego już było za nadto! Zawracalski wpadł ze zgiełkiem do pokoju, gdzie sobie na stole poustawiał różne godne uwagi wykopaliska: urny, strzałki krzemienne, zęby i żebra różnych zwierząt z czasów przedhistorycznych; brał te przedmioty garściami, wyrzucał je za okno. Ani żona, ani córki nie widziały jeszcze nigdy głowy domu w takiem nadzwyczajnem rozdrażnieniu. Joasia jeszcze raz próbowała uspokoić ojca; ale jej się to wcale nie udało, za dobre chęci zwymyślał ją i na tem koniec; złajał także Polcię oraz żonę, choć go uspakajać nie zamierzały. Franka Czaplanka, słysząc huk gromów pana, uciekła i nie śmiała przez czas jakiś pokazywać się w pokojach. Zawracalski nie pił wcale herbaty, jak to było w codziennym jego zwyczaju; najwyraźniej w świecie zamyślał dzisiaj o głodzie noc przepędzić, co do tem większego zgnębienia doprowadziło rodzinę.

Wyszedł na ganek i usiadł na ławce; ale nie spojrzał wcale na niebo.

A gęsiarka, jak raz usiadła strapiona pod płotem, tak ciągle siedziała. Płakała ona sobie głosem rzewnej, cichej skargi, głosem, który najbardziej przypominał szmer strumyka, pluszczącego po kamieniach. Posłyszał Bielas owo kwilenie i nie wiadomo — przez współczucie, czy przez ciekawość, podszedł do Franki; być może, iż to było psie współczucie, bo zdradzał zamiar polizania policzka gęsiarki. Współczucie zwierzęcia nie dla każdego nieszczęśliwego człowieka jest widać pożądane, bo oto Franka, zaledwie poczuła na swej twarzy gładki, ciepły i wilgotny psi język, a wnet z całej siły palnęła w łeb Bielasa. Odszedł, nie mogąc zrozumieć, o co ludziom chodzi na świecie. Niech się nikt nie dziwi, że gęsiarka tego psa uderzyła; ofiara bowiem może się gniewać tak dobrze, jak każdy inny.

Pomijając Bielasa, kwilenie dziewczyny pod płotem posłyszał także Zawracalski, człowiek jak najmniej do współczucia usposobiony, zwłaszcza też w obecnym swoim nastroju uczuć. I on się także do niej zbliżył, a kiedy spostrzegł, że to jest Franka gęsiarka, począł ją okładać harapnikiem. Są takie ciosy, które bitego nadzwyczajnie bolą, a odbieranie ich przejmuje jakimś niezmiernym strachem; w tym wypadku człowiek traci chwilowo władzę wydawania głosu. Tak było i z gęsiarką; niespodziewane uderzenia ogromnie ją przeraziły, czuła na sobie wyraźnie,

że pochodziły z bardzo silnej ręki, zatoczyła się kilka razy po ziemi; gdy jednak ciosy bata spadały na nią gęsto jak grad, nie było innej rady — tylko powstać i w ucieczce szukać ocalenia; tak też i zrobiła Franka.

Bielas widocznie obserwował całe to zajście, on także podniósł się z ziemi, opuścił swoje miejsce i, niepamiętny na obrazę, pobiegł za Franką. Wybiegli oboje za bramę; ona usiadła w milczeniu i palcami poczęła dotykać bolących miejsc na ciele; zdawało jej się, że miejscami jest opuchła od uderzeń, a gdzieindziej znowu może i skrwawiona. To pewna, że powszędy paliła ją skóra; pomedytowała ona nad tem swojem położeniem i dopiero po upływie pewnego czasu zaczęła znowu płakać; być może, iż roztropność szeptała jej na ucho, aby w płaczu takim nie podnosiła głosu zbyt wysoko. Przecież w świecie ludzkim nie darmo istnieje przysłowie: „Biją i wypłakać się nie dadzą“.

Jednakże cierpienia gęsiarki miały pewne znaczenie; kosztem ich bowiem Zawracalski doszedł do jakiej takiej równowagi, uspokoił się cokolwiek, dowodem czego była okoliczność, że swój harapnik rzucił pod stół, wszystkim zaś w domu polecił, aby się natychmiast spać kładli. Wezwał do siebie Frankę Czaplankę i głosem dosyć groźnym, a nadzwyczajnie stanowczym, wydał jej rozkaz starannego pozamykania wszystkich drzwi w całym domu oraz niewpuszczania nikogo pod-

czas nocy, choćby się jak najgwałtowniej dobijał.

Rozporządzenia tego rodzaju stanowiły, naturalnie, zemstę, wymierzoną względem krakowskiego uczonego, który, pomimo zobowiązań i zaklęć, przeniewierzył się dworowi pod literą *b*.

Noc padła na wszystkie litery Noskowic, kiedy Skałecki powracał od Zatwardziałowicza tą samą drogą, jaką sobie obrał, idąc tam w odwiedziny, — drogą najkrótszą, przez ogród. Przybywszy do siedziby Zawracalskich, znalazł drzwi zamknięte; począł najprzód bardzo lekko stukać, potem — nieco mocniej, ale zawsze dosyć delikatnie; pomyślał, że mu się nie wypada dobijać do cudzego domu, że należy raczej iść pod okno kuchni i obudzić Frankę Czaplankę, ażeby drzwi otwarła. Tak zrobił. Do okien kuchennych stukał już śmielej; ale cóż, kiedy mu nikt nie otwierał, nikt się nie odezwał. Bił pięścią w ramę okna i jednocześnie głosem jak najuprzejmiejmiej błagał Franki, aby mu drzwi otwarła. Prawdopodobnie dziewka, pomna na zalecenia dziedzica, udawała tylko, że śpi i nie słyszy, a przeto Skałecki dosyć długo stukał napróżno. Ale i jej się to już musiało sprzykrzyć, lub też może było jej żal archeologa, po nocy wystawającego pod drzwiami, bo wstała, podeszła do okna, a przyłożywszy usta do szyby, mówiła cichym głosem:

— Niechże się pan tak nie tłucze... dziedzic okrutnie zły, kazał mi wszystkie drzwi pozamykać i przez całą noc nikogo a nikogo do dwora nie wpuszczać...

Posłyszawszy to, Skałecki myślał sobie:

— Ha, kiedy tak, to widać ja się już bardzo naprzykrzyłem państwu Zawracalskim; źle, kiedy w nocy zamknęli drzwi przedemną...

Wspomniał, że Tatarczany jest kawalawerem i przeto do takiego zawsze śmielej w nocy zapukać, prosząc o nocleg. Opuścił zatem uczony dwór pod literą *b* i wyszedł za bramę; tutaj na wpół śpiąc, nawpół czuwając, dotychczas jeszcze popłakiwała gęsiarka, a u nóg jej leżał Bielas. Pies lekko warknął na Skałeckiego, a dziewczyna zdradziła niebawem zamiary ucieczki, mniemając zapewne, iż przybywa jakiś człowiek, który znowu ma chrapkę na jej skórę. Nie uciekła atoli, przekonawszy się, iż ma do czynienia z jedynym sympatycznym dla siebie człowiekiem, który zawsze okazywał jej więcej przychylności, niż rodzony ojciec.

Zawiązała się w nocy rozmowa i Skałecki dowiedział się od gęsiarki o jakimś liście, wysłanym do niego przez Joasię, o doręczeniu tegoż listu w kuchni dworu pod literą *a*, o policzku, wymierzonym France przez Zawracalszczankę, o batach z rąk pana Piotra. Nie rozumiał tego wszystkiego dokładnie, jednak widocznem było, że gęsiarka z jego powodu cierpiała i że on jest

przedmiotem jakichś intryg w Noskowicach. To może drażnić, lecz archeolog był człowiekiem wielce spokojnego umysłu. Pocieszył gęsiarkę i zachęcił, ażeby z nim wspólnie udała się do dworu pod literę *c*, ponieważ noc była dosyć dotkliwie zimna; Bielas też poszedł z nimi, jako trzeci w związku.

XVI.

Na tym posępnym padole płaczu, istnieje tak mała doza szczęścia, że nawet pan Prosper Tatarczany, choć bezobowiązkowy kawaler, a przecież i on nie był szczęśliwy; jak to mówią, on także ani siedział, ani nie sypiał na różach.

Przerozmaite dolegliwości trapiły tego właściciela Noskowic litery *c*. Właśnie owej pamiętnej niedzieli, w czasie której różne przypadki miał Zatwardziałowicz i różne — Zawracalski, wcześnie się był spać położył Tatarczany, a zasnąć przez długi czas na żaden sposób nie mógł. Już on się był dowiedział, że ksiądz Żłobski miał w Plichtowskim kościele tej niedzieli kazanie, skierowane najgłówniej do jego osoby. Jest to bardzo przykre, kiedy człowieka wytykają publicznie z ambony. Właściciela litery *c* trapiło niemniej ustąpienie ze służby Agnieszki, do której wielorako przywykł, ponieważ dziewka była do wszystkiego zdatna, a przytem bardzo spokojnego charakteru. Co innego jej następczyni Ulina, ta nie do wszystkiego był azdatna, a kiedy się raz spoufaliła z dziedzicem, chciała koniecznie nad nim wziąć górę. To już trzy duże kło-

poty, z powodu których człowiek łatwo może przez całą noc nie spać. Nie same one jednak wdziewały Tatarczanemu na głowę cierniową koronę. Krowa, która się była ocieliła pod najlepszą wróżbą, jeszcze za rządów Agnieszki, zdechła, a pozostałe bez matki cielę-sierota było prawie jedną nogą na tamtym świecie. Pod sam już wieczór znowu owej niedzieli naszła Tatarczanego gromada chłopów z najdziwaczniejszemi wymaganiami; nagniewał się, napsuł sobie krwi, a nareszcie musiał uledz i podpisać deklaracyę, jako pozwala na zaoranie części pastwiska. Żeby to było wszystko, to chociaż dużo, jednakże przynajmiej o godzinę wcześniej zasnąłby może Tatarczany. Gdzie tam! Ulubiona jego kobyła dostała nosacizny i kto wie, czy innych jeszcze koni nie pozarażała. Cóż mówić o Zawracalskich, którzy panu Prosperowi psuli opinię i różnemi sposobami utrudniali życie? Dodajmy do tego nadto okoliczność, że zarówno w Koszycach, jak w Skalbmierzu, miał Tatarczany po sklepach pełno niezapłaconych kwitów z własnym podpisem.

Co tu mówić, w czerwcu jeszcze sprzedał Herszkowi Knotowi sto par zboża, a pszenica, okazało się — bardzo źle wydaje, żyto — jeszcze gorzej. Marne jest życie ziemianina i przeto dziedzic litery *c* z powodu zawodów od ludzi, zwierząt oraz roślin, z boku na bok się przewracał na łóżku, a zasnąć nie mógł w nocy z niedzieli na poniedziałek. Mocno zamykał on oczy, a mimo to

zaś widział, jak na jawie, pochmurną i wyniosłą postać proboszcza, z uśmiechem naigrawania się na ustach, miotającego słowa, kościelnego wyklęcia. Jeżeli mu zniknął z przed oczu proboszcz, to w ślad za nim pojawiła się, jako wyrzut sumienia, miła, łagodna Agnieszka, cały dzień zajęta gospodarstwem, przywiązana, troskliwa i dbała o jego dobro. Zniknęła Agnieszka, to widział wyraźnie miłą wprawdzie z pozoru, ale złą w duszy i kłótliwą Ulinę, z którą sobie rady dać nie mógł. Zdawało mu się, że słyszy chytre przemowy Dziury, docinki Zajmy i Słupika, — że Herszek dopomina się o rychłą odstawę zboża, — że Koszyccy i Skalbmierscy kupcy, ciskają mu w oczy kwitkami — że po całych Noskowicach rozlegają się chichoty i drwiny obu Zawracalszczanek z jego osoby.

I jakże mógł spać Tartarczany wobec tego wszystkiego? On sobie wyobrażał, że jest człowiekiem najnieszczęśliwszym w Noskowicach.

Naraz, ni ztąd ni zowąd, począł zasypiać; obrazy wszystkich nieszczęść i ich sprawców zamieniały się powoli jakby w dym, w jakieś obłoki; świat rzeczywisty znikał z pod stóp pana Prospera, oczy mu się kleiły i na skrzydłach sennej wyobraźni, człowiek ten możeby był nareszcie wypłynął w jaką atmosferę szczęścia. Atoli ucho jego, niezupełnie jeszcze zamknięte na słuchowe wrażenia świata zewnętrznego, posłyszało jakiś

szmer za oknem, jakieś delikatne dotykanie po szybach.

Wszelki większy właściciel przez całe swoje życie, słysząc w nocy szmery, ma na myśli głównie złodziei i przeto na noc odpowiednio się uzbraja. Pan Tatarczany, jakkolwiek we dworze swoim nie posiadał rzeczy nadających się do tego, ażeby chciwi bliźni namiętnie ich pożądali i wdzierali się wewnątrz, aż przez wyłamywanie drzwi i okien, jednak miał na wszelki wypadek przy łożu swojem dobry oręż do walki ze złodziejami. Była to gruba i ciężka pałka dębowa, z długim żelaznym gwoździem na końcu. Więc też teraz, kiedy się dziedzic litery c nagle ocknął z pierwszego uśnięcia, porwał natychmiast za swą maczugę i chyłkiem pędził do okna; myślał on sobie, że jeśli jaki łupiezca majstruje nad wysadzeniem okna, to wprzód nim zdoła się wewnątrz wtargnąć, otrzyma pchnięcie w piersi lub w brzuch na tyle szerokie, ażeby dusza swobodnie mogła wylecieć w zaziemskie krainy. Gdyby właśnie Skałecki nie był śmiało do okna zapukał, ale robił to tak, jak przed chwilą pod oknami domu Zawracalskich, byłby go Tatarczany najwiezawodniej dziobnął swoim dzirytem; a tak archeolog, poszukujący snu chwilowego, znalazłby był dla siebie sen wieczny.

Wnet pan Prosper porozumiał się ze swoim gościem i rad był niezmiernie, że osobistość tak bardzo niegdyś ceniona przez całą rodzi-

nę Zawracalskich, właśnie u niego poszuje dzisiaj noclegu.

Niebawem pojawiła się też przyzwana Ulina, która Skałeckiemu usłała łoże na kanapie, a gęsiarkę zbitą i zsinałą zabrała ze sobą do kuchni; tylko sam jeden Bielas, jako pies, i nadal pozostał pod gołem niebem.

Tatarczany pilnie wybadywał archeologa, co za przyczyna takiego błąkania się po nocy i poszukiwania noclegu pod literą *c*. Jednakże Skałecki nie był skory do oskarżania postępku pana Zawracalskiego, przeto na stawiane pytania odpowiedział bardzo ostrożnie, wymijająco; widocznie chciał on przygodę swą sprowadzić do tego, że się przypadkiem opóźnił z powrotem do domu, że więc drzwi we dworze pozamykano, według zwyczaju: no i dostać się wewnątrz nie mógł, zwłaszcza, iż mu nie wypadało swojem kołataniem przerywać sen kobietom.

Pan Prosper bardzo tam temu opowiadaniu nie dowierzał i dobrze zrobił, bo nazajutrz, zaraz z samego rana, Ulina opowiedziała mu daleko więcej przerozmaitych szczegółów, które umiała wydobyć na wierzch z gęsiarki; zresztą, w takich Noskowicach poczta pantoflowa z ust do ust jest nieustannie czynna.

Zanim jeszcze krakowski uczony wstał, już dziedzic litery *c* zadysponował Ulinie bardzo suty obiad; dwie kury padły dnia tego pod nożem kucharskim.

Jakkolwiek dobrze podejmowany, Skałecki uważał sobie jednak za obowiązek powrócić do Zawracalskich, przeprosić ich za swą nocną wycieczkę, pożegnać, a następnie rozpocząć kopanie na gruntach Zatwardziałowicza przed nadejściem pory ciężkich słót jesiennych. Ale Tatarczany był nad wszelki wyraz uprzejmym gospodarzem; uważał on sobie za punkt honoru zatrzymać gościa u siebie jak najdłużej; przecież i on się uważał za kawałek archeologa, więc obmyśliwał gdzieby tu rozpocząć poszukiwania w ziemi. Ansa do Zawracalskiego podwyższała jeszcze stopień przyjemności dziedzica litery *c*.

Franka gęsiarka, protegowana Skałeckiego, otrzymała też natychmiast stanowisko przy kuchni, czemu jednak Ulina niebardzo sprzyjała. Bielas zerwał odtąd wszelkie stosunki z gęsiami; ten *gęsi pies*, jak go z pogardą nazywała czeladź dworu pod literą *b*, wylegiwał się teraz z nadzwyczajną swobodą tuż pod samemi drzwiami dworu.

Upłynął dzień pobytu w domu Tatarczanego, który gościa swego raczył wszystkiem, czem chata bogata, i na krok nie odstępował, co — między nami mówiąc — mogło nie stanowić bardzo wielkiej przyjemności; Skałecki jednak rozumiał, że gospodarz byłby go gotów nawet zanudzić w najlepszej wierze i intencyi.

Przed samym wieczorem, dowiedziały się panny Zawracalskie, że gość ich obecnie przebywa

pod dachem pana Prospera; odczuły one to bardzo żywo, a pan Piotr wcale się nie spodziewał, ażeby sztuka, spłatana przezeń Skałeckiemu, pociągnęła takie właśnie następstwa. Może go i wstyd było, że w przystępstwie gniewu postąpił sobie niewłaściwie, za co, naturalnie, przy pierwszej sposobności Joasia dała ojcu naukę. Ale Zawracalski był człowiekiem ograniczonym, upartym i przeto, choć sam w głębi duszy czuł własną winę, jednak przed ludźmi nigdy się do błędu nie przyznał; nie uczynił tego nawet przed żoną i córkami. Każdy czystej wody patryarcha musi być nieomylny.

Nazajutrz Skałecki znowu zdradził chęć powrotu do dworu pod literę *b*; robił on sobie wyrzuty, że tak jest już bardzo niegrzeczny.

Cóż, kiedy Tatarczany usilnie zatrzymywał gościa, a w dodatku los mu jeszcze pod tym względem dopomagał; gdy bowiem zaraz zrana rozpoczęto kopanie przy samej granicy gruntów litery *c* z gruntami litery *a*, natrafiono na jakieś cmentarzysko, gdzie się znalazły ślady przedhistorycznego człowieka z epoki przejściowej od kamienia łupanego do gładzonego; znaleziono i popiół i ślady ognia, rozmaite narzędzia oraz ozdoby. Archeolog tak się rozradował, że zapomniał o etykiecie, o Zawracalskich, co mówię, wywietrzała mu z głowy nawet piękna i ekscentryczna Frania Zatwardziałowiczówna. Zdaniem jego było to jedno z najznakomitszych odkryć,

dokonanych na całym obszarze Polski. Znajdowały się tutaj krzemienne strzały, kościane igły, ozdoby z zębów zwierzęcych, a przytem naczynia bardzo dziwnego kształtu; zaledwie można było uwierzyć, ażeby człowiek kiedykolwiekbądź znajdował upodobanie w takich rzeczach. Cały ten dzień zeszedł na badaniu miejscowości oraz znalezionych przedmiotów. Ale pod wieczór owego dnia zajechał przed dom wózek z dworu pod literą *b*, a Skałecki rozpoznał na tym wózku rozmaite swoje manatki; zmieszał się niepospolicie, bo mniemał, że musiał czemś na siebie bardzo obrazić rodzinę Zawracalskich. Furman, który przywiózł wszystkie te tłomoki, oświadczył tylko, iż pan dziedzic odsyła rzeczy i prosi o pokwitowanie. Nie było nic innego do zrobienia, jak tylko pokwitować furmana. Miał jednakże woźnica Zawracalskiego inne jeszcze zlecenie; mianowicie też rozkazano mu, ażeby na ten sam wózek zabrał Frankę gęsiarkę i przywiózł ją pod literę *b*, a swoją drogą zmusił do powrotu psa Bielasa. Eks-gęsiarka Zawracalskich, jak tylko się dowiedziała, że jej poszukują i o nią się dopominają dawni państwo, zemknęła czemprędzej i schowała się w oborze pomiędzy krowami. Co się tyczy Bielasa, ten nie był w możności postawić najmniejszej opozycyi; stary jego znajomy furman, służący tego samego dworu, gdzie się Bielas wychował od szczenięcia, wziął psa za kark, wrzucił na wózek, a potem zaciął konie i odjechał

wśród śmiechów czeladzi, wykrzykującej publicznie, że od Zawracalskich psy nawet uciekają ze służby. Tatarczany patrzał na to wszystko z ironicznym uśmiechem, a choć zwykle dosyć surowy dla służby, tą razą nie stawiał żadnej przeszkody jej wykrzykom, zmierzającym do upokorzenia sąsiada.

Kiedy już furman pana Piotra opuszczał dwór pod literą c i przyszło mu bardzo uważnie zjeżdżać na dół z wysokiej góry, wówczas to Bielas lekko wyskoczył z wózka, poczem puścił się całym pędem przez pole i wrócił niebawem do siedziby Tatarczanego. Ta ucieczka oraz powrót psa ubawiły nadzwyczajnie wieczerzających właśnie pod ścianami kuchni parobków; rozgłośnie i jednomyślnie powitano powracającego Bielasa; każdy rozlał mu jakąś łyżkę strawy na ziemię, a pies, zdziwiony też zachowywaniem się z nim ludzi po ludzku, troskliwie wylizywał rozlaną na cześć swoją libacyę i łasząc się, dziękował jak najuprzejmiej. Ludzie są dobrzy dla zwierząt czasami, szczególniej zaś wtedy, kiedy kochają zwierzęta z powodu nienawiści ku pewnym ludziom. Mówiono, że takie przybycie nieznajomego psa do domu, zapowiada jakieś znaczne powodzenie. Jedna Ulina wszakże nie podzielała tego entuzyazmu dla psa. Wyrażała się o gęsiarce i o Bielasie, że z nich obojga nie będzie pożytku, bo pies ani szczeknie, jak niemowa,

a dziewucha znowu głupia, do niczego, nawet do pilnowania świń niezdatna.

Pomimo jednak takiego przekonania, przełożona nad domowem gospodarstwem pana Prospera tolerowała zrazu swoją pomocnicę w wyręce w kuchennej i nazywała ją „spychaczką“. Ulina z początku stawiała tylko France różne trudne zadania, później dokuczała jej słowami, a ostatecznie kończyło się na szturchańcach i biciu. Już po upływie czterech dni, Franka o mało nie żałowała stanowiska swego przy gęsiach pod literą *b*; jednakże srogi strach ją zdejmował, kiedy wspomniała cięty harapnik pana Piotra.

Co się tyczy Bielasa, był to kawałek spartanina w psim rodzaju, wytrwały na głód i chłód, a przytem — idealnie karny. Ludzkiego bicia, o ile mógł, unikał, jeżeli jednak co oberwał, znosił to stoicznie, bez skargi na ustach.

Tak upływało życie emigrantom naszym z pod litery *b*, kiedy jednego dnia pojawił się tu Walek, skotak od Zawracalskich, a ojciec gęsiarki; przyszedł do kuchni i oświadczył Ulinie, że dziecku swemu tułać się po świecie nie pozwoli, że je przeto musi zabrać. Ulina, jakkolwiek wszechwładna w sprawach kuchennych, nie chciała rozstrzygać kwestyi, skotaka przyjęła dosyć ostro i odesłała go do dziedzica.

Tatarczany odrazu wybadał, że to Zawracalski dochodzi praw swoich co do gęsiarki, a prawa ojca podstawia tu tylko jako pretekst. Walek

szczerze wyznał, że mu dziedzic z pod litery *b* zagroził natychmiastowem wydaleniem ze służby, jeżeli Franka nie wróci na stanowisko przy gęsiach. Panu Prosperowi sprawiało to prawdziwą rozkosz, że się Zawracalski upomina o gęsiarkę; mógł mu przecież dokuczyć, nie czyniąc zadosyć żądaniu i przeto postanowił Frankę bądź co bądź zatrzymać. Z ojcem dziewczyny obszedł się przedewszystkiem nader uprzejmie, co przecież nie było jego zwyczajem w stosunku do chłopów; skotak dostał kieliszek wódki, kawałek chleba, sześć groszy i dobre słowo, które nic nie kosztuje a dużo jest warte.

— Człowieku — mówił Tatarczany, klepiąc ojca Franki po ramieniu — powiedz ty swojemu dziedzicowi, że jak cię ze służby oddali, dostaniesz zaraz u mnie miejsce karbownika... Ja jemu służących nie odmawiam ani jego dziewek księdzu nie stręczę; ale sami ludzie uciekają do mnie od niego!...

— A juści, pan sprawiedliwie mówi — odrzekł skotak.—Ze samej mowy dyć poznać rzetelnego pana.

— I ja ci się dziwię, mój kochany— rzekł znowu z namaszczeniem pan Prosper—żeś usłuchał Zawracalskiego i przyszedł tu po Frankę... Toż tobie dziecko tam skatowali, a ty je znowu chcesz pchać na zgubę do takiego dworu! Tyś ich zaskarżyć powinien do sądu...

— Niektórzy mi też tak raili, wielemożny dziedzicu, inno drudzy znowu pedają, co pan Zawracalski bił bez świadków, to jabym jeszcze śtraf musiał za takową skargę zapłacić.

— No, to go nie skarż, pal go sześć! Ale Franki nie oddawaj. O co ci chodzi? Niech dziewucha lepiej na wsi świnie pasie, niż gęsi u takiego dyabła jak Zawracalski...

Walek skotak skłonił się teraz Tatarczanemu do nóg i odszedł zupełnie zadowolony. Kiedy zaś powrócił, złożył Zawracalskiemu prawie dosłowne sprawozdanie ze swego poselstwa. Wobec skotaka, pan Piotr udał, że go to wszystko niewiele obchodzi; ale za to wieczorem przy herbacie przed żoną i córkami nie oszczędzał już wcale dziedzica z pod litery c.

— Pięknych mam sąsiadów!—wołał. — I to są obywatele, tacy Zatwardziałowicze, tacy Tatarczani!... O ciężko mię Pan Bóg za jakieś grzechy niemoje karze!... Przeklęta okolica, a te Noskowice—to na kuli ziemskiej paskudniejszej dziury niema!... Lud — złodzieje, a szlachta — jeden w drugiego gałgany z pod ciemnej gwiazdy!

XVII.

Nastały pierwsze dni października, jesienna pogoda ciągle jeszcze sprzyjała, a Skałecki korzystał z tego i pełen zapału gorliwie oddawał się poszukiwaniom.

Tatarczany też w towarzystwie jego kształcił się coraz bardziej na archeologa.

W domu państwa Zatwardziałowiczów nie zaszły żadne zmiany; wszyscy tutaj, z wyjątkiem jednej Fruzi, dziwili się, że Skałecki miał na gruntach dworu litery *a* rozpocząć kopanie, a tymczasem osiadł u Tatarczanego i kopał na jego gruntach. Wiedziano także, iż krakowski uczony miał niemiłe zajście z Zawracalszczyzną, iż z tego powodu opuścił dwór pod literą *b*; w ogóle o różnych a różnych szczegółach całej tej sprawy prowadziła się tu nieraz szeroka rozmowa, zwłaszcza między osobnikami płci pięknej.

Pan Dyzma bo coraz bardziej niedomagał, nietylko już na nogi, ale mówił, że go wszystkie kości bolą. Czasami miewał humor

bardzo kwaśny, a czasami znów wpadał jakby w melancholię.

Frania wymykała się niekiedy ukradkiem do ogrodu i tam z altanki, stojącej na wzgórzu, rozpatrywała, w którem mianowicie miejscu prowadzą się archeologiczne poszukiwania na gruntach dworu litery *c*.

Tak ją raz niespodzianie zeszła starsza siostra i, rzecz szczególna, Frania się zarumieniła.

— Widzisz, Franiu, to również nie jest przyzwoite! — mówiła Fruzia — Stoisz na wysokiem miejscu w jasnej sukience, a tam oto kopią, zobaczą cię niezawodnie i potem obniosą, że wyglądasz na Skałeckiego lub Tatarczanego...

— Dajże mi pokój! — zawołała Frania, pierwszy raz gniewnie na siostrę. — Trudno byłoby znaleźć nacałym świecie nudniejszą od ciebie guwernantkę.

Fruzia nie odrzekła teraz ani słowa, ale kiedy znowu obie znalazły się w pokoju, tak mówiła, zwracając się do matki:

— Głowębym dała, że ten krakowski uczony nie odwiedzi nas dlatego, ponieważ go Frania zraziła do siebie swojem niewłaściwem postępowaniem... Gdyby nie to, bywałby u nas parę razy na tydzień; bo przecież tam u Tatarczanego przyjemnie mu być nie może.

— Czyż taki człowiek ma czas myśleć o mojem właściwem lub niewłaściwem postępowaniu?...—rzekła Frania. — Zdaje mi się, że uczeni

ludzie myślą głównie o nauce, a ci, którzy myślą o tem, jak się zachowuje jakaś panna, są to, poprostu mówiąc,—głupcy...

Fruzia wzruszyła ramiona i uśmiechnęła się z lekceważeniem.

No, a cóż się dzieje z najmniejszymi właścicielami w Noskowicach?

Pługami, własnemi radłami, sochami chłopi zaorali część pastwiska, w czem im też dopomógł i Zatwardziałowicz, dotrzymując przyrzeczenia. Niektórzy z nich posiali tam zaraz ozime żyto, inni oczekiwali wiosny, utrzymując, że się lepiej grunt ten nada pod kartofle lub proso. Dziura, jako rzecznik gromady, widocznie w nagrodę usług publicznych, oprócz przypadającego kawałka nowizny, otrzymał jeszcze sztukę ziemi z urwistym wąwozem. Zimą miejsce to zawalały zaspy śnieżne, w jesieni zaś i na wiosnę wąwóz ów służył za kanał ściekowy, przez który odpływały wody, pędzące ze wszystkich okolicznych wzgórzy. W okolicach Miechowa i Słomnik, w jakich Zielenicach, Racławicach lub Dziemierzycach, wąwozy tego rodzaju wytwarzają wspaniałe krajobrazy, godne pędzla lub pióra myślących i czujących ludzi.

Kawałek takiego dziko romantycznego wąwozu przypadł też w udziale i Szymonowi Dziurze. Bardzo potężne maszyny lub chłop tylko coś z tego zrobić mogą. Ziemię wylizała i wymyła tu woda głęboko na kilka pięter, woda wyrzeź

biła strome ściany, między któremi chciałoby się żyć, bo pięknie tam, choć cicho i spokojnie, jak w mogile. Samej przyrodzie może tylko wiadomo, dlaczego woda, przez wieki rwąc tutaj kawałkami łono ziemi, oszczędziła w samym środku wąwozu jedną wyżynkę, coś w rodzaju świątyni o płaskim dachu, a lepiej może ołtarza, do wysokości którego żaden ludzki kapłan nie dorasta. Patrząc z dołu, widziałeś tam niby wiszący ogród macierzanki, dzwonków, cieciorek, nozdrzyków, poprzerastanych głogami i jałowcem. Rosło to wszystko tam w górze od wieków razem z pokoleniami motyli, a ludzka stopa się nie wdzierała po tych stromych ścianach z litej gliny. I któżby śmiał zburzyć taki przybytek wiekowy, taki ołtarz, wzniesiony na ziemi, jakby na cześć ciał niebieskich, niby druga wieża siedmiu sfer świata?... Głodni zmieniają oblicze ziemi, burzą jedne cuda, aby wznosić drugie.

Szymon Dziura, był to człowiek głodny, spojrzał na tę basztę i pomyślał:

— Jak ludzka pamięć sięga, tam noga człeka ani ludzkiego bydlęcia nie postała.

I zamyślił się Dziura w owym czarodziejskim wąwozie, stojąc pod czarodziejską basztą. Tak się prawdopobnie zamyślali pierwsi ludzie, stojąc na dziewiczej jeszcze ziemi i przedsiębiorąc śmiałe dzieła. Dziura nie upajał się pięknym widokiem, ani myślą nie sięgał w przeddziejowe czasy formacyi owej baszty; myśli takie zostawia się potom-

kom już sytym, dzięki pracy swoich protoplastów. Chłop myślał krótko i logicznie:

— Kiejbym hańten wierzch prosem obsiał, byłaby setna uroda!

Ale jak dojść do wierzchu, zaorać go, obsiać? Tylko ptaki i wiatry uprawiały oraz zasiewały dotychczas cyple tego rodzaju. Ale czegóżby nie dokazała istotna energia? Przecież ona jest tą samą siłą, którą nosi w sobie para, błyskawica, cały świat ruchu i życia, — wszechstworzenie. W duszy Dziury zbudziła się ta wielka siła, bo oto czapę na łbie poprawił, poskrobał się ręką za uchem i przyszła mu do głowy idea bardzo prosta, a jednak wielka, coś w tym rodzaju: „Jeżeli Mahomet do góry nie przyjdzie, to kto wie, czy góra do Mahometa nie zejdzie".

Podkopać tę basztę i zwalić? Zyskać nową piędź ziemi? Być, choćby najmniejszego kalibru Kolumbem, ale zawsze Kolumbem? Oto były pytania, które w jakiejkolwiekbądź formie oblegały umysł chłopa.

Obejrzał podstawy baszty, były w różnych punktach przez wodę podmyte, a w jednem nawet miejscu znajdowała się jama od strony północnej. Dziura włożył tam rękę, ale nie dobrał się do końca jamy. „Kto wie, czy ta jama nie idzie nawskróś? Może powódź wody tędy od północy wpada, a od południa wypływa?" Chłop począł wyszukiwać wyjścia jamy i nareszcie znalazł. Więc woda ułatwiała mu już od wieków zburzenie owej wieży. Pomimo to wszystko je-

dnak, kuszenie się o zwalenie góry, jak na prostego chłopa, było zuchwalstwem. Juścić w ciągu długiego czasu mógłby tego dokonać wespół ze swoją żoną Zośką; ale czyż chłopu wolno marnować pracę?... Dziura, koniec końców był zuchwałym wobec przyrody. Jakże tu dopiero takiemu zuchwalcowi mógł podołać Zawracalski, Tatarczany, Zatwardziałowicz?

Cała ta okolica pastwiska, gdzie się znajdował opisany przez nas wąwóz, nosiła nazwę: „Dyabli Młynek".

Dziura, rozpatrzywszy się w położeniu, zbadawszy wszystkie względy na miejscu, wieczorem już powrócił do domu. Zastał on tutaj na podwórzu babę swoją, zakasaną poza łokcie i poza kolana; uwijała się około drewnianego korytka, przygotowując pożywienie dla dobrze już podrosłego prosiaka. Szymon podszedł także do korytka i patrzył, jak prosię pożerało siekane pokrzywy, obsypane grubą żytnią mąką i zaprawione pomyjkami.

— Dobrze się sprawia, widzę, ten wieprzaczek!—powiedział chłop.

— Chwalić Boga, niczego! — odrzekła Dziurzyna.

— Zośka, mojaśty, nakarmiłaś wieprzka, to dajże i mnie co przetrącić, bom okrutnie wygłodniał, bebechów w sobie ani krzty nie czuję!—mówił Dziura.

— Ciewy i bez cóżeś ty taki znowu głodny; naorałeś się to dzisia w polu, czy co?

— Eee! Miałem ci ja tarapaty gorsze niż oraczka.

— Z czemże takiem? Nie z dziedzicem którym aby?

— Kajta z dziedzicem! Bez mała łeb mi nie spuchnął od zastanowienia.

— Kto cię ta zmiarkuje, co ty gadasz. Wydziwiasz nikiej drugi sołtys... Cóż ja ci dam na jużynę? Jest krzyna kapusty z obiadu, a możebyś wolał kromkę chleba z twarogiem?

— O, na kapustęm dziś łakomy! — zawołał Dziura. — Daj Panie Boże, żeby się tylko w przyszłym roku tak urodziła, jak latoś. Łby ma setne, nikiej krowie bandziochy.

Zośka zastawiła przed mężem warzniczek z kapustą i położyła mu łyżkę drewnianą na stole. Szymon jadł, przegryzająo chlebem, a kiedy skończył, rzekł:

— Słyszysz, pójdziemy jutro od rana oboje kopać!

— Cóż ci znowu wlazło do głowy? Kajże my to mamy na jutro jakie kopanie? Na tę odrobinę ziemniaków, co są w polu, to jeszcze mamy wielgi czas; rychtyk prawie na przyszły tydzień kopać.

— Tać ja ci nie pedałem nic o ziemniakach. Pójdziemy kopać do „Dyablego Młynka!"

— W imię ojca i syna i Ducha świętego, miły Jezusieńku! Cóżeś ty, Szymek, oszalał!...

— Kiej pedam, co pójdziewa, to pójdziewa! Od czegóż ja mam łeb na karku? Nie ty będziesz za mnie o takich rzeczach myślała...

I rzeczywiście, zaraz nazajutrz, od samego rana Dziurowie rozpoczęli podkopywanie baszty na „Dyablim Młynku“. Zośka bo ciągle dogadywała mężowi; najprzód nie wierzyła, aby oni sami we dwoje mogli podkopać taką basztę przed nastaniem mrozów; następnie twierdziła, że choć się i zwali tę basztę, to jednak w jałowej ziemi nic nie urodzi.

Dziura wytrwale znosił docinki żony, postawał tylko czasem, żeby rękawem od koszuli otrzeć pot z czoła, i kopał a kopał. Chłop przedewszystkiem zmierzał do tego, ażeby się można było dokopać do jamy, którą woda głęboko i szeroko wydrążyła.

Kopanie owo szło z niezmierną zawziętością; entuzyazm męża udzielił się żonie i oboje pracowali za dziesięcioro.

Nareszcie przed samym zachodem słońca, Dziura pchnął nieostrożnie rydlem, który wypadł mu z ręki i wpadł w jamę, ponieważ już dokopano się do otworu. Chłop słyszał wyraźnie, jak narzędzie jego pracy stuknęło o dno jamy.

— Masz zarobek!—zawołała Dziurzyna, przystając. — Kajże teraz szukać łopaty... Pacnęła gdzieś, jak w studni.

Szymon pochwycił rydel żony i przekopał do reszty ścianę; teraz ujrzał czarną jamę; zastanowił się, czyby nie wskoczyć; ale mu Zośka odradzała mówiąc:

— Szymek, szczerze ci pedam, co mnie tutaj taki jakiś strach przejmuje, że o kęs bez to nie dygotam.

— No, a czegóż się ty głupia masz znowu strachać?

— Czy to w takiej jamie nie może złe siedzieć?... Jeszcze do chałupy co sprowadziewa?

— Nie wymawiałabyś lepiej onego słowa...— rzekł Dziura; ale zachciało mu się wobec żony udawać junaka, choć sam poczuł także w sobie jakąś niewytłomaczoną obawę. Spojrzał w jamę i chłód ztamtąd nań wionął.

— Widzi mi się dno doźrałem — powiedział— weskoczę tam do wnętrza.

— Nie weskakuj, bo możesz nie wyniść!—zawołała Dziurzyna.

— Coby nie, kiej rychtycki dno widzę! — i z temi słowy Szymon Dziura spuścił się do jamy.

Kiedy się znalazł wewnątrz, zaczął pokrzykiwać: „Hop, hop! A potem pytał z dołu:

— Zośka, słychać tam głos mój w górze?

— Juści słychać, drzesz się, nikiej szalony!

— Dół ci tutaj wielgi, niczem dworska piwnica na ziemniaki; zwaliliby ich tu wszystkie z całych Noskowic...

— A no, kiej takie duże dolisko, to wyłaźże z niego duchem, bo się tam jeszcze zawieruszysz...—rzekła baba, niespokojnie zaglądając w jamę.

— Widzisz mię też tutaj, Zośka, ztamtąd?—zapytał chłop.

— Co niebądź widzę... Tylo koniuszek łba twego dożry... Wyłaź, mówię ci! Po co masz darmośnie drepcić po jamie, abo w niej przesiadywać?

— Bo mi to tu jaka krzywda!—odpowiedział Szymek, rad, że się baba nieco o niego boi, a on się niema czego lękać.

— Frygnijże mi łopatę, co tam spadła!—zawołała Zośka.

— Dyć jej jeszcze nie nalazłem; ale mam tu jakoweś blachy—mówił Dziura—to ci je tam sygnę do góry, ino się ze łbem schowaj, żebyś co nie oberwała!

I wyrzucił w górę jakiś kawałek starej, zardzewiałej blachy; potem jeszcze wyrzucił—drugi, trzeci i czwarty, a nareszcie—rydel.

— Psiakość!... — krzyknął. — Nastąpiłem ci kciukiem na coś ostrego i ościonem sobie do kości paluch...

Po chwili znowu wyrzucił długie i ostre żelazo, jakby miecz, wołając:

— Zośka, smyrgnąłem ci ta tera pałantasz—trzymaj!

Kiedy tak już nawyrzucał z jamy dużo różnych sztuk, począł się nareszcie gramolić do góry; wydobycie się przychodziło mu jednak z wielkim trudem, ponieważ woda poobrywała ścianę na samym dole w kierunku nieco pochyłym ku wewnątrz. Już, już był blizko wierzchu, gdy się glina oberwała i znowu spadł do dołu.

— Rany boskie!... — nie mówiłam ja ci, żebyś nie właził?—powiedziała Zośka—da to kto radę takiemu nieusłuchanemu chłopu?

— Ciśnijże mi tu napowrót łopatę, com ci ją już wyrzucił; to sobie porobię schodki — zawołał Dziura.

— Jeszcze się z łopatą zapadnie kaj pod ziemię—mruczała Dziurzyna i rzuciła mężowi rydel do jamy.

Teraz Szymon począł sobie już pomagać i z wielką biedą wydostał się na ścianę ku wierzchowi; tutaj ściana ta była na tyle wypukła, iż mógł spocząć; ale w dalszym ciągu znowu należało sobie zrobić parę schodków, aby się wydobyć. Począł więc kopać i natrafił rydlem na jakiś twardy przedmiot; brzęknęło i wydobył ze ściany coś osobliwego, wyrzucił to znowu na górę. Nareszcie wyszedł z jamy, cały był w pocie, a krew płynęła mu z nogi zranionej.

— Wiesz ty co, Zośka, tam musi być dużo tej blachy—mówił i począł oglądać powyrzucane z jamy sztuki; wziął do rąk długie żelazo, widocznie stary miecz. — Toć to takusieńka siabla,

jak ziandary noszą, tylko ta musiała być robiona dla chłopa zmachy...

— A to drugie, co też być może? — pytała Zośka, ukazując ręką na stary hełm. — Skopek, garcówka, czyś coś takiego?

Dziura popatrzył na wskazany sobie przedmiot i, udając znawcę rzekł:

— Widzi mi się—stare jakieś żelaziwo, musi z dawien dawna stojał w tem miejscu ślachecki lamus, kaj dworzscy ludzie składali rozmaitości, szytko, co nie było kuli użytkowi...

— I po cóżby oni takie rzeczy robili? — zapytała Dziurzyna.

— Nie wiesz to, jak bywa po dworach? Ugadnąć człek nie może, do czego im niejedno służy. Choćby nie przymierzając do takiego pieca, to ci są we dworze przeróżne maszyny: abo węgle wyjmować, abo sobie w ogniu grzebać. Na ten przykład, jak się świeca pali, to ślachcic nikiedy knota z niej palcem nie zdejmie, ino ma zaraz do tego cudaczną maszynę. Tako jest i w innych rzeczach... Jeszcze u nas w Noskowicach— nie takie dwory! Gdzie im do tego, jak kajindziej...

Rzeczy, znalezione przez Dziurę, były to niewątpliwie części starego rycerskiego rynsztunku; woda w czasie wylewów wiosennych, obrywała wewnątrz jamy ścianę opisanej przez nas baszty, a co się w ziemi znalazło, to spadało na dno groty.

Dziura powziął myśl szczególną, ażeby sobie na głowę włożyć stary hełm; potem ujął w rękę

długi miecz i począł nim naokoło siebie wywijać, tak że aż powietrze świszczało.

— Bójże się ty Boga, Szymek, takeś się rozeggził, żeś mię o włos w łeb nie trzasnął tą żelazną gandziarą!—zawołała Zośka, odskakując na bok od męża.

— Zośka! — zawołał Dziura, wywijając mieczem na prawo i na lewo.—Ja taki jestem, że jak mię ręka zaświerzbi do bicia, to Chryste Panie!.. Patrzajno się, ta siabla je ciężkawa, nikiej ćwiartka żyta, a lata mi wele głowy jak chabina... Oj, zdzieliłbym kogo po łbie, żeby się tak ze mną chciał popróbować!..

— Nie wstyd cię też, starego chłopa, wyprawiać takie rozpusty! — mówiła Zośka, strofując męża. — Niechby tak kto z gromady uwidział, zrobiłby z ciebie na pewnika pośmiewisko...

— Mojaś ty, co ty pedasz — hę?... Żebym ja był wojakiem, tobym tak walił nieprzyjaciół po łbach, ażby trzeszczały! — wołał Dziura, zapalając się coraz bardziej. Poskoczył ku krzakom jałowcu i ścinał jeden po drugim, to znowu rzucał się na ściany wąwozu i rąbał je, choć przecie był zmęczony robotą, trwającą od rana.

— O raju, raju! Święci pańscy!... Czy ty Szymek ziartujesz, czyś odrazu tak zgłupiał, że nijak ci do rozumu trafić nie można?...

— Pedam ci, co mi się chce kogo ućciwie ściągnąć bez plecy, abo li też skropnąć po łbie!..

A jakbym już dopadł, tobym mordował bez żadnego litosierdzia.

— Widziane rzeczy! —zawołała Zośka, którą po części bawił ten zapał męża, ale uważała sobie za obowiązek żony udzielać mu odpowiednich nauk.—Żeby tak napił, toby mi żal nie było; ino dyć po trzeźwu psia para szaleje!...—a zwracając się do małżonka, rzekła: — Kusi cię widzę niedobre, widno zachyciłeś nieczystego powietrza w owej jamie.

Przemowy tego rodzaju, ustatkowały nieco rycerski entuzyazm Szymona; ale miecz stary trzymał on ciągle w ręku, jakby mu rękojeść przyrosła do dłoni, hełmu też wcale nie zdejmował z głowy. Zośka zebrała w zapaskę różne stare blachy, Dziura dorzucił jej jeszcze swoją magierkę, poczem puścili się w drogę ku chałupie. Tak wyszli oboje z wąwozu i znaleźli się na szczycie wzgórza najwyższego w Noskowicach. Było to zaraz po zachodzie słońca i na pogodnem wieczornem niebie ku zachodowi odrysowały się powiększone postacie Dziury oraz jego żony. On szedł w zgrzebnej koszuli, przepasany wązkim rzemykiem, w hełmie na głowie i ze starym mieczem w ręku. Właśnie z przeciwnej strony od kopania powracał także Skałecki z Tatarczanym a droga im tak wypadała, że przez pewien czas musieli się ciągle zbliżać do małżonków Dziurów, zanim ci ostatni zeszli na dół ku wsi. Wieś leżała w dole, mrok zupełnie już padł na nią, gdzie

niegdzie tylko z komina chałupy wiła się ku niebu prostopadła kolumna błękitnego dymu.

— Dzisz ty, Szymek, dyć ślachta ku nam idą, zdejmijże ze łba to blaszane wiaderko, bo mię wstyd za ciebie—mówiła Dziurzyna.

Ale Szymon nic nie odpowiedział żonie i hełmu nie zdjął z głowy.

Przyszło nareszcie do spotkania się obu par, których drogi przecinały się prawie pod prostym kątem.

— Niech będzie pochwalony!—rzekł pierwszy Dziura, a kiedy obaj szlachcice uchylali czapek, on też podniósł na głowie ciężki hełm.

Rzecz prosta, iż Skałecki, który już zdaleka obserwował dziwną postać, zaraz się przyczepił do chłopa; obejrzał miecz, hełm, blachy w zapasce Zośki i począł się wypytywać o szczegóły tego odkrycia. Szymon atoli uśmiechał się jakoś podstępnie, a postawione sobie pytania zbywał tylko pomrukiwaniem, wstrząsaniem głowy i t.d.; trącił nawet nogą Zośkę, dając jej w ten sposób do zrozumienia, aby się z czem nie wygadała.

— To jest już archeologia historyczna—mówił krakowski uczony do Tatarczanego.—Właściwie mówiąc, ja się takiemi rzeczami wcale nie powinienem zajmować; ale znam się na tem nieco i nabyłbym te oto sztuki dla hrabiego Krajpolskiego, który zbiera tylko same zbroje z czasów historycznych...

Następnie Skałecki prosił Dziury, ażeby się pozwolił odwiedzić jutro rano i przy świetle dziennem dał obejrzeć znalezione przedmioty.

Kiedy już Szymek i Zośka schodzili na dół ku wsi, on pierwszy odezwał się do żony.

— Tać ten ślachcic oczywiście chce kupić odemnie onę kupę żelaza.

— Eee, gadanie! Bez ciekawość tylo chce obeźreć—odrzekła Dziurzyna.

— Juści, ty mię będziesz uczyła!... Toć, kiej chłop uźry na jarmarku cnotliwe bydlę, a chce je kupić, to mu się rychtycki ślepie tak połyskują, jak onemu ślachcicowi do mojego żelaza.

— No, a cóż ta warte takie twoje żelazo! Podkowy z tegoby nie zrobił — rzekła z lekceważeniem Zośka.

— Kto ta może wiedzieć!.. Drugi za lada co da kilka złotych—odpowiedział Dziura.

XVIII.

Nazajutrz, wczesnym rankiem już Skałecki w towarzystwie Tatarczanego nawiedził chatę Szymona Dziury.

Obejrzeli tutaj hełm, miecz, porozrywane części pancerza i dopytywali się natrętnie, zkąd chłop to wszystko. wydobył — Jak utrzymywał Skałecki — w tem samem miejscu dałoby się niezawodnie odnaleźć brakujące części zbroi, coby — naturalnie — znacznie podniosło wartość znalezionych przedmiotów. Jednakże Szymek i żona jego nie chcieli nic mówić.

— Jabym kupił od was, gospodarzu, tę starzyznę... — powiedział krakowski uczony.

— A siłażby pan cenił? — pytał Dziura. — Jest tego wszystkiego sporo, więcej niż pół centnara wagi.

— Dam wam pięć rubli, wiele więcej te rzeczy nie są warte — rzekł Skałecki.

Na te słowa Dziurze tak zabębniło w piersiach serce, że o mało się nie przewrócił na ziemię; chłop bowiem nigdy sobie nie wyobrażał, aby ta

zardziewiała blacha mogła być warta pięć rubli. Niebawem wspomniał, iż człowiek sprzedający rzecz jakąś powinien być twardy, wstrząsnął przeto głową, jak gdyby mu postawiona cena nie dogadzała.

Skałecki zaś znowu się zabrał do oglądania zbroi i postąpił Dziurze jeszcze rubla.

Ale chłop i tą razą wstrząsnął głową; miał jednakże już teraz przekonanie, że stara blacha widocznie jest dosyć warta, skoro kupiec chce dobić targu. Archeolog dawał nareszcie siedem rubli, Dziura ceny również nie przyjął i kupiec odszedł.

— Może im trza było ci sprzedać, kiej chcieli dać już taką kupę pieniędzy... Jak oni takich rzeczy potrzebują, to sobie je gdzieindziej kupią, a ty ostaniesz z temi gratami .. — mówiła Zośka, robiąc mężowi wyrzuty iż się drożył.

— Czym ja to nie zmiarkował, co jak wygrzebię jeszcze więcej takiej blachy, to mi odrazu mogą zwalić tyle pieniędzy, że na Skalmierskim jarmarku na kupno krowy starczy — odrzekł Dziura.

— Tać za siedem rubli, jużbyś mógł oto przykupić świnkę do pary temu wieprzaczkowi!... — zawołała Dziurzyna

— Ja wolę porząmną krowę, cielną! — rzekł Szymon. — Będę ci ta świnie skupował, co ino psie miso, szkodują po polu! Prawie mieć jedne-

go wieprzka przy chałupie; dwojgu nie wystarczylibyśmy na zimowanie...

— Dyć dla drugiej krowy też nie starczy pomyj, ani ostrużyn; myślisz, że jej stworzę żarcie?...

— Na krowę nie żal się przepomódz, a w potrzebie i od gęby se odjąć; mleko daje, cielę odda a ze świni lata czekaj na pożytek.. Zwyczajnie, chlapie beżskurcya i chlapie. Nie dać temu pojeść, to kwiczy psia dusza, aż się człeku serce ściska.

Wypowiedziawszy swoje zdanie, Dziura obejrzał znowu stare blachy, pokiwał nad niemi głową, potem włożył wszystko do skrzyni, zamknął na klucz i na skrzyni usiadł; oparł łokcie na kolanach, głowę włożył w obie ręce i tak się czegoś zastanowił.

— Szymek, nad czemże ty tak medytujesz?— zapytała Zośka.

Rozmyślam a to że jakbyś mi wnetki strawy uwarzyła, tobym duchem zjadł i poleciał do „Dyablego Młynka“ na kopanie. Tam mogą być różności, ino się trza cichaczem sprawiać, żeby się ludzie nie zwiedzieli...

— Nie medytujże już, aby ci się od ciężkiego rozmysłu do łba co złego nie przyplątało! — mówiła znowu Dziurzyna.

Ale Szymon jeszcze głębiej utopił głowę w rękach, palce zapuścił w gęste kłaki i nic nie odpowiedział żonie.

Na nalepie tymczasem zapłonął ogień; kilka kokoszek, przechadzało się po izbie, a z pod nalepy od czasu do czasu wyskoczył królik i, szybko poruszając wargami, gryzł znalezione ostrużyny z kartofli, potem bił tylnemi nogami o ziemię i uchodził do nory.

Szymon przyglądał się zwierzętom, nareszcie zawołał;

— Zośka, słyszysz ty, ugotuj mi dzisiak żuru na królu!

— Widzicie ludzie, nie pedziałam ja, co tobie od myślenia ino głupota przychodzi do głowy!... Czyś to już tak w chałupie rozmnożył króle, żebyś ino myślał, jak je zjadać? — wołała Dziurzyna.

— Mówię ci, ugotuj mi dzisiaj żuru na mięsie z króla, okrutnie mi się zachciało!...

Zośka trzymała w ręku kozik, dopiero co obierała karofle, a ręce miała mokre i zawalane; słysząc rozkaz męża, wyrzeczony stanowczym głosem, rzuciła kozik, poczem podeszła do Szymona, pogłaskała go po policzku, mówiąc:

— Jakeś ty mój, Szymek, nie przykazujże mi dzisiaj zabijać króla...

— Takiej belejakiej gadziny i żałujesz mi, kobieto! — mruczał Szymek, który już, już, miał wybuchnąć gniewem, ale pieszczota żony wybuch

uprzedziła. Zościzyne głaskanie mokrą ręką po policzku sprawiało Dziurze niezmierną przyjemność.

— Widzi mi się, co na dzisiaj, ksiądz post zapowiedział z ambony w niedzielę. Nie pamiętasz ty tego?...—rzekła baba, jakby chciała mężowi osłodzić przykrość, iż mu odmawia żuru na mięsie królika.

— Mam takie rzeczy pamiętać! Dobrze to pamiętam tylo, żem w gębie nie miał mięsa od niepamiętanych czasów. Ale kiej się ta zdrygasz, niechże będzie, jako sama chcesz.

Teraz z kolei rzeczy Zośce znowu zrobiło się przykro, że mąż na jej przedstawienie wyrzekł się jednej z większych przyjemności życia; niby to nastawiała kartofle, krzątała się koło nalepy, a w gruncie rzeczy nie wiedziała sama co robi,—tak jej żal było Szymka, zrzekającego się żuru na mięsie. To też naraz położyła się na ziemi do góry grzbietem i wlazła pod nalepę, gdzieś tak głęboko, że w izbie widać było tylko parę bosych i czerwonych jej nóg. Dziurzyna ścigała w norach króliki; schwyciła jednego z nich za kark i wylazła nareszcie z pod nalepy.

— Cóż ty znowu zamyślasz robić z tym królem?—zapytał Dziura.

— Nie wiesz to co?... Po cóżbym go chytała? Widzę przecie, co ci markotno bez mięsa...

— Nie ubijaj!... — krzyknął Szymek i porwał się na równe nogi ze skrzynki, spiesząc na ratunek królowi.

Ale Dziurzyna właśnie zadała zwierzęciu pięścią cios między uszy tak energicznie, że królik natychmiast ducha wyzionął. Kiedy chłop podszedł zblizka, podała mu zabite zwierzątko i rzekła:

— Oprawże go sam — ściągnij przynajmniej porządnie skórkę, bo ja nie potrafię; zawsze z półtora czeskiego dostanie za nią od żyda.

Dziura wziął do rąk kozik i począł z królika zdejmować skórkę.

* *
*

Wieczorem powrócił Szymon do domu z Dyablego Młynka" i tak mówił do swojej baby:

— Oj kobieto, toć nam obojgu iść tam trzeba z płachtami; blachy jak nabił, ledwo oboje zabierzewa to wszystko w zajdy!...

— Może?... Ciekawe rzeczy, co teraz będzie ci chciał za tô płacić hańten ślachcic? — mówiła Zośka.

Poszli przeto i znieśli wszystko do domu, co Dziura znowu w jamie znalazł.

Nazajutrz już sam Szymon poprosił do siebie Skałeckiego.

Uczony, na widok nagromadzonego bogactwa rycerskiej zbroi, zadziwił się nadzwyczajnie i tak przedstawiał Dziurze:

— Mój gospodarzu, posiadacie bardzo piękne rzeczy, za które otrzymacie najniezawodniej znaczne pieniądze. Ja tu nie będę tego oceniał; ale napiszę do Krakowa, zkąd przyjedzie taki człowiek, który się na tem zna doskonale i poszukuje takich właśnie rzeczy; on już i obejrzy i oceni, a jeżeli tylko będziecie chcieli sprzedać owe blachy, najniezawodniej je zakupi.

Zaświeciły się Dziurze oczy z radości, gdy usłyszał te słowa i złożył Skałeckiemu do samych stóp ukłon wdzięczności; poczem rzekł:

— Może pan miarkuje, ile to może być warte...

— Wartość może być duża; jest to bardzo stara zbroja z kilku rycerzy... Każde muzeum chętnieby to zakupiło.

— Żeby sobie pan ino nie zabaczył napisać takiego pisma do Krakowa—rzekł Szymon.—Coby nie poszło w odwłokę, to jabym już dziś zarazicki poleciał na pocztę do Koszyc, czy do Skalbmierza.

— Już bądźcie spokojni, ja list zaraz napiszę i bez waszego nalegania, ponieważ mnie samego sprawa ta obchodzi.

Jakoż Skałecki, jak tylko powrócił do dworu pod literę c, zabrał się natychmiast do pisania listu pod adresem hrabiego Bolesławawa Krajpolskiego; ponieważ Dziura naparł się koniecznie, aby z pismem iść na pocztę, więc poszedł.

XIX.

Nareszcie Skałecki pożegnał Tatarczanego, podziękował mu za gościnność i przeniósł się pod literę *a*, do domu państwa Zatwardziałowiczów. Tutaj wszyscy mu byli radzi, a szczególniej też Frania; dziewczyna miała jak najlepszy humor — śmiała, otwarta, naturalna wnet zawiązała z archeologiem bardzo poufałe stosunki; biegała z nim sama jedna w pole, do ogrodu, wybuchała nieraz w domu głośnym śmiechem, a rozmawiała teraz tak dużo, że Fruzia stała się dla niej bardzo gorzką.

Pan Dyzma obecnie już tylko południowe godziny przepędzał na ganku, a i na ten krótki czas niezawsze mógł się dowołać na Franię, aby mu towarzyszyła. Jednego dnia musiano po dziewczynę posłać służącą daleko w pole; Zatwardziałowicz przywoływał jej bowiem kilka razy i bardzo się niecierpliwił. Frania przybiegła nareszcie, była zarumieniona, pomieszana. Ojciec widząc ją taką, zniecierpliwiony, iż nie przybyła na pierwsze wezwanie, począł łajać, mantyczyć. Dziewczyna była roztargniona, nie

słyszała prawie wyrzutów, ojca, poskoczyła do niego, rzuciła mu się na szyję i pocałowała go tkliwie w czoło. To rozbroiło nieco pana Dyzmę, spojrzał córce uważnie w oczy i zauważył w nich jakby łzy.

— Co ci jest, Franiu?— zapytał.

— Niech mi się tatko nie pyta!.. — odrzekła córka, usiłując się uśmiechnąć.

— Jakto? Dlaczego nie mam ci się pytać? Spotkało cię co złego? Mów!

— Broń Boże, niema nic złego, wszystko jest bardzo dobrze i z tego właśnie powodu nie jestem zadowolniona...

— Ale o cóż chodzi?

— Że się też to tatko nie domyśla! Jakbym miała swoją własną córkę, musiałabym wiedzieć wszystko, co ona myśli...—zawołała Frania.

— Głupiaś! — rzekł pan Dyzma — Zawsze ci pstro w głowie. Mówże mi zaraz, co zaszło!

— Powiem najprzód w krótkości: Skałecki mi się oświadczył, powiedział, że mię kocha...

— Cóż ty znowu pleciesz?— krzyknął Zatwardziałowicz, aż mu oczy zbielały. Potem zerwał się na równe nogi, zupełnie jak w owej chwili kiedy wybił cybuchem Herszka Knota.

— A czegóż się też tatko tak złości? Cóż to pomoże?... Już się stało! Ja wiedziałam dawno, że do tego przyjść musi, że ona mię kocha, ale nie spodziewałam się, ażeby się tak śpieszył i dla-

tego właśnie jestem niezadowolniona... Wolałabym, żeby dłużej nic nie mówił...

Mówiąc to, wzięła ojca za obie ręce i patrząc mu w oczy, posadziła na ławce.

— Dziewczyno, ty nie rozumiesz tego, co zaszło!... To są rzeczy!...—I panu Dyzmie ugrzęzły wyrazy gdzieś w gardle.

— Daję tatce słowo, że rozumiem wszystko wybornie!...—rzekła Frania.—Dawno to już wiedziałam, że zostanę kiedyś żoną, że będę miała męża, a później zapewne i — dzieci... A muszę tatce szczerze powiedzieć, iż takich bardzo maleńkich dzieci wcale nie lubię.

— Bójcie się państwo Boga, co ona bredzi! Oszalała, czy co?.. —Pan Dyzma zrobił się żółto zielony na twarzy, oczy mu zwypuklały, broda się trzęsła, a ręce machinalnie chwytały za sznury od szlafroka.

— Ja ojcu mówię wszystko bez ogródki!—powiedziała Frania.—Stało się! Cóż robić?... Będzie tatuś miał zięcia; zdaje mi się, że bardzo porządny człowiek...

— Dosyć tego błazeństwa!... — zawołał Zatwardziałowicz, chwytając córkę za rękę.—Opowiadaj mi, jakie to były oświadczyny, jak on śmiał... I znowu nie mógł skończyć zdania, tak go coś dławiło.

— Proszę tatusia być spokojnym tylko, to opowiem wszystko jedno po drugiem... Oto, poszłam z panem Skałeckim najprzód do ogrodu—

powinnabym go już teraz nazywać Stasiem;—ztamtąd wyszliśmy na pole i tak jakoś w jednej chwili znaleźliśmy się pod lasem; rozmawialiśmy o przeróżnych rzeczach, a ojciec wie, że on bardzo ładnie mówi. Naraz przyszło mi coś do głowy, żeby go zapytać, czy on kiedy kochał jaką dziewczynę i zapytałam... Czy ja sobie też nawet mogłam pomyśleć, żeby Skałecki, zamiast odpowiedzieć na moje pytanie, natychmiast uklęknął przedemną, pocałował mię w rękę i rzekł: Pani jesteś pierwszą i ostatnią kochaną przezemnie! Potem znowu mię w rękę pocałował drugi raz, trzeci,—nie pamiętam, czy może i czwarty raz.. Usłyszałam, że mię służąca woła—panienko, panienko! Poczęłam prędko biegnąć do domu, powiedziałam mu więc tylko parę razy: dobrze, dobrze!...

— A cóż to za waryatka!... — mówił Dyzma, sapiąc.—Spisała się jak ostatnia kokietka!... Kto ciebie tak wychował?.. Bo ani ja, ani matka... Przecież Frusia jest zupełnie inna... Straszne rzeczy! Jak można włóczyć się z młodym człowiekiem po polu pod lasem?... Pytam, zkąd taki przykład?

— Ale cóż tatko widzi w tem tak strasznego? Dla czego mię tatko nazywa kokietką? Czy ja mu się to narzucałam? Prawda, że ja go kochałam i kocham; wcale się tego nie wypieram, a sama nawet nie wiem dla czego byłam pewna, że on mnie także kocha... Zresztą przecież każdej

pannie musi się ktoś oświadczyć, zanim ta panna zostanie żoną. Jabym była wolała, żeby mię pan Stanisław kochał i nie oświadczał się jeszcze; to też sama jestem z tych oświadczyn niezadowolniona...

— Saaluś!... Saluś!... — krzyknął donośnym głosem pan Dyzma, przyzywając żonę na pomoc do walki jakby z córką.

Pani Salomeja, usłyszawszy głos męża, porzuciła jakieś gospodarskie zajęcie i niebawem stanęła w ganku, ogarniając pytającem spojrzeniem to męża, to córkę. Zatwardziałowicz przybrał jeszcze poważniejszą fizyognomię i rzekł, wskazując palcem na Franię:

— Niechże ci ona sama poda ten pasztet, który nam przygotowała!... Zdaje się, iż pomimo starań, nie wychowaliśmy córki jak należy... Wychodzi bowiem prawie na to, że się młodemu człowiekowi narzuciła sama, że mu się oświadczyła...

Zatwardziałowiczowa wytrzeszczyła oczy, wpatrzyła się we Franię, była jak skamieniała, nawet nie wiedząc jeszcze, o co chodzi.

Dziewczyna przemówiła pierwsza:

— Nie rozumiem, czego wszyscy chcą odemnie! Ile razy się odezwę, łają mię, a szczególniej Fruzia; ile razy ja co zrobię, to wszyscy ganią... I łzy błysnęły dziewczęciu w pięknych oczach.

— Bo cię kochamy, moje dziecko! — rzekła z powagą pani Salomeja. — Bo dobra twego pra-

gniemy!... Domyślam się, że ojciec udziela ci właśnie nauk z tego powodu, iż twoje zachowywanie się względem pana Skałeckiego jest uderzająco rażące...

— Tatko się na mnie gniewa o to, że mi się pan Stanisław oświadczył, powiedział, iż mię kocha... To przecież nie może być powodem... — mówiła Frania.

— Chryste Panie, co ja słyszę! — zawołała pani Salomeja. — Zawszem strofowała Fruzię, że ona zanadto potępia twoje postępowanie; ależ teraz widzę, widzę już dobrze. Fruzia jest bardzo roztropna dziewczyna, ma zupełną racyę... Do czego doszło! Oświadczył się, zaledwo parę razy widząc pannę? Kto kiedy słyszał takie rzeczy?... Co z tego wszystkiego będzie?

— Nic nie będzie, moja mamo! — powiedziała Frania. — Pan Skałecki mię kocha, ja go także kocham; ale jak sobie rodzice nie życzą tego małżeństwa, można mu to przecież powiedzieć i koniec... Byłaby to dla mnie wielka przykrość, lecz cóż robić; on niezawodnie sam będzie prosił mamy i tatki o moją rękę...

— Moja żono, słyszałaś ty kiedy w życiu, żeby się kto oświadczał pannie w polu pod lasem?... — odezwał się pan Dyzma, kładąc nacisk na ostatnie wyrazy.

— Proszę tatki, byłoby to samo, gdyby mi się oświadczył w pokoju lub w ogrodzie... Ja powiadam, żem sama z tego niezadowolniona; wolała-

bym, żeby się we mnie kochał, a oświadczyny na później odłożył...

W ganku panowało teraz głuche milczenie; Zatwardziałowicz siedział wyprostowany, poruszał wąsami i spoglądał w dal przed siebie; pani Salomeja zakryła sobie twarz rękoma; Frania spuściła w dół oczy i wyskubywała nitki ze swej sukni. Na to wszystko weszła do ganku Fruzia, spojrzała po rodzicach, po siostrze, uśmiechnęła się lekko, wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Powtarzałam to zawsze, że taki trzpiot, jak Frania, nawarzy kiedy piwa sobie i wszystkim, skompromituje rodzinę“; poczem odeszła.

Nagle a najniespodziewaniej pierwsza Frania przerwała milczenie, mówiąc:

— Bardzom ciekawa, jak i gdzie się też tatko oświadczył mamie?

Pan Dyzma rzucił najprzód zjadliwy wzrok na córkę, poruszyły mu się nozdrza, potem wargi; widocznie nie mógł zrazu przemówić ani słowa; nareszcie krzyknął:

— Co to jest?.. Jak śmiesz rodziców swoich in.. da... da... da... gować?... Ty, knocie, smarku... ku... lo!...

Ale Frania najspokojniejszym głosem rzekła znowu:

— Ja się pytam, bo gdybym wiedziała, jak się w takim razie zachowała mamusia, zrobiłabym tak samo... Przecież ja zawsze wyjść kiedyś za

mąż muszę, więc pragnę wiedzieć, jak się to za mąż wychodzić powinno *właściwie* i *przyzwoicie*...

— Jesteś cielę!..—krzyknął rozzłoszczony Zatwardziałowicz, a wyraz *cielę* rozległ się po całym domu i po dziedzińcu.

W tem wszedł na ganek Skałecki, spojrzał po zgromadzonych tutaj członkach rodziny, musiał zauważyć kwasy, rozlane na fizyognomiach ojca i matki, bo się bardzo zmieszał i nie wiedział, co ze sobą zrobić. Atoli Frania natychmiast się odezwała:

— Bardzo dobrze, że pan przyszedł w samą porę; wszyscy są przeciwko mnie za to, co się stało! Ja sobie tu rady nie dam... Niechże pan opowie tatce i mamusi wszystko!..

Archeolog zaczerwienił się po same uszy; ale gdy spojrzał na pełną łagodności i spokoju twarzyczkę Frani, odzyskał natychmiast przytomność umysłu.

— Franiu, wyjdź ztąd!...— zawołał ojciec głosem bardzo stanowczym.

— Mój tatku, czy to dobrze będzie, abym ja ztąd wychodziła wtedy, kiedy głównie o mnie chodzi i o mnie a bezemnie będziecie radzili?...

XX.

Pod koniec listopada nigdzie już w Noskowicach nie było żadnego kopania. Po niebie popielatem przeciągały szare chmury, które nieustannie zaczerniały się na zachodzie; pędził je nieraz ponad niwami gwałtowny wicher, który złośliwie świszczał po polach, a wpadłszy w kominy chałup lub dworów noskowickich, grzmotem i wyciem się rozlegał. Tego wściekłego gońca natura nam późną jesienią na świat przysyła, ażeby dzieci po chatach straszył, liście z drzew w sadach i lasach obrywał, snopki na strzechach jeżył, przewracał stare płoty i budy. Ziemia wygląda jak zmokła kura. Po ścianach wąwozów wszystko oślizgło, rozmiękła glina tu i owdzie lawą się leje; na krzyżu przy drodze, obitym przez deszcze, wrona rozczochrana kracze. Drogi połyskują kałużami, które świecą jak ołowiane ślepie wśród czarnego błota, a na ścieżkach widzisz pełno odcisków stóp ludzkich i zwierzęcych, które pomieszane tworzą dziwne desenie. Tak przed zimą opłukują się w kąpieli zimnej

łany, ażeby się potem otulić w rańtuchy przeczystego śniegu i w nich kostnieć, drzeć od zimna, aż do wiosny. Takie to wszystko jest piękne, że dałoby się wyrazić symbolami i mógłby powstać religijny kult jesieni. Atoli ludzie na skalbmierskiej ziemi, choć niewątpliwie pochodzą od aryów, zbyt wiele mają kłopotów, ażeby skinienia przyrody wcielać w fantastyczne formy. Cóż oni robią w takiej porze? Oto, wraz ze swojemi trzodami uciekli z pól, łąk i lasów do miejsc nakrytych dachami; czasem tylko za jakimś pilnym interesem, poślizgując się na prawo, na lewo w tył i naprzód, przebiegnie bokiem drogę baba, bosa i wysoko podgięta, lub chłop zakasany pod kolana.

Urocze latem Noskowice, smutno więc wyglądały w jesieni.

Jednego niepięknego dnia w tej smutnej porze, gdzieś jeszcze daleko od wsi, rozległ się głos trąbki pocztowej. Pocztylion widać lubił trąbić, może i był kawałkiem artysty, bo zaledwie jedno skończył, już drugie wytrębywał i dobrze każdemu znane „tra ta ta ta“ leciało, jak na skrzydłach, do Noskowic. Potem ucichło, aż znowu zabrzmiało huczniej, już raźniej w samym środku wsi.

Tu i owdzie skrzypnęły drzwi od chaty, a na progu stanął chłop, baba, dzieciak w jednej koszuli, zsiniały od zimna, z usty otwartemi od podziwu.

Szymon Dziura, w dni takie słotne, lubił, jak mawiał, strugać różne rzeczy; właśnie więc teraz zasiadł na środku izby i pobijał faskę na groch, która się była w komorze zeschła i obleciała z obręczy. Nie jest to łatwe zadanie zebrać pomięszane klepki, dobrać je należycie, zestawić i obręczami ścisnąć tak, jak się patrzy. Szymek, trzymając faskę między kolanami, wstawiał już ostatnią klepkę, kiedy około jego chałupy nagle zabrzmiało „tra ta ta ta“. Drgnął, ponieważ sobie przypomniał, że mógł akurat jechać ów pan, spodziewany z Krakowa, który prawdopodobnie zakupi od niego starą blachę; ale chłopu niepodobna było wyjrzeć, gdyż faska, pozbawiona jego opieki, rozleciałaby się znowu i miałby powtórną robotę. Będąc w takiem położeniu, wołał tylko na żonę:

— Zośka, wybież no przed chałupę i zobacz kto taki jedzie?

Jednakże i Dziurzyna była w komorze niepospolicie zajęta, ponieważ wlazła właśnie do beczki, gdzie przydeptywała kapustę, mającą się kisić; nie mogła się przeto pokwapić i żądaniu męża na wyskok zadosyć uczynić—z beczki nie jest łatwo babie wyleźć, a ta trąbka tak rżnęła kuranta, aż się szybki okien trzęsły w chałupie. Co więcej, w izbie słychać było wyraźnie stąpanie kopyt końskich, pluszczących w biegu po błocie. Dziura nie zdołał się oprzeć naciskowi słuchowych wrażeń, puścił faskę, która się do

szczętu rozpadła i wybiegł na próg przed chałupę.

Drogą sunął kryty powóz, zaprzężony wzdłuż po krakowsku w cztery konie; na koźle siedział pocztylion w galowym świecącym kapeluszu, w ciemno-zielonym płaszczu i z biczem w ręku; przy nim człowiek w ciemno-niebieskiej liberyi, ze świecącemi guzami, a na naręcznym lejcowym koniu drugi znowu pocztylion z trąbką przy ustach.

Chyba już od bardzo dawnego czasu nie oglądały Noskowice takiej parady. Dziurze niezmiernie jazda owa zaimponowała i właśnie dlatego do głowy mu nie przyszło, żeby kto po jego starą blachę mógł w podobny sposób do Noskowic przyjeżdżać. Niebawem też obok męża pojawiła się i Zośka na progu; oboje małżonkowie przyglądali się z wielką ciekawością.

— Co ty myślisz? Kto to taki może jechać?— zapytała baba.

— Ha, widno galanta jakaś śtafeta wali!... Może od króla... — odpowiedział Szymek.—Pocztarki się w kapluse postroiły, to się musi coś w tem święci. Kiej ślachcic prosty jedzie, niema takiej gali...

Jednakże nie tak to łatwo przejechać przez Noskowice; droga pełna tu wybojów, porznięta kołami ciężkich chłopskich i dworskich wozów a błota—wszędzie po uszy; to też cztery pocztowe konie, choć krępe i silne mierzyny, wolno

brnęły przez rozrobione błoto. Zaledwie powóz minął Dziurową chałupę, a już pocztylion zatrzymał konie, bo nie mógł się zmiarkować w pokrzyżowanych drogach; po lewej ręce wprawdzie drogowskaz opiewał, ile wiorst do Skalbmierza; ale kto nie miał interesu do tego sławetnego miasta, ten musiał robić wybór w trzech innych drogach. Ludzie, siedzący na koźle, błędnym jakimś wzrokiem spoglądali wkoło, ponieważ nie wiedzieli, gdzie się wypada skierować. Któryś z nich spojrzał za siebie, a widząc pod chałupą Szymka i Zośkę, zapytał:

— Hej, ojcze, która tu droga prowadzi do dwora?

Innym razem Dziura odpowiedziałby zapewne: „Ta, co przed nosem!“ Ale w tej chwili miał chęć przyjrzeć się zblizka całej owej paradzie, przeto, nie odpowiadając wcale na pytanie, poszedł do samego powozu, zajrzał ciekawie wewnątrz, a potem dopiero zwrócił się do pocztyliona i z kolei rzucił swoje pytanie:

— Zkądże Bóg prowadzi?

— Nasza poczta z Proszowic, a jasny pan i kareta — z Krakowa — odrzekł pocztylion. — Oj, droga też to droga w tych waszych Noskowicach, niech ją kaci porwą!... Którędyż tu do dwora?

— A któż ta wie, czy jedziecie do Zatwardziałowicza, do Zawracalskiego, abo do Tatarczanego?... Czy to u nas wieś o jednym dworze, jak kajindziej?...

Pocztylion podzielił się tą informacyą z siedzącym obok siebie człowiekiem w liberyi, który natychmiast zeskoczył z kozła, podszedł do powozu, odpiął fartuchy i, zdjąwszy czapkę, głowę wgłąb wsunął. Dziura nadstawił ucha na rozmowę, lecz słyszał tylko, iż z głębi powozu wychodziły dźwięki głosu miękkie i słabe, prawie niewieście; znaczenia całej rozmowy nic a nic nie rozumiał. Nareszcie człowiek w liberyi zbliżył się do Szymka i rozpytywał bardzo troskliwie, gdzie tu w Noskowicach przebywa jeden pan, który przyjechał z Krakowa, a nazywa się Skałecki.

— A nie ten to będzie, co w ziemi kopie?— zapytał Dziura, teraz już bardziej zainteresowany sprawą, ponieważ Skałeckiego uważał za swego protektora. — Jego bo tu wszędzie pełno; był on i u Zawracalskiego, ino się poswarzyli bez to pono, co dziedzic zeprał dziewuchę od gęsi; potem zalazł do Tatarczanego; no, a teraz Jantek polowy coś przebąkuje, że się pono ma żenić pod literą *a*... Ale to trudno zmiarkować, kaj tera rychtyk być może... Dyć on tu i u mnie bywał w chałupie.

Uchwalono ostatecznie, że Skałecki najprawdopodobniej przebywa u Zatwardziałowiczów i w takim kierunku ruszyły niebawem konie z powozem...

Zośka ciekawa była posłyszeć, jaki udział w owej rozmowie około powozu brał jej Szymek,

przeto przyszła zpod chałupy do samego płotu i wychyliła się na drogę. Oboje Dziurowie spoglądali za odjeżdżającymi.

Wiadomość, że hrabia Krajpolski przyjechał do Noskowic, miała nadzwyczajny rozgłos w okolicy. Tego mianowicie Krajpolskiego zna cała Polska, ba—i Europa, podczas, gdy największa część arystokracyi zpod Koszyc oraz zpod Skalbmierza, słynie tylko w powiecie Pińczowskim, a najwyżej jeszcze — w Miechowskim. Do blasku urodzenia istotnie pańskiego, gdy się doda fortunę istotnie bankierską, powstaje z tego tak *jasne* światło, że zaćmiewa ognie kosmicznego pochodzenia i przeto mówi się: „Jaśnie Wielmożny" — tytuł, którym ludzkość nie ozdobiła ani słońca, ani żadnej cnoty.

W drodze uzurpacyi niejeden człowiek pozwala się faktorom w Chmielniku lub Wiślicy tytułować „Jaśnie Wielmożnym Panem" i za tę dużą satysfakcyą wynagradza usługi faktora za każdą razą o dziesięć groszy drożej, niż człowiek z tytułem „Wielmożnego pana".

Nie dziw więc, iż gdy się zjawił rzetelny klejnot jaśniewielmożności w takich Noskowicach, gruchnęło to po Skalbmierskiej ziemi, a oczy wszystkich zwróciły się na Zatwardziałowicza i dwór pod literą *a*. Miała ta okoliczność znaczenie i dla księdza Żłobskiego, ponieważ w jego właśnie parafii przebywał pan z panów, kolator jakich czterdziestu proboszczów.

Rzecz prosta, iż w domu Zatwardziałowiczów gość taki narobił też dosyć rwetesu; ażeby go należycie podjąć, nazabijano dużo drobiu i pan Dyzma pchnął do Koszyc konnego z pustą baryłką, ażeby na kwitek przywiózł dwa garnce wina najlepszego, jakie tylko jest w mieście. Na Franię bo nic nie wpłynęło—ani pobyt pod jednym dachem hrabiego Krajpolskiego, ani fakt, że już była po słowie ze Skałeckim; trzpiotała się ciągle w najlepsze. Za to Fruzia zachowywała się tak sztywnie, tak nadzwyczajnie przyzwoicie, że jej z żadnej strony tknąć nie było można.

Ten pan hrabia był to człowiek niskiego wzrostu, chudy, wątły; ale bardzo towarzyski, uprzejmy i wesoły, jak nie hrabia. Skałeckiemu mówił — „kolego", lecz Skałecki coś niebardzo śmiał mu oddawać ten sam tytuł i zamawiał do niego —„panie hrabio". Frania niebawem zauważyła owę niewłaściwość i publicznie poprosiła obu mężczyzn, aby jej wytłomaczyli, jakim sposobem powstaje takie jednostronne koleżeństwo. Nie wiedziała ona, że przyszły jej małżonek czuł na sobie obuch zależności, ponieważ całą swą edukacyę zawdzięczał rodzinie Krajpolskich; to też pytanie jej sprawiło archeologowi znaczny kłopot, a hrabia, rzecz prosta, nie znalazł również odpowiedzi.

Nazajutrz chciano hrabiemu ułatwić stosunek z Szymonem Dziurą i zapronowano, aby po chłopa posłać, a jego wykopaliska znieść do dwo-

ru pod literę *a* w celu oględzin. Krajpolski jednakże postanowił osobiście odwiedzić małego właściciela w Noskowicach i udał się do jego chałupy wraz ze Skałeckim.

Co tu długo rozwlekać? Dziura zrobił interes na wielkim panu; za stare blachy swoje, jak je nazywał, dostał dwieście pięćdziesiąt rubli. Hrabia kupował dobra idealne, chłop zdobywał—materyalne; hrabia płacił za pamiątki przeszłości, chłop potrzebował chleba, ażeby zrobić krok w przyszłość.

Skoro już umowa stanęła i Szymon dostał pieniądze do ręki, nie mógł sobie dać rady, tak był uszczęśliwiony; przyglądał się gotówce i oczom swoim nie wierzył, że jest tak bogaty; przyszła mu myśl biedz do kuma sołtysa i opowiedzieć o swojem szczęściu, lecz chciał zachować to całe szczęście niepodzielnie dla siebie i nie poszedł. Biegał od chałupy do stodoły, od stodoły do obórki i znowu do chałupy, a pieniądze trzymał w zanadrzu pod zgrzebną koszulą, przyciskając je dłonią do ciała. Dziura przez parę dni, zanim się uspokoił, nie mógł ani jeść, ani spać, ani rozmawiać z żoną; można powiedzieć, iż ze szczęściem było mu źle przez czas jakiś...

XXI.

Krajpolscy oddawna są u nas znani jako rodzina należąca do czoła możnowładztwa.

Będzie temu dwa wieki i ćwierć blizko, kiedy wybuchnął był sławny zatarg Jerzego Lubomirskiego z królem Janem Kazimierzem, a właściwiej mówiąc—z królową. W ziemi Małopolskiej żyli podówczas dwaj Krajpolscy, rodzeni bracia: Jan trzymał z Lubomirskim i szlachtę na jego stronę przeciągał, Tobiasz, któremu stronnictwo Maryi Ludwiki obiecywało duże godności, popierał stronę dworu.

Zanim jeszcze przyszło do bratobójczej bitwy pod Montwami, której krwawe nieszczęścia tak humorystycznie obrazują pamiętniki Paska, Tobiasz Krajpolski zaciągnął był husarską chorągiew, aby z nią spieszyć na pomoc królowi, niby to ścigającemu Lubomirszczyków. Zdarzyło się atoli, że nasadzeni zbrojni brata Jana nocną porą napadli Tobiasza w Noskowickim wąwozie. Oskoczony znienacka, miał ze sobą tylko kilku ludzi i przeto po rozpaczliwej walce uległ przemocy;

poległych wrzucono do jamy, wymytej przez wodę i zwłoki ich narzucono ziemią oraz gałęziami. Napróżno chorągiew oczekiwała pod Pińczowem na wodza swego; nie mogąc się go doczekać i uważając jego zniknięcie za odstąpienie od sprawy królewskiej, przeszła na stronę Jana, który też niebawem pociągnął z nią ku Częstochowie.

Otóż, tak marnie zginął ze świata jeden z przodków hrabiego Bolesława. Gdzieby się podział, o tem milczano w rodzinie. Bardzo być może, iż Kainowa zbrodnia tajemniczo tylko przekazywała się z pokolenia na pokolenie w rodowej tradycyi; może ją znał hrabia Bolesław, szperacz historycznych starożytności, a resztę dopowiedziały mu rozmaite znaki na mieczach, hełmach i pancerzach, wykopanych z ziemi przez Szymona Dziurę. Boć niezawsze z ziemi wygrzebuje się ślady cnoty dawniejszych jej mieszkańców. Archeolog nie ma innego zadania, jak tylko wytropić i odtworzyć prawdę życia minionego. Krajpolski znalazł ją w Noskowickich wykopaliskach, a przeto niebawem pisał do Skałeckiego, prosząc go natarczywie, ażeby dobrze zbadał miejscowość i nakreślił plan jej, o ile można, dokładnie.

Ale zaledwie uczony krakowski zadosyć uczynił żądaniom hrabskim, a już znowu przybył inny list, w którym hrabia Bolesław w jakiś tajemniczy sposób zobowiązywał Skałeckiego, ażeby ten w jego imieniu nabył na własność grunta te

mianowicie litery Noskowic, do której należy wąwóz.

Wiemy jednakże, iż na wąwozie owym ciążyła służebność, należał on bowiem do pastwiska, stanowiącego wspólność trzech dworów i gromady; inaczej mówiąc, wąwóz Noskowicki miał czterech właścicieli. I owę przeto zawiłość stosunku własności trzeba było przedstawić hrabiemu Bolesławowi. W odpowiedzi pisał tedy Krajpolski do Skałeckiego, jako gotów jest zakupić trzy litery Noskowic, byleby mu w jak najprędszym czasie przedstawiono warunki sprzedaży.

Teraz już wymiana korespondencyi pomiędzy Krakowem a Noskowicami, była nadzwyczajnie żywa a częsta.

Noskowice poszły w górę. Z jednej strony około nabycia ziemi krzątał się Skałecki, jako pełnomocnik hrabiego, ściśle jednak zachowując tajemnicę kto właściwie nabywa, — z drugiej strony Szymon Dziura, mając w kieszeni parę setek rubli gotowizny, molestował po kolei już to Zawracalskiego, już Tatarczanego i Zatwardziałowicza. Chłop postanowił także kupić sobie kawałek ziemi.

Czytelnik łatwo pojmie, iż była to walka, współzawodnictwa o ziemię; występowały tu dwa dziejowe pierwiastki: pan i chłop, a każdy z nich posiadał oddzielną ogólno-ludzką właściwość: Krajpolski wyobrażał zasadę idealizmu,

Dziura — realizm. Hrabia bo kochał ziemię w imię świetnej przeszłości, jako pamiątkę rodowej tradycyi i na ten cel gotów był ponosić znaczne ofiary. Dziura dobijał się do tego, co hrabia już posiadał; on chciał mieć dużo ziemi. Nie odmierzajmy rzeczy korzystnych miarką szlachetności, bo dobra przyszłość społeczna niekoniecznie od szlachetnych uczuć zależy.

W Noskowicach wszystko się rozchodziło już teraz o to, po czemu włóka ziemi w Skalmierskiem. Najniżej cenił ją Zatwardziałowicz, bo chciał za włókę 3,500 rs. Najwyżej cenili ją chłopi, bo ci na służebność swą nakładali niemożliwą cenę. Tatarczany żądał 4,000 za włókę, a Zawracalski—4,500.

Dziura właściwie nie miał pieniędzy na zakupienie nawet dziesiątej części włóki; ale on się palił i targował ilość dwa razy większą, niż go stać było. Baba strofowała męża, robiąc mu zarzut, iż się porywa z motyką na słońce.

— Kiej ja ci pedam, że się wypłacę za rok, za dwa, za trzy, a jak się nie wypłacę, to mi i tak poczekają, ino co muszę być gospodarzem jak się patrzy, to muszę... Ty mi Zośka nie stój na drodze—słyszysz—na przyszły rok kupię ci nowiuśki kożuch w Skalbmierzu! Miejże ty Boga w sercu i dbaj, coby mi dobrze poszło.

Rozniosły się też bajdy po wsi, że Szymek aż u trzech dziedziców grunta zakupuje i wszyscy się niezmiernie dziwili, zkąd on wziął tyle pie

niędzy. Wiedziano tu i owdzie po chałupach, że Dziura znalazł jakieś blachy, więc niebawem wieść rozpuszczono, jakoby blachy te były ze srebra i złota, a Szymon sprzedawał je potroszku żydom do miast odległych.

Największą chrapkę miał Dziura na kawałek ziemi, leżący w posiadłościach Zawracalskiego; była to piękna płaszczyzna czarnoziemu, otoczona wkoło groblami i sprawiająca wrażenie jakiego starożytnego stawu. Ale z tym chytrym szlachcicem trudno było trafić do ładu; on także z instynktów swoich był chłopem i pragnął jak najlepiej wyzyskać położenie. Pan Piotr nietylko że cenę niesłychanie wyciągnął, ale sobie ułożył, że swoją drogą Dziurze odprzeda kawałek ziemi, a swoją drogą za resztę weźmie od Skałeckiego tyle, ile była warta cała posiadłość; to znaczy, iż Zawracalski za rolę odprzedaną chłopu chciał wziąć dwa razy pieniądze.

Szymek zrobił się teraz strasznie natrętny, utracił on swoją butę, spokorniał i całemi dniami nudził i trapił większych właścicieli w Noskowicach. Nie mogąc z Zawracalskim dobić targu, tak jak sobie założył, przepatrzył inny piękny kawałek ziemi na gruntach dworu litery c i począł paktować z Tatarczanym; układał się z nim o sześciomorgową przestrzeń, za którą dawał siedemset rubli, mając w kieszeni zaledwie trzecią część tej sumy; dziedzic znowu litery c

postanowił ostatnią cenę — osiemset siedziemdziesiąt pięć rubli i nie chciał ani grosza odstąpić.

Na takich targach upłynęła cała zima. Przez ten czas Skałecki pozbierał opisy majątków, dokonał rozmaitych obliczeń i wszystko to przesłał Krajpolskiemu do Krakowa.

Jakoś przed Wielkanocą, w końcu marca, Dziura, nie mogąc dobić targu, rzekł do swej baby:

— Widno pan Jezus mi nie szczęści w postanowieniu wele tej ziemi; trza go chyba poprosić o miłosierdzie... Weź ty Zośka ze dwa złotka, no i w koszyczek z mendel jajek, biegnij co żywo do Plichtowa na plebanię; niech nas jegomość zapisze do swego brechwijarza na mszę w tym świętym tygodniu kuli Przemienia Pańskiego... Słyszysz, a żebyś też nie zabaczyła pogwarzyć z księżą gospodynią, jak będziesz jajka oddawała na kuchni! Dyć ona też baba z Noskowic, służyła a to u Tatarczanego... Nie zawadzi się przypochlebić takiej dla lepszej skuteczności...

— Juści, przypomniałeś sobie przecie... Bo jużem bez tego sama myślała derdnąć, ino mi się niechciało pieniędzy napoczynać w suple; myślałam a to ponieść jegomości te dwie zmyśne siemieniate kokoszki, no i serek na przykładkę. Dyć za mszę świętą tyla obstoi co i parę złotków, a nie, to mu jeszcze dodać burego króla...

— O la Boga! Dyć ty kobieto rychtyk masz rozum! Toć i mnie żałość chyta o te pieniądze, co je chyba dopiero sytkie za rolę na stół ślachcicowi wywalę.

Pobiegła Zośka jeszcze tego samego dnia do Plichtowa, pokłoniła się pięknie jegomości i poprosiła, aby przyjął ofiarę dla Pana Jezusa; co gdy ksiądz Żłobski uczynił, w rubryceli zanotował i dzień mszy świętej wyznaczył, poniosła baba koszyk z kurami, serkiem oraz z królikiem do plebańskiej kuchni. Tutaj Agnieszka była bardzo uszczęśliwiona, widząc swoją rodaczkę z Noskowic; wypytywała się o różne baby ze wsi, krewne swoje i niekrewne, o dwór Zawracalskich, Tatarczanego; głównie zaś obie niewiasty strasznie obgadywały Ulinę. Nareszcie Agnieszka pokazała Dziurzynej tak zwaną turecką szmatę na głowę, którą w te gody dostała jako podarunek od jegomości za dobrą służbę; później napiły się jeszcze wódki z miodem i Zośka na sam wieczór wróciła do chałupy.

Jednego dnia w przedostatnim tygodniu wielkiego postu oboje Dziurowie nietylko wysłuchali mszy świętej; ale odbyli spedaczkę i z wielkiem namaszczeniem powracali do Noskowic.

— Mówię ci Zośka com teraz okrutnie letki i szczęśliw—rzekł Szymek do żony. — Widzi mi się coś, kiejbym był ptakiem... Żebym tak miał jakie takie skrzydliny, frunąłbym jak nic do nieba...

— Nie ma ci być letko, kiej z duszy zdjoneś ato grzecha i ojcu go świętemu oddałeś przed Panem Bogiem. Mnie tako je letko.

Kiedy tak szli, gwarząc ze sobą, przybłąkał się do nich po drodze biały pies; naprzód szedł zdaleka i bardzo nieśmiało z ogonem na dół spu szczonym: nareszcie zrównał się zupełnie z mał żeńską parą a ogona do góry zadarł i łasił się do Dziurów.

— Widzi mi się — Bielas, co służył u Zawracalskich przy gęsiach—rzekła Zośka.

— Bielas nie Bielas!—odpowiedział Szymek.— Ale jak się do człeka w takiej okazyi przyplącze boskie stworzenie, to już pewnikiem znak dobry...

— Może se ta Pan Bóg i wspomniał o nas... Bielas—tu tu tu!—i Dziurzyna pogłaskała ręką psa po łbie.

— On pies, to jest jako sierota, niemający nikogo dla przytuliska—mówił Szymek.—Widziałem we dworze u Tatarczanego, jako mu wszyscy na despet robią, nie przymierzający jak i tej France Walkównie.

— Ta mu u nas krzywdy nie będzie, może się chować zawraz z prosiaczkiem, kiej pedasz, co go łaska Pańska ˛zsyła na drodze. Niech se ta żyje!

Przez jakiś czas panowało milczenie, żadne z nich nie mówiło ani słowa; pies biegł tuż przy Zośce i tak, że łeb jego podniesiony trącał pra-

wie o końce jej palców, co mu widocznie sprawiało pewne zadowolnienie. Pierwsza Zośka odezwała się w te słowa.

— Szymek, a co ci też jegomość powiedział przy rozgrzeszeniu?

— Ano dobrze mówił: że Pan Jezus sycko mocen uczynić, kiej zechce. Ja tako samo myślałam; a potem mię ino przestrzegał, żeby w szczęściu o Panu Bogu nie zapomnieć.

— Dzisz ty, to może i przyjdzie szczęście!... Nie ślubowałeś ty sobie w duchu jakiej ochfiary, jakby cię Pan Jezus obdarzył?

— Toć dycht ślubowałem; niech ino dobrze bedzie, a wiem, co zrobię.

— Powiedzże mi to, byśmy we dwoje pamiętali; jakbyś ty zabaczył, ja ci spomnę.

— Nie wiesz to? Cóżbym miał zrobić innego, jak na chwałę boską postawić we wsi co takiego?...

— Cóżbyś ty chciał postawić?

— Wiem ja to, co mię spotka? Jeśli będzie nieduża szczęśliwość, to postawię świątka ze sosnowego drzewa, co go podoła ociosać ktoniebądź.

— Jak posiądziesz ten kęs ziemi, co go targujesz u Tatarczanego, to się musisz lepiej stawić przed Panem Jezusem i jego Najświetszą Panienką!...—powiedziała Zośka.

— Ma się wie! — odparł Szymek. — Każę wyrychtować figurę z kamienia, a ty ją rok rocznie

pobielisz wapnem, nikiej chałupę, żeby bieluśka czystość zawdy bywała.

— A juści!... I zielem też wszelakiem maiłabym onego świątka...

— Jakby mię lepszy jeszcze los trafił, tobym przed figurą kazał zrobić zmyśny płotek i powiesić latarnię z czerwonego śkła... Niechby ta gorzała po odwieczerzu.

— Śliczności ochfiara taka! — zawołała Zośka z zachwytem.—Byłaby święty pańskim miluśka i jużby nam się coraz lepiej wieść musiało!

— Masz ty rozum, kobieto, że jakby mi Pan Jezus i Przenajświętsza Panna sypnęli bogactwa...—przy tych słowach Dziura obnażył głowę.—Wyrznąłbym ci w Noskowicach taką galantą kaplicę, jakiej nikto z gospodarzy na okolicę potąd nie stawił?...

— Kiej Pan Bóg zna twe myśli, to się może ulituje.

Nazajutrz rano Szymek tak znowu mówił do Zośki.

— Mojaś ty, pobieżno ty teraz do Tatarczanego i potarguj się z nim o tę rolę, może on dla baby będzie lepszy, psiakość... Słyszysz, umyśliłem sobie, co dziś jak raz ostatnia sobota przed wielką sobotą...

— A juści, dyć święta prawda!... Dzionek taki przynależy królowej niebieskiej, Najświętszej Pannie Maryi i szczęście jest zaczynać tego dnia

każdą robotę, trza ino odmówić siedem ojczenasz i siedem zdrowaś do siedmiu boleści...

— Ja ci też pedam, jak odmówisz, biegnij do Tatarczanego, bo mnie już gęba od tego ujadania się z nim opuchła... Molestuj go setnie, a nie przeszkodzi, jak będziesz popłakiwać od czasu od czasu... No i chytnij go raz, drugi, za kolana, a nie popuszczaj, póki co bądź nie przyobieca.

— Kajbym zaś miała popuścić takiego Heroda...

Jakoż Zośka przy sobocie pobiegła do dworu pod literę *c*; ale nie udała się ona odrazu do dziedzica. Ulina, przełożona w kuchni, a nieprzyjaciołka Agnieszki, była jej dobrą znajomą, bodaj nawet czy nie krewną; do kuchni przeto zaszła najprzód Zośka. Kobiety przypomniały jedna, drugiej, kiedy to jeszcze były małemi dziewczynami i za bydłem chodziły po pastwisku. Przy takiej sposobności Ulina przypomniała sobie, że jest sierotą i okrutnie się zbeczała, a Dziurzynie także się łzy puściły z oczu; przez jakiś czas płakały obie; potem otarły łzy i miały serca usposobione do tkliwych zwierzeń. Dopieroż Dziurzyna poczęła opowiadać jako chłop jej, Szymek, koniecznie pragnie więcej gruntu; ale się z żadnym dziedzicem zgodzić nie może.

— Źle, moja Uliś, na świecie biednym ludziom, źle! Kóżdziusiński wyciąga człeka jak strunę i skórę zdarłby z niego...— przy tych słowach rozpła-

kała się Zośka, a Ulina też, zwłaszcza, że nie wysączyła wszystkich łez, płacząc nad własną dolą, poczęła szlochać.

Żadnej z nich nie było znowu zbyt źle na świecie; ale ponieważ im się wypłakać chciało, przeto łzy roniły obiedwie. Wspólny płacz dużo znaczy w węźle sympatyi.

Po płaczu tym podwójnym i dosyć obfitym za każdą razą, przyjaciołki poczęły obgadywać Agnieszkę, niegdyś gospodynię u Tatarczanego, przez co sympatya wzrosła i ustaliła się jeszcze bardziej. Kiedy się jeszcze napiły wódki, uczucia przychylności przepełniały już ich serce i poczęły się wylewać. Nareszcie Zośka zabierała się, aby iść za swym interesem do Tatarczanego: Ulina atoli rzekła:

— Nie chodźcież dzisiaj do niego wy; niech ja go pierwej wymiarkuję. On ta już niejedno ludziom zrobił, jakem go przyparła.

Nie znamy tajemniczych wpływów, dzięki którym Ulina miała władzę nad Tatarczanym; czytelnik niechaj się ich domyśla tak samo, jak my to czynimy. Bądźmy faktyczni: Po świętach Wielkanocnych owego roku organista z Plichtowa opowiadał Zajminie i France Czaplance, że z całej parafii tylko dwoje ludzi nie przystąpiło do spowiedzi; byli to—dziedzic litery *c* i jego gospodyni. Nie wiemy, czy fakt ten może służyć do wyjaśnienia innego najpewniejszego faktu, mianowicie, że w wielki tydzień, w samą środę, Ta-

tarczany opuścił Dziurze na targowanym gruncie 125 rs. W wielki czwartek zaś Szymek i pan Prosper stanęli przed rejentem w Skalbmierzu, gdzie zawarli umowę, mocą której Dziura kupił 6 mórg ziemi za rs. 750; zaliczył za to gotówką rs. 250, a resztę zobowiązał się wypłacić ratami w przeciągu lat trzech.

XXII.

Nadszedł wielki tydzień i do parafialnego kościoła w Plichtowie, szła codziennie gromada ludzi na spowiedź. Ksiądz Żłobski miał dużo pracy, a przeto sprowadził był sobie do pomocy dwóch księży bernardynów z Pińczowa. Widocznie dużo księdzu proboszczowi zależało na tem, ażeby wszystkie jego owieczki miały należytą duchową obsługę, przeto zaprowadził on w swojej parafii tak mądry i systematyczny porządek, iż z góry każdy wiedział, kiedy na niego przypada kołej spowiedzi. Organista bowiem spisał przedtem wszystkich ludzi zdolnych do spowiedzi i za opatrzył ich dla kontroli w kartki. Kartka stanowiła pasport do konfesyonału, a konfesyonał obdarza śmiertelnika łaską nieba; więc też nie dziw, iż za kartkę taką, jako za prawo pojednania się parafianina z Panem Bogiem, organista pobierał opłatę w parafii Plichtowskiej. Kto przy ołtarzu służy, z ołtarza żyć musi. Cena kartki wynosiła od 3 do 6 groszy; komornicy i wyrobnicy płacili częstokroć organiście za kratkę tylko

jedno kurze jajko. Przybyły na spowiedź parafianin przedewszystkiem składał do konfesyonału kartkę, a organista wykreślał go potem z listy, jako owieczkę, która prawom boskim dała zupełne zadosyć uczynienie. Zresztą, każdemu znane było hasło: „Organista chodzi po wsi z kartkami“, lub przed Bożem Narodzeniem: „organista nosi opłatki“.

Na dwory Noskowickie przypadała kolej spowiedzi w wielki czwartek, cała służba dworska miała obowiązek stawić się dnia tego w Plichtowie. Zarówno Zatwardziałowicz jak i Tatarczany zastosowali się do przepisu; z wyjątkiem jednej Uliny, wszystko się spowiadało—nawet Sobek roztroperz i Franka gęsiarka.

Ale Zawracalski pragnął dnia tego — jak mówił — skorzystać z prześlicznej pogody i groch zasiać przed świętami. Jakkolwiek więc dziedzicowi litery *b* mówiono, że w wielki czwartek przypada hurtowna spowiedź całej noskowickiej służby dworskiej, nie zważał on jednak na to i zabrał się od rana do siewu grochu, który potem trzeba było zabronować znowu, ponieważ po miedzach wkoło stały całe legiony wron i gawronów, łakomych na żer tak smaczny. Służba sarkała, lecz pan Piotr oświadczył wszystkim z wielką stanowczością:

— Możecie się wyspowiadać jutro, pojutrze lub nawet po świętach, a to robota pilna, aż pali...

Pamiętajcie sobie, że pierwsze posłuszeństwo niż nabożeństwo.

Choćby jednak Zawracalski miał słuszność, zawsze postąpił on nielegalnie, zrobił wyraźny zamach na porządek ustanowiony przez władzę kościelną. Zatwardziałowicz bo już dawno był na indeksie proboszcza z powodu swego okrzyczanego aryańskiego kacerstwa, Tatarczany—jak wiemy—zadarł z plebanią koty o gospodynię Agnieszkę; teraz zaś ostatni zatarg władzy świeckiej z kościelną, wyszedł w Noskowicach od Zawracalskiego. Pan Piotr odważył się przełożyć dobra doczesne nad wieczne, gorszył w tym kierunku służbę, którą niebiosa w ręce jego oddały.

W Plichtowie brak u spowiedzi parobków oraz dziewek zpod litery *b*, niebawem spostrzegł w wielki czwartek organista i zupełnie właściwe oskarżenie zameldował wyższej władzy. Ksiądz Żłobski nazywał takie postępowanie „rozluźnianiem węzłów moralności i krzewieniem bezbożści wśród ludu“. Ze swego punktu widzenia, proboszcz miał także słuszność: bo jeśli ksiądz istotnie ma w ręku zarząd dusz, to go owe dusze słuchać powinny. Ale i to prawda, że interesów doczesnych z wiecznemi w żaden sposób pogodzić nie można.

Wprawdzie nazajutrz, w wielki piątek pojawiła się przy konfesyonałach część służących z dworu litery *b*; atoli organista miał sobie zno-

wu zapowiedziane, ażeby takim spóźnionym owieczkom odebrać kartki, a bez kartki nikt się nie mógł spowiadać. Bolało to niejednego tem bardziej, iż kartkę do spowiedzi należało w takim razie wyrabiać sobie po raz wtóry, co już kosztowało daleko więcej niż sześć groszy.

Tylko jedna Franka Czaplanka umiała sobie poradzić w tem nadzwyczajnie trudnem położeniu; ze łzami w oczach pobiegła ona na plebańską kuchnię do gospodyni Agnieszki Pasternakówny, dobrze sobie znajomej Noskowiczanki i błagając swoją rodaczkę, zyskała od niej natychmiastową instancyę do organisty. Ten organista bowiem, był to człowiek z nadzwyczajnym apetytem i dzięki gospodyni dobrze się nieraz posilił różnemi ochłapami. To też ani się na chwilę nie zawahał i kwalifikacyę do spowiedzi czemprędzej zwrócił France Czaplance. Zawsze jest dobrze na cudzym gruncie spotkać rodaka, który piastuje wyższą godność i używa wpływów.

Reszta służących Zawracalskiego, prawieże wypędzona z kościoła, nie mając chęci wcześnie wracać do domu, gdzieby ich dziedzic niezawodnie gnał do roby, udała się do karczmy.

Wiadomo, iż żaden opór względem zwierzchności nie może winnemu ujść bezkarnie, — zastanawiał się przeto ksiądz Żłobski, jakim rodzajem kary kościelnej należałoby obłożyć Noskowickiego dziedzica zpod litery *b*. Dobry Stwórca wszechświata nie spisał kodeksu kar za brak

czoi dla siebie; ale kodeks taki dyktowało księdzu Żłobskiemu jego teologiczne oburzenie. Zawezwał on więc organistę w wielki piątek i kazał mu obwieszczać wśród ludzi z Noskowic, przybyłych do kościoła, że tego roku proboszcz nie będzie święcił jak zwykle we dworze pod literą *b*, że zatem ludność z koszykami żywności do święcenia nie tam się ma zebrać w wielką sobotę, ale — pod chatą gospodarza Szymona Dziury.

Zapowiedź taka sprawiła nadzwyczajne wrażenie wśród Noskowiczan; kościół jak najwyraźniej odróżniał oto Dziurę od innych, obdarzał go widocznym znakiem niewidzialnej łaski swojej, a tem samem dawał chłopu w rękę pewien rodzaj hegemonii. Dlaczego tu specyalnie Dziurę wyróżniono?.... Być może, iż on się nasunął właśnie myśli księdza Żłobskiego, ponieważ niedawnemi czasy Zośka złożyła na plebanii swoję czołobitność i zapisała się na mszę świętą.

A tu we dworze pod literą *b*, począwszy od wielkiego poniedziałku, pani Zawracalska z córkami i dziewkami ciągle się oddawała przygotowaniu tak zwanego święconego. Jednego dnia wyrabiano i wypiekano rozmaite mazurki; w wielki czwartek Franka Czaplanka pociła się okrutnie przy wierceniu w donicy maku, a potem sera, dnia tego bowiem powstały utwory noszące nazwę przekładańców; w wielki piątek

Franka była u spowiedzi, a mimo to, świat ujrzały wysokie i nizkie baby; słowem każdego z tych sześciu dni pracowano gorliwie, aby nareszcie siódmego dnia odpocząć i zabrać się do zjedzenia dzieł swoich. To samo robi każdy prawowierny chrześcianin.

W wielką sobotę od rana gotowano u Zawracalskich kiełbasy, jaja, na rożnie piekł się indyk a obok niego prosię nadziewane.

Służba wiedziała, że ksiądz nie przyjedzie do dworu święcić tych wszelakich specyałów; ale żadna z dziewek nie miała odwagi udzielenia tak strasznej wiadomości samej pani Magdelenie Zawracalskiej lub którejbądź z dwóch panienek. Dopiero po południu już w wielką sobotę, Joasia dokończyła właśnie przyozdabiania placków i bab różnokolorowemi maczkami i lukrem, a gdy, prócz tego, powtykała zielone gałązki bukszpanu oraz mirtu w rozmaite mięsiwa, przyzwała Frankę Czaplankę i dała jej polecenie nakrycia stołu wielkim białym obrusem. Dziewka miała w sercu ciężką tajemnicę; popatrzyła ona na wspaniałe święcone i strasznie ją jakoś zabolało to, że tak obfite, piękne dary boże nie otrzymają jednak błogosławieństwa przez pokropienie święconą wodą; Franka wspomniała sobie, iż w tym mianowicie roku inaczej będzie, niż lat poprzednich. Kogóż na świecie nie wzrusza zakłócony nałogowy porządek?

France Czaplance przyszły do głowy myśli, bezwątpienia wstrząsające duchowym aparatem; kiedy na dużym stole rozpościerała obrus przedziwnej białości, jej wyobraźni ciągle się narzucał brak księdza w komży, błogosławiącego kropidłem pokarmy; nie dziwmy się tej dzielnej dziewczynie, iż na ołtarzu starej tradycyi kilka łez szczerych uroniła. Wzruszenie poszło po szerokich torach organizmu i niebawem France łzy puściły się siurczkiem z oczu. W ślad za tem rozległo się stłumione łkanie, które zwróciło uwagę Joasi.

— Co ci się stało, Franka? Czego beczysz?...— pytała Zawracalszczanka.

Rzucać takie pytanie płaczącemu, jest to rozczulać go jeszcze bardziej; to też i Franka Czaplanka rozrzewniła się teraz tak dalece, że pobiegła do swej panienki, poczęła ją całować po rękach i szlochała rozgłośnie wśród bardzo szczerego płaczu.

— Franka, bój się Boga, czyś się ty czasem nie przepościła w wielkim poście? — pytała Joasia.— Możeś ty dostała boleści takich, jak mama wczoraj?

Ale Franka ryknęła już teraz w niebogłosy, a wśród łkań nadzwyczajnych wyznała panience całą nagą i straszną prawdę, — prawdę, o której zresztą wiedziało bardzo dobrze całe Noskowickie chłopstwo.

Na Joasię oddziałała nietylko wiadomość o postanowieniu księdza Żłobskiego, ale także tragiczny sposób, w jaki to uczyniła Franka Czaplanka: jej nadzwyczajnie zbolała fizyognomia i łzy obficie z oczu płynące. Zawracalszczance opadły ręce, odbiegła ją chęć dalszego przyozdabiania wielkanocnych pokarmów, może jej się nawet nieco zaćmiło się w oczach. Boć brak w domu księdza święcącego — to srom nietylko wobec Boga, ale i ludzi. Dotychczas takiej hańby nigdy nie doznał jeszcze dom Zawracalskich. Joasia natychmiast porzuciła przystrajanie święconego, a raczej tego, co mniemała, że święconem się stanie i szła jak ścięta z posępną wieścią do matki oraz siostry. I ona jednak miała skrupuł wyznać to wszystko wprost bez żadnej ogródki przed rodziną. Skinęła więc najprzód tajemniczo na Polcię, przyzwała ją do komnaty, zastawionej pięknie ozdobionemi i umajonemi potrawami, a ukazując na nie palcem, rzekła:

— Tyleśmy się napracowały, mój Boże i...

Polcia wcale nie zrozumiała, o co chodzi; ale, widząc zapłakaną Frankę Czaplankę, sądziła, że dziewka musiała rozbić jaki piękny półmisek, lub też zbroiła coś w tym rodzaju i z tego powodu między nią a Joasią wybuchnęła wojna domowa. Mogła to mniemać, ponieważ dobrze znała despotyczny charakter swojej siostry. Wnet potem wiedziała i pani Magdalena, że ksiądz nie będzie w jej domu poświęcał. Mamy liczne powo-

dy mniemać, iż ona to najdotkliwiej odczuła cios straszliwy, cios zaprawdę zbyt silny, jak na niewieście serce. Zawracalska nie posiadała tylko w naturze swej uspobienia manifestacyjnego, niemniej przeto mocno czuła boleść.

— Już przeszło czterdzieści dziewięć lat żyję na świecie — mówiła stroskana wobec córek — a nigdy jeszcze nie byłam w takiem położeniu, ażeby w domu ksiądz na wielkanoc nie święcił.

Kiedy tak zebrane cztery białogłowy utyskiwały nad ważnemi wypadkami, które im chwila przyniosła, najniespodziewaniej w świecie wszedł między nie pan Piotr; bystrym wzrokiem swoim ogarnął on pokwaszone miny kobiet i tak zapytał:

— Cóż się tam znowu stało takiego? Wyglądacie jak zmokłe kury... Pewno się placek jaki nie udał—hę?

Ale na te słowa nie otrzymał żadnej odpowiedzi i począł się rozglądać pilnie w licznie zastawionych mięsiwach.

— Ot to rozumiem! — zawołał, patrząc z upodobaniem na ugotowaną wielką głowę wieprzową barwy brunatnej. Śliczności jedzenie! Żeby tak nie wielka sobota...

Głowa ta wyglądała istotnie bardzo okazale, ubrana jakby w wieńce mirtu i lauru, a obłożona w koło grubemi kawałkami korzeni chrzanu.

Pani Zawracalska siedziała na stołku jak struta, na piersiach skrzyżowała obie ręce, a na ra-

miona spadały jej wolno puszczone końce czepka; ponuro oczyma smutnemi spoglądała w okno, jakby ją w domu nic już nie obchodziło. Joasia znowu miała jakieś iskry w oczach, bo u niej smutek w mgnieniu oka na gniew się zamieniał; trzymała w ręku kropidło, zawczasu przygotowane do aktu święcenia i palcami wyskubywała z niego wiórki. Polcia stała na boku przy stole i choć była również zgryziona, dostrzegła jednak, iż w galaretę z nóg cielęcych dostał się przypadkiem rodzynek; wyjęła przeto z włosów długą szpilkę i zupełnie się oddawała wydobywaniu na wierzch tego rodzynka. Franka Czaplanka stała pod samemi drzwiami z rękami zakasanemi poza łokcie; jednę z tych rąk położyła na brzuchu, drugą podparła sobie podbródek, a smutne oczy utopiła w ziemię.

— Czyście dziś wszystkie zaniemówiły?—odezwał się znowu Zawracalski. — Mówcież, co za nieszczęście was spotkało?

— Ksiądz nie przyjedzie do nas dziś święcić!... — zawołała Joasia tonem takim, jakby do ojca miała urazę.

— Ksiądz do nas nie przyjedzie święcić?... Zkąd taka wiadomość? —mówił pan Piotr.—Z jakiegoż znowu powodu?...

Wtedy Joasia zabrała głos i poczęła recytować z naciskiem, jak gdyby była heroldem, który miał obowiązek wypowiedzenia Zawracalskiemu wojny:

— Proboszcz polecił organiście zapowiedzieć wczoraj, że tego roku nie będzie święcił w żadnym z Noskowickich dworów; kazał więc babom znieść koszyki pod chałupę Dziury, gdyż tam tylko dojedzie i poświęcenie odbędzie... Czegóż tu tatko nie może jeszcze zrozumieć?

— Oszalał, czy co takiego?...—rzekł Zawracalski, chwytając się nagle obiema rękoma pod boki.

— Przecież to pochodzi głównie z tej przyczyny, że się tatce koniecznie zachciało siać groch w wielki czwartek i służba nie mogła iść do spowiedzi.. Przecież wszyscy prawie ludzie w naszym dworze dotąd się nie wyspowiadali! — odburknęła ojcu Joasia.—Już to my ze wszystkimi musimy zerwać stosunki, nawet z Panem Bogiem!

— Przejechałbyś, mężu, do Plichtowa i poprosił księdza, niech nam nie robi przykrości i nie sieje zgorszenia!—odezwała się błagalnym tonem pani Magdalena. — Zrób to, choćby przez wzgląd na te dziewczyny, przecież one potrzebują opinii.

— Jeszcze czego, tego tylko brakowało, żebym się upokorzył przed tym dumnym popem. On i tak zanadto sobie wszystkich lekceważy, sam udaje wielkiego pana i z wielkimi tylko panami żyje. Ale i ja też pan jestem za swoje trzy grosze, a w kaszę sobie pierwszemu lepszemu napluć nie pozwolę!... Nie poświęci?... Bierz go

kaci, to będę jadł nie poświęcone kiełbasy! Pan Bóg i tak mi wybaczy; w zakład pójdę, że przebaczy..

Przy tych słowach Zawracalski się zakrztusił, splunął gwałtownie na środek izby i za drzwi wyszedł. On udawał tylko, że go ta wiadomość mało obchodzi, a w głębi duszy był mocno dotknięty. Wszyscy bez wyjątku ludzie miewają takie chwile usposobienia, jakie teraz opadło dziedzica litery *b*. Ujrzał on się osamotnionym w Noskowicach; pesymizm przegryzał mu nawskróś duszę. Pan Piotr miał przeciwko sobie właścicieli większych, był w walce z chłopstwem, ze służbą przy domu, z księdzem, o mało, że nie z własną rodziną.

— Jak imię boskie kocham — myślał — tak mi już nic innego na świecie zrobić nie pozostaje, tylko sprzedać tę obmierzłą dziurę!... Niech dyabli biorą, opuszczę Skałeckiemu i wyniosę się gdzie o sto mil!... Mam już dosyć tych smaków.

Długo tak biegał Zawracalski koło domu i prowadził sam ze sobą wewnętrzny monolog, którego treścią był *Weltschmerz* — żal do świata. Chwile takiego usposobienia zapisują się zwykle w dziejach ludzkich mniej lub więcej wiekopomnem dziełem. U pana Piotra wywołały owe uczucia list do Skałeckiego; w tym liście zaś znajdowała się akceptacya sprzedaży Noskowic

litery *b* i oznaczenie terminu umowy przed rejentem w Skalbmierzu. Tak to niejeden człowiek mniema, iż ma do czynienia z pozornie małym faktem, a małych faktów na świecie niema. Krok księdza Żłobskiego miał dla pana Piotra takie samo znaczenie, jak dla cesarza Henryka IV klątwa papiezka.

Wielka sobota ze wszystkiemi przypadłościami sprawiła nadzwyczajny przewrót w Noskowicach. Na zupełnie nowe dla siebie rzeczy ludzie patrzeli ze zdumieniem.

Ksiądz Żłobski, stworzony na energicznego teokratę, zrobił swoje.

Około godziny piątej po południu wysoka jego bryczka, na żółto pomalowana, służąca do uroczystszych tylko wypraw, zaprzężona w parę łagodnych jak dzieci, a tłustych jak z karmnika koni, przywiozła go przed lepiankę Dziury. Na koźle, obok woźnicy, siedział organista, podtrzymując oburącz na kolanach spory koszyk, z którego bił w nos aromat świeżo ugotowanych kiełbas i szynek, widocznie złożonych kościołowi na znak czci za ciężkie obowiązki poświęcania wielkanocnych pokarmów.

Ludność Noskowic zebrała się też była już oddawna z koszykami przy chałupie Dziury; naszło się bab, chłopów, a z nimi dużo dzieci. Co dziwna, że i pani Zawracalska przysłała tu z koszykiem Frankę Czaplankę, ażeby ksiądz przy-

najmniej nieco chleba oraz mięsa poświęcił dla czeladzi. Przecież bez tego nikomu nie smakowałoby jedzenie, jak należy, chyba jakiemu niedowiarkowi, a takiego — dzięki Bogu—Noskowice nie znały. Mówię — nie znały, bo i ze dworu pana Dyzmy, głównego libertyna, także przywędrowała dziewka z koszykiem pokarmów; również z pod litery c przybył podobny transport, wysłany przez Ulinę. Doprawdy, podziwiać wypada pobożność Noskowiczan na punkcie dbałości o zjadanie rzeczy święconych.

Kogóż tam nie było w wielką sobotę pod chałupą Dziury! Nawet szabasujący pachciarz Zawracalskiego zdaleka przyglądał się ciekawie uroczystości.

Dziura z gołą głową, należycie przyczesaną, wyszedł z chałupy, kiedy już ksiądz Żłobski nadjechał; Zośka postępowała tuż za mężem i oboje garnęli się gorliwie, ażeby jegomości pomódz przy wysiadaniu z bryki, przyczem niejednokrotnie ucałowali jego ręce.

Wielka cisza panowała, kiedy na troskliwie zamiecionem podwórku rozległ się szept błogosławieństwa pokarmów, wygłoszonego w języku łacińskim. Było coś nadzwyczajnie uroczystego, a zarazem ogromnie pierwotnego w tym obrzędzie.

Nareszcie ksiądz umaczał kropidło w misce wody i błogosławił najprzód chatę oraz całe

obejście. Jakże wtedy rosło w piersiach serce Dziury!

Ale pod chałupą, tuż przy samym progu, leżał Bielas, niedawno osiadły pod strzechą Szymona Dziury; kiedy na psa tego jakoś obficie spadła woda z kropidła, myślał on zapewne, iż ludzie zamyślają mu wyrządzić psotę, powstał więc z legowiska i schronił się w miejsce wolne od tłumu. Bielas poszedł na drogę pod drzewa, gdzie organista, widocznie nie dowierzający księżemu woźnicy, postawił był tymczasem kosz z mięsiwami. Zapach nadzwyczajny, idący od kosza, narobił psu ogromnej oskomy; wąchał a wąchał, nareszcie postanowił smakować i pochwycił w zęby ogromną kiełbasę.

Tymczasem zdaje się, że siedzący na koźle bryczki woźnica miał także interes obserwowania owego koszyka, bo pierwszy spostrzegł zamach Bielasa na jego całość i donośnym głosem krzyknął:

— A nie pójdziesz ty ztamtąd, psiaduszo!... Nie rusz, zatracony!

Na głos ów wielu ludzi z zebranego tłumu odwróciło głowy od obrzędu święcenia i ku wielkiemu zgorszeniu ujrzano Bielasa, pomykającego w pole z nadzwyczajną energią, a końce kiełbasy wlokły mu się po ziemi. Niektórzy młodzi parob-

cy puścili się za psem w pogoń; ale Bielas był w posiadaniu dużego skarbu, co mu skrzydła do nóg przypinało.

Tej wielkiej soboty już nic więcej godnego uwagi nie zdarzyło się w Noskowicach.

XXIII.

Noskowice wyszły z posiadania dawnych dziedziców i stały się własnością hrabiego Bolesława Krajpolskiego; słynne trzy litery przeszły dziś już prawie w mity, chociaż powyższe fakta miały miejsce zaledwie przed siedmiu laty. Nazwiska starych dziedziców pozostały jeszcze w nazwach różnych łanów; jest pole, które się zowie *Zawracała*, inne nosi nazwę *Tatarczanki*, a jeszcze o innem mówią ludzie jako o *Zatwardziałowie*. Jedna część pastwiska z wąwozem nosi też miano *Dziurowej łachy*, z czego młodsze pokolenie, mniej świadome dziejów Noskowic, urabia nazwę—*dziurawej łachy*.

We trzy miesiące po opisanych powyżej wypadkach, zaszłych w wielką sobotę, Stanisław Skałecki i Franciszka Zatwardziałowiczówna zawarli związek małżeński; ale akt ślubny spisał urzędnik stanu cywilnego parafii Plichtów, który jednocześnie, jako proboszcz, pobłogosławił temu związkowi przed ołtarzem. Możnaby powiedzieć, że ślub i wesele odbyły się bardzo skromnie,

gdyby nie to, że je bytnością swoją uświetnił hrabia Krajpolski, który tą razą przybył już nie pocztą, ale własnemi cugami.

Nowy właściciel Noskowic i nowy kolator kościoła w Plichtowie przywiózł ze sobą bardzo piękne ofiary na ołtarz: wspaniały kielich, monstrancyę, dwa pozłociste ornaty, a nadto zrobił obietnicę, iż na przyszły rok zostanie wykończony w Krakowie obraz do wielkiego ołtarza, wykonaniem którego już się zajął jeden z głośniejszych malarzy. Te pańskie dary zaimponowały księdzu Żłobskiemu tak dalece, iż w najbliższą zaraz niedzielę miał kazanie o starym i o nowym testamencie, a w różnicy, jaką wykazał między obu temi zakonami, zgromadzeni w kościele wierni upatrzyli najwyraźniejsze przytyki do starych dziedziców Noskowic a pochwały na cześć nowonabywcy.

Pan Dyzma, bardzo już podupadły w zdrowiu, kazał się jednak zawieźć do kościoła na ślub córki, ale nie zrobił żadnego kroku do pojednania się z proboszczem, jak to było przewidywane. Znajdował się także na owym ślubie agronom, którego hrabia Krajpolski przywiózł ze sobą, ażeby urządził nowo nabytą majętność. Ale co było godne podziwu, to mianowicie okoliczność, iż do kościoła na ślub młodej pary zwaliła się cała noskowicka gromada: gospodarze i ich żony, jakkolwiek dzień nie był świąteczny; prócz tego, byli tu jeszcze: Sobek roztroperz, Franka

gęsiarka, Jantek polowy. Tatarczany przyjechał wierzchem, a Zawracalski z żoną i córkami na krakowskim wózku.

Kiedy się ślub już odbył, hrabia, wiedziony zapałem archeologa, przez jakiś czas jeszcze w towarzystwie księdza Żłobskiego i swego agronoma, zwiedzał kościół w Plichtowie. Ale skoro wyszedł potem przed kościół, zaszła mu drogę gromada noskowickich chłopów z Szymonem Dziurą na czele.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!— zawołał Szymek, pochylając się z czapką w ręku przed Krajpolskim, a kiedy hrabia uchylił kapelusza, rzecznik Noskowiczan tak począł perorować:

— Wiadomoć nam wszystkim w Noskowicach, co tera za dziedzica będziewa mieli jasnego pana. Tak też zebraliśmy się po to, coby znajomość z jasnym dziedzicem uczynić, aby dobra zgoda zawdy między nami była.

Te proste słowa trafiły hrabiemu do serca, uśmiechnął się bardzo uprzejmie i wyciągnął rękę, maleńką, delikatną, której białość wpadała w błękit. Chłop pochwycił w grube, pełne odcisków i czarne ręce hrabską prawicę, mówiąc:

— Jako nam jasny taki nasz pan dziedzic podajesz tę rękę, tako i my swoje wyciągamy ręce... Nikiej już między nami stargowana zgodliwość, jak się patrzy; niech będzie na wieków wieków—jamen! Ino kiej już mawa u siebie takiego

dobrego pana, to ja tej ręki nie upuszczę, póki jasny pan nam nie przyobieca, że będzie dobrodziejem noskowickiej gromady.

— Będę się starał, moi gospodarze, być zawsze waszym przyjacielem—powiedział Krajpolski z wielką prostotą. — A że wy będziecie dobrymi sąsiadami, także wcale o tem nie wątpię.

— A no sprawiedliwie jasny dziedzic rzeka! Niechże będzie ta zgoda tutaj, kaj Pan Jezus na nas spogląda i jegomość dobrodziej i sołtys noskowicki jest przytem i świadkowie—inni gospodarze, bez mała — całe Noskowice... Kiejby swaru nijakiego nie bywało na potem wele zaorania onego pasternika, co nam dawniejsi dziedzice poręczali... Jako jasny pan jest ślachcic delikatny, to nam też pewnikiem uręczy ono posiadanie, a pedają ludzie, co bez grzeczność może i parę strychów dorzucił Ludziska tu u nas dobrzy, śkody a psoty nie lubiący; byle dwór człeku nie doskwierzył, to od chłopa nikto zaczepki nie zazna i może żyć w Noskowicach, jak w niebie..

— Ja wam zaręczam, gospodarze, że ani ja, ani mój zastępca — krzywdy nikomu nie wyrządzimy. Co wam poręczyli dawni dziedzice, tego ja z pewnością nie będę odbierał—mówił hrabia, odpowiadając na przemowę Dziury.

— Toć wiewa, słyszeliśwa, co jasnemu panu Pan Jezus dużo szczęści; to coby ta na krzywdę chłopską miał jasny dziedzic nastawać.,. Tylo co wielmożni dziedzice dawniejsi, to nie jasny dzie -

dzic dzisiejszy. Jak oni byli nie przymierzający dla gromady dobrzy, to taki jaśnie pan w dubelt nam użyczy. Na takowe rzeczy mają rozumienie noskowiczanie i bez to stanęliśmy tu przed tym świętym kościołem, coby rozmowę Pan Jezus słyszał, a gromadzie naszej dopomógł.

— Nie mogę teraz tak nagle nic dla was postawić — odrzekł Krajpolski.— Muszę się rozejrzeć w interesach, zobaczyć o co chodzi; z góry jednak zaręczam, iż zawodu z mej strony nie doznacie.

— Dyć nie chodzi o nic innego, ino o rolę!— odezwał się znowu Dziura. — Wszyscy a to mawa dużo siły, tyla niema na czem pracować... No, a na cudzem chce się to komu robić?...

Zamyślił się teraz hrabia Bolesław, powiódł okiem dokoła siebie i ujrzał gromadę czarnych, spracowanych, licho przyodzianych chłopów, którzy poważnie wpatrywali się w niego jak w wyrocznię, oczekując ostatniego słowa, słowa nadziei. Kto w chłopach widzi tylko chciwość i z tej jednej strony ich ocenia, ten popełnia wielki błąd w etyczno społecznem rozumowaniu.

W chciwości tkwią też pierwiastki dobre, jeżeli chciwość ta pochodzi od prostego i szczerego człowieka; boć trzeba *chcieć* się zbogacić, aby się módz potem ucywilizować. Czy ściśle tak oceniał zachowanie się noskowiczan hrabia Krajpolski, tego nie wiemy; ale widocznie chłopi podziałali na niego, bo rzekł:

— Miałem dziś jeszcze wyjechać z Noskowic, ale te sprawy wasze wymagają, abym je rozpatrzył dokładnie; więc jutro pomówimy ze sobą o naszych wspólnych interesach.

Krajpolski miał wyraz twarzy szlachetny, dobroduszny; z jego fizyognomii łatwo było wyczytać, że obłuda i krętactwo nie postały nigdy w duszy. Taką prawdę w fizyognomii chłop odczytuje łatwiej, nie każdy inny; bo on, podobnie jak dziecko, kształci swą sympatyę na zasadzie wrażeń z zewnętrznej obserwacyi czerpniętych. To też chłopi z dobrą wiarą skłonili się hrabiemu, który wsiadł do powozu i odjechał z Plichtowa.

— Musi jest dobra dusza z niego! — odezwał się pierwszy Słupik, kiedy już wszyscy wolno posuwali się ku Noskowicom.—Czuć, co ani krzty nie łże, kiej gada—to nie nasz Zawracała!

— To ino brzydźko mu wadzi, że je jakiś łogawy ślachcic... Kostecki ma w nożynach cieniuśkie, nikiej kurcątecko jakie...—rzekł Zajma.

— Ha, może go ta kiedy zła choroba przytłamsiła a zmogła i bez to takowy mizerak; bo dyć jemu na jedzeniu pewnikiem dzisiak nie zbywa— mówił Chmura.

— Bajdurzcie ta baje! — zawołał z przekąsem Dziura.—Macie wy jakie niebądź rozumienie, co za warzę taki jadać może? Dyć to jasności pan, całą gębą hrabia!... Ja się sam zdragałem, czymu nie daję mało honorności, choć ciągiem jasnym

panem sadziłem... Wiecie wy; onby wam tu w Noskowicach nastawiał kościołów, jak na ten przykład w mieście w Krakowie i jeszczeby mu w skrzyni huk grosza zostało...

— O raju!...—zawołała z westchnieniem Dziurzyna.—Tać ja widziałam te galante kościoły!...

— Nie gadaj, boś nie widziała, ino ci niebosoka matusia o nich opowiadali! — oburknął się Szymek.

— Juści tak—odpowiedziała Zośka.—Tyla ten jasny hrabia to był u nas przed święty w chałupie, a tyś mi Szymek nic nie gadał, jaki on jasny...

— Bez cóż sobie miałem na darmo psuć gębę?... Samem jeszcze nie przewąchał, kto on takowy... Ino on nie przed święty był u nas w chałupie a na bez-gody...—rzekł znowu Dziura.

— Taki człowiek, to pewnie ze samym królem znajomy—wtrącił sołtys.

— Jeszczeby! Hrabia dyć wielgi, to on jak nic u królaƕ przesiaduje, a kiej im jakie wesele wypadnie, to on królową samę w taniec bierze... mówił Dziura. — Kiejby we wojsku odsługiwał, zarazby go król bez to za jednerała forytował... No, ale kiej niebożiątko taki mizerak, to co mu ta po tem terać się na wojnie.

— Taki jakiś zapach od niego bije, o kęs nie tak jak w kościele—powiedziała Zajmina.

— Gadacie, Kazimierzowa! Cóż go ma być czuć—cebulą?... Jedzie od niego jak od jasnego

pana; tak się już na świat urodził — rzekł Słupik.

— A powiedzcież, Szymonie, cóż wy myślicie? Obdaruje on gromadę?— pytał Zajma, zwracając się do Dziury.

— Ja wam pedam, co kiej mu się spodoba, sytko zrobi; mógłby nam oddać caluśki pasternik... Co ta znaczy u niego!

— Eee, dyć on bydło swoje będzie trzymał w Noskowicach!—zawołał sołtys.—Kajżeby mu je pasali?

— Taki nawali zaraz w polach sparcety, lucerni, okuniczyny, ceśnijakiego chwastu, co bydłu lubuje... Gnałby ci swoje krowy na ladajaki pasternik?... — odparł Dziura, zbijając uwagę sołtysa.

* * *

Hrabia polecił swojemu rządcy zbadać jak najdokładniej wartość pastwiska, o które chodziło i postawić ewentualne wnioski: 1) Co do zasad, według których w danym razie możnaby rozparcelować ten kawałek ziemi—o ile można, zważywszy, iż jest on obciążony służebnością; 2) jeżeli prawo pozwala na krok ten, to w razie rozparcelowania pastwiska, jak brak jego zastąpić w Noskowicach tak, ażeby na tem nie ucierpiał chów żywego inwentarza.

Młody agronom, dobrej szkoły, z mapami w ręku rozpatrzył całą tę przestrzeń i złożył sprawozdanie, że ów kawałek ziemi bynajmniej

nie kwalifikuje się na pastwisko w takim swoim stanie, w jakim jest obecnie. „Podziwiać należy" — mówił — „jak właściciele Noskowic mogli tego nie spostrzedz i na innej drodze nie starali się inwentarzowi swemu iść w pomoc".

Podług objaśnień pana rządcy koniecznie należało zamienić terytoryum pastwiska na rolę, coby jednakże pociągnęło bardzo duże koszta, a nieprędko przyniosło żądane rezultaty. Właściwiej byłoby zasiać tę przestrzeń lasem; ale majętność Noskowice jest zbyt szczupłą, ażeby na ten cel mogła ponosić ofiarę z ziemi, która dopiero za parę dziesiątków lat jaką taką korzyść przyniesie prowentowi. Najwłaściwiej więc byłoby oddać pastwisko chłopom w dzierżawę lub sprzedać przez parcelacyę, licząc się skrupulatnie z prawem o służebnościach, które prawdopodobnie wyjdzie tym razem na niekorzyść hrabiego. Zarówno zamiana na rolę, jak i na las, pociągała przecież za sobą wyznaczenie innego pola na pastwisko — czyli oddanie na wspólny użytek dworu i gromady niwy dobrej za nieużytki.

Co więcej, rządca wykazywał, jak na dłoni, że pieniądze, — o ile wpłyną od chłopów za odstąpienie im przez dwór praw własności, jeżeli pójdą jako wkłady w ulepszenia gospodarskie, dotyczące poprawy łąk oraz przemiany gospodarki na pastewną, — wykonają o wiele ekonomiczniejszy obrót, niż gdyby w Noskowicach pozostał *status quo*.

— Bo porządnej krowy na tem pastwisku paść nie można—mówił agronom—a dla owiec, jakich chów pan hrabia prowadzi w swoich majątkach, pasza ta jest nadzwyczajnie ryzykowna. Mieli też słuszność starzy gospodarze, iż przestrzeń tę zapuścili jako nieużytki; dzisiaj wobec braku ziemi i z nieużytków musimy ciągnąć korzyści; jednak pastwiska być tam nie może...

Chłop jest mrówką, która na małej przestrzeni rękami własnemi wykonywa dzieła udoskonalonych machin. Chłop jest tą pszczołą, która gromadzi bogactwa w swoim ulu, a całym jej obrotowym kapitałem jest życiowa energia. Nie potrzeba do tego żadnej przymieszki romantyzmu, apoteozującego cnoty chłopskie. Chłop jest takim, jakim jest: chciwym, przesądnym, ograniczonym.

Ale wszyscy przodkowie cywilizowanych narodów byli tacy sami. Można sobie poetyzować, lepiej jednak trzymać z rzeczywistością...

Nauka agronomii była tą razą w zgodzie z pragnieniami noskowickiej gromady; kawał ziemi zapuszczonej, surowej jak sami chłopi, przechodził w grube i twarde ręce. Ta ziemia miała stopniowo uszlachetniać się razem ze swoimi pracownikami; jest to przecież jedyny rzetelny przyrodniczy proces. O jakże z tym nowym nabytkiem wzrósł obowiązek pracy biednych Noskowiczan! Ileż kropli krwawego ich potu wsiąknie

w tę ziemię, zanim z niej zrobi się ogród, a z nich obywatele!

Krajpolski przed odjazdem swoim z Noskowic zwiedził jeszcze ów sławny wąwóz, zwany „Dyablim Młynkiem“, gdzie Dziura wykopał był starą zbroję. Hrabiego zachwyciło to malownicze położenie; upojony pięknem przyrody, postanowił w miejscu, gdzie marnie zginął jego przodek, postawić dwór na wzgórzu, a cały prześliczny wąwóz zapuścić na ogród z parkiem; w tym parku zaś postanowił wznieść symboliczny pomnik na pamiątkę czci swej dla Tobiasza Krajpolskiego.

Atoli kapryśne plany wielkiego pana wywołały dużo nowych zawikłań, na których chłopi znowu zyskali Wąwóz bowiem—jak wiemy—był wśród pastwiska, a pastwisko szło na parcelacyę między chłopów; przeto za swój wybryk musiał hrabia płacić, to jest za wąwóz dać wynagrodzenie w ziemi ornej. Rzecznik gromady, Dziura, zyskiwał na tem głównie.

Sama też parcelacya napotkała nadzwyczajne trudności, gdy przyszło ustosunkować pretensye hrabiego do pastwiska obarczonego służebnością. Kwestya nieustannie rozbijała się o to, ile hrabiemu należy zapłacić za jego prawa do tych—właściwie mówiąc — nieużytków. Dużo czasu zeszło, aż nareszcie stanęła prawna zobopólna umowa.

Jednakże myliłby się ten, ktoby mniemał, że ugoda, którą zawarto, położyła kres zawikłaniom; chłop jest nienasycony, bo nienasyconym być musi.

Kiedy się już w Noskowicach poczęto na dobre krzątać nad zbudowaniem nowego dworu na wzgórzu oraz nad założeniem ogrodu z parkiem w wąwozie i dokoła niego, znowu wystąpił Dziura. Tym razem pretensye chłopa nie zmierzały do materyalnych zysków, jakkolwiek zyski takie właśnie ostatecznie i teraz przypadły mu w udziale. Dziura ułożył sobie, żeby postawić kapliczkę na podziękowanie Panu Bogu za błogosławieństwo, użyczone jego chałupie; otóż kapliczkę taką koniecznie chciał postawić na „Dyablim Młynku“ i w tem samem miejscu, gdzie znalazł starą zbroję, to jest, gdzie mu Pan Jezus rzeczywiście pobłogosławił. Hrabia również w tem samem miejscu postanowił wznieść swój pomnik, niejako na grobie przodka. Pragnienia chłopa płynęły z jedynych jego idealnych pobudek, z uczuć religijnych; Krajpolski musiał to brać w rachunek, bo wdzięczność dla Stwórcy ma przecież wartość swoją. Ale z drugiej strony nie mógł się hrabia zgodzić na to, ażeby obok pomnika, wykonywanego przez dłuto biegłego rzeźbiarza i w pięknym parku świeciła jakaś licha chłopska kapliczka bez stylu. Hrabia skłonniejszym był znacznie do robienia ustępstw finanso-

wych, aniżeli do przeniewierzenia się swoim estetycznym wyobrażeniom.

To też Dziura, jak pielgrzym, z kijem w ręku i z kobiałką na plecach, piechotą poszedł do Krakowa, ażeby się tam zobaczyć i porozumieć z Krajpolskim. O tej podróży swojej w celach świątobliwych i o przyjęciu, doznanem w domu hrabskim, długo oraz często rozpowiadał różnym ludziom w Noskowicach.

Szymon Dziura nie postawił wprawdzie na swojem i musiał zrzec się budowania kapliczki z latarką w wąwozie na „Dyablim Młynku"; ale mu za to zrzeczenie się zapłacono 150 rubli, a oprócz tego zyskał u hrabiego inne jeszcze drobne ustępstwa i względy „jasnego pana".

XXIV.

Zawracalski z pieniędzmi, które wziął za sprzedaż litery *b*, jako też za inwentarz, wyniósł się do Kielc, ponieważ córki chciały użyć większego świata; zakupił on tam dom z gruntem w miejscowości tak zwanej „Za wodą“, chociaż w Kielcach żadnej wody niema, tylko trochę błota. Powodziło się tam panu Piotrowi dobrze, gdyż, jak mówił—„tylko uczciwym ludziom“ pożyczał pieniądze, a pożyczał na lichwę.

Tatarczany znowu wyniósł się z gospodynią swoją, Uliną do Koszyc, gdzie podobno trudnił się głównie ryzykownem przesiębiorstwem przemytnictwa, używając do tego celu kilkudziesięciu chłopów i żydów ze wsi pogranicznych.

Obaj ci właściciele nie byli z powołania rolnikami; z łatwością im przyszło porzucić zagon.

We dworku pod literą *a* pozostał jeszcze tylko pan Dyzma z rodziną; pozostał, ale był to już zupełnie niedołężny człowiek. Cóż z tego, że chciał „kości swoje położyć w Noskowicach?“

Takie pragnienie nie stanowi żadnej zasługi dla ziemi.

Skałecki miał zamiar dokończyć swych prac archeologicznych i wynieść się z żoną do Krakowa, gdzie mu ofiarowano miejsce przy jakiejś znacznej bibliotece.

Jednego dnia, kiedy był zajęty opisywaniem wykopalisk znalezionych, otrzymał zawiadomienie, iż na pocztę do Skalbmierza przybył pakiet z Krakowa, który może odebrać jedynie osobiście i za własnoręcznem pokwitowaniem. Archeolog był pewny, że hrabia Bolesław obciąża go jakimś nowym interesem. Nadesłane papiery rzeczywiście pochodziły od Krajpolskiego. Skałecki niebawem udał się do Skalbmierza, a kiedy ztamtąd powrócił, był jakiś niespokojny, zafrasowany.

Pierwsza Frania to spostrzegła i poczęła męża badać, czy nie otrzymał złych wiadomości; sądziła, iż może spodziewaną posadę przy bibliotece dostał już kto inny. Ale on, znalazłszy się sam na sam z żoną, tak mówił:

— Nie wiem, czy na dalsze pożycie nasze nie wpłynie źle ta wiadomość, której ci udzielę, jednakże nie moja w tem wina, iż dzisiaj dopiero sam się dowiaduję...

— Co też ty mówisz, Stasiu? Na pożycie nasze już nic źle wpłynąć nie może; chyba ty przestaniesz mię kochać; ale ja i wtedy będę cię jeszcze kochała.

Wówczas Skałecki wydobył obszerny list hrabiego Bolesława i treść jego odczytał Frani. We wstępie Krajpolski pisał, jako powszechnem jest mniemanie, że polska rodowa arystokracya stanowi rozkładową siłę społeczną - że mniemanie to istotnie w dzisiejszych czasach daje się poprzeć licznemi faktami. „Będąc atoli Krapolskim“ — pisał — „pamiętam, iż jestem człowiekiem cywilizacyi, a jako taki, uważam sobie za obowiązek, naprawiać, o ile można zło, które przodkowie moi popełnili”. W dalszym ciągu listu w sposób niezmiernie oględny hrabia zawiadamiał, iż Skałecki jest jego bratem i ma zupełne prawo do noszenia nazwiska Krajpolskich oraz używania wszelkich przywilejów, służących tej rodzinie.

List był pisany ze szlachetną prostotą i szczerą serdecznością. Oprócz tego, archeolog przedstawił żonie załączone przy liście dokumenta, z których jeden, potwierdzony przez ministeryum w Wiedniu, przyznawał panu Stanisławowi Skałeckiemu prawo noszeniu tytułu hrabiego Krajpolskiego i używania herbu Krajpolskich; drugi znowu skrypt sporządzony był w Warszawie i potwierdzony przez miejscowe władze a opiewał, jako Stanisław hrabia Krajpolski wchodzi w posiadanie Noskowic liter *a*, *b*, *c*.

O ile wiemy, arystokracya uszlachetniła się tym razem podwójnie: przez piękny postępek hrabiego Bolesława, który uznał prawo brata swego z nieprawego łoża, — a następnie

przez nabytek w Skałeckim, człowieka mrówczej pracy i zacnego charakteru. Wyjątki takie, jak Krajpolski, są nader rzadkie, niestety.

Co się tyczy mniejszych właścicieli Noskowic, ci prawie wszyscy są jednacy: do Szymona Dziury bardzo podobnym był Zajma, Kabat, Słupik, Chmura, Kamień, Niedźwiedź i inni Noskowiczanie.

Dziura, pozyskawszy dobra materyalne w ziemi, wywiązał się przedewszystkiem ze ślubu, który był uczynił względem Pana Boga. Pińczowski snycerz z Pińczowskiego wapienia wyrzeźbił Madonnę w postaci stojącej i z dzieciątkiem w ręku; figurę tę ustawił na podstawie niezbyt wysokiej, a głowę świętego wizerunku otoczył kółkiem z drutu, na który nanizał siedem pozłocistych gwiazdek. U dołu można było czytać imię „Szymona i Zofii Dziurów" oraz datę wzniesienia świętego pomnika. Przed tym posągiem w dni letnie, gdy już na świecie zmierzchło, zapalano światełko i pod gołem niebem publicznie odśpiewywano na głos litanię do Najświętszej Panny. Hymn ten rozpoczynał Szymon z Zośką, a za nimi słowa powtarzał chór, składający się nieraz z kilkudziesięciu głosów. Bo któżby w Noskowicach nie chciał złożyć hołdu bóstwom opiekuńczym wsi, mając tak dobrą do tego sposobność?

Gdy z Bogiem dobrze, to go chwalmy!

Jednakże Dziura niezupełnie był już zadowolniony, jak się pokazuje z tego, co pewnego dnia mówił do żony:

— W polu sytko je pieknie, równo, prościutko porasta! Dużo tam scęścia ludzkiego! Ino dla kogo ja tak ciężko pracuję?... Zośka, mojaś ty, niewiadomo kto z nas krzyw, co nam Pan Jezus dziecka dać nie chce... Wyrosłoby to na gospodarza i miało pociechę... A choćby ta była i dziewucha!...

— Raz ja się to już modliłam o zmiłowanie boskie?—zawołała Dziurzyna.—Ale ty Szymek byłżeś o to nabożny.

— Tać prawda, com sobie o tem zabaczył; ani razicek nie prosiłem o dziecko, bom zawdy ino ten gront miał we łbie...

Tego samego dnia, po skończonym w domu obrządku koło gospodarstwa, oboje Dziurowie szli wieczorem pod posąg Madonny Noskowickiej, a każde z nich miało w duszy intencyę błagać, aby Bóg miłościwy zesłał im potomstwo. Niechże się modlą, bo Stwórca jest dla nich dobry!

Tatarczany, wynosząc się do Koszyc, zabrał ze sobą nietylko Ulinę, ale i Frankę gęsiarkę, której ojciec skotak umarł był tego samego roku na czarną krostę we dworze *b*. Ulina potrzebowała już teraz Franki, którą się łatwo mogła wyręczać, a bić też bez najmniejszego oporu. Pobiegł także za penatami Tatarczanego Bielas,

który po swoim wybryku w wielką sobotę, za zjedzenie organiście, czy księdzu kiełbasy święconej stracił mir u ludzi i nie miał żadnego punktu oparcia na świecie. Był to pies siejący zgorszenie, coś w rodzaju sprośnego heretyka. W Koszycach puszczał się na żebraninę, ale łyki miały twarde serca, ażeby psa obdarzać jałmużną; począł przeto uprawiać rzemiosło złodzieja. Cóż on miał robić, jeśli mu ludzie nie pozwalali być psem uczciwym? Parę razy ukradł przekupce bułkę z kramu, później ściągnął jednemu rzeźnikowi nóżkę cielęcą, innemu znowu krowią wątrobę. Szkody wyrządzone w Koszycach przez Bielasa, szacowali różni, biegli w takich rzeczach, na kilkanaście złotych. Ścigany przez ludzką nienawiść, także przez ludzkie kije, co gorsza,—uchodził pies w pola i oddawał się ciężkiemu zawodowi myśliwego.

Zające bo sobie z niego wyraźnie drwiły; poprostu wyskakiwały mu zpod nosa i, podniósłszy do góry ogon, uciekały. Pozostała więc tylko tak mizerna zwierzyna jak myszy; Bielas musiał się dobrze napocić, aby wykopać z ziemi gniazdo z mysią rodziną. Za głowy się darli mieszczanie Koszycoy, gdy ujrzeli w polach swych stłoczone i skopane zagony. Zasadzano się więc na psa, aby go zgładzić ze świata; na szczęście nie był on bity w ciemię i łykom robił to samo, co jemu robiły zające.

Swoją drogą France gęsiarce „oniło się" w mieście; nie mogła sobie dać rady bez Noskowic; nie smakowało jej w Koszycach jadło, a ludzie wydawali jej się jak dziwolągi; dziewucha dniem i nocą marzyła o lubych Noskowicach. Przyszło do tego, że sobie myślała: „Wolałabym codzień dostawać od Zawracalskiego baty w Noskowicach, aniżeli w Koszycach jeść chleb z miodem i nic nie robić".

Zdarzyło się, iż Ulina posłała raz Frankę do rzeźnika, zalecając najwyraźniej, aby ztamtąd przyniosła cielęciny na pieczeń, ale *koniecznie* z nerką, bo się nerki zachciało Tatarczanemu. Dziewucha myślała o Noskowicach i na śmierć zapomniała rzeźnikowi powiedzieć o nerce. To też, gdy wróciła do domu z cielęciną bez nerki, Ulina zbiła ją strasznie po łbie, po plecach, wyrzuciła z domu za drzwi, a sama poszła po nerki. France przyszła teraz myśl uciec do Noskowic, niby z niewoli egipskiej do ziemi obiecanej; uskutecznienie takiej myśli nie było zbyt trudne; poszła w pole i koniec. Ani się spodziewała spotkać w tej podróży przejaciela, aż tu naraz ze zboża wyskoczył do niej Bielas z najlepszą w świecie miną; zdawało się, jakby dawno przewidywał wypadki bieżące i odgadywał myśli Franki, bo tylko merdnął parę razy ogonem i poszedł za nią ku Noskowicom.

Przed samym wieczorem dobili do Noskowic, tak że właśnie Sobek roztroperz spędzał bydło

z pola; chłopak rad był spotkać Frankę, bo jej zaraz opowiedział, jaką to „śliczną figurę postawili we wsi gospodarz Szymon Dziura". Sobek chodził także o zmierzchu pod posąg Madonny, jak mówił „na śpiewanie", więc się zmówił z Franką, ażeby czekała nań pod dworskiemi stodołami, a on jak tylko obrządzi bydło, przybieży i pójdą śpiewać tam, gdzie się „bez mała schodziły całe Noskowice".

Jakoż Franka doczekała się roztroperza pod stodołami i poszli na śpiewanie.

Obdarty chłopak i obdarta dziewucha, zdaleka uklęknęli i oboje zaledwie śmieli podnosić głos wobec poważnych gospodarzy i gospodyń, jednakże śpiewali z wielką rozkoszą, a Bielas stał ze spuszczonym ogonem i patrzał na to wszystko.

Nareszcie skończyły się uroczyste pienia; już noc była, gwiazdki przepysznie lśniły, a kędyś zza wzgórza od „Dyablego młynka" księżyc wysuwał się na niebo. Powoli rozchodzili się pobożni śpiewacy na wszystkie strony, a Dziurowie jeszcze odmawiali jakieś pacierze. Franka chciała się przypatrzeć prześlicznej figurze i stała olśniona całą tą pięknością. Kiedy Szymek i Zośka przechodzili, ona objęła ich po kolei za nogi, mówiąc: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Zośka patrzajno, toć to Franka Walkówna!—powiedział Dziura.

— Onać, sierota niebożątko! — odparła Zośka.

I poszli sobie małżonkowie dalej ku chacie. Ale Szymon nagle się zatrzymał i rzekł do baby:

— Skarkulowałem sobie a to w głowie, czy nam też aby przypadkiem Pan Jezus nie zesłał tej dziewuchy tu pod figurę! Wiesz ty o com ja Pana Boga prosił?

— O cóżby? O dziecko, jako i ja prosiłam.

— I jeszcześ tera nie zrozumiała, głupia? Tać nas Pan Bóg rychtyk wysłuchał i zesłał nam sierotę, dziecko na wychowek... Gdzie to ta było ono dziewczysko, aże w Koszycach, a przylazło pod figurę, juści chyba tyla przez Opatrzność boską...

— Rychtyk musi być prawda! — zawołała Dziurzyna.

Teraz oboje Dziurowie przyzwali do siebie Frankę i prowadzili ją ku chałupie. Mieli dla niej w sercach taką dobroć, jak gdyby była ich własnem nowonarodzonem dziecięciem. Zośka przedewszystkiem dała w domu waży głodnej dziewczynie, która żwawo jeść poczęła; w tej właśnie chwili w otworem stojące drzwi chaty wszedł Bielas i na progu się zatrzymał, spoglądając chciwie na miskę żuru z kartoflami. Dziura w milczeniu podszedł do psa, porwał go za ucho, a drugą ręką odpiął rzemienny pasek i począł strasznie katować Bielasa, wołając:

— A wara tobie, jucho, od święconej kiełbasy! A nie rusz!

Kiedy już psa zbił obrutnie i sam się zmęczył, rzekł, siadając na ławie:

— Tera, skoroś już swoje odcierpiał, możesz ostać w chałupie!...

Bielas, jak gdyby zrozumiał słowa Szymona, pozostał już w jego domu i był osiadłym psem, co bardzo wpłynęło na uszlachetnienie jego obyczajów.

Czytelnik i bezemnie mógłby sobie dośpiewać resztę powieści. Franka została spadkobierczynią Dziurów i wyszła za mąż, juści nie za innego, tylko za Sobka roztroperza, którego dzisiaj wszyscy nazywają Sobkiem Dziurą.

Madonna Noskowicka stoi jeszcze, pali się przed nią kaganek, lud ją uznaje za cudowną, a my szczerej wierze ludu wcale nie przeczymy. Z czasem ktoś z ludu może zaprzeczy...

KONIEC.

15 Maja 1887 r.

Ofiaruję Zośce D.